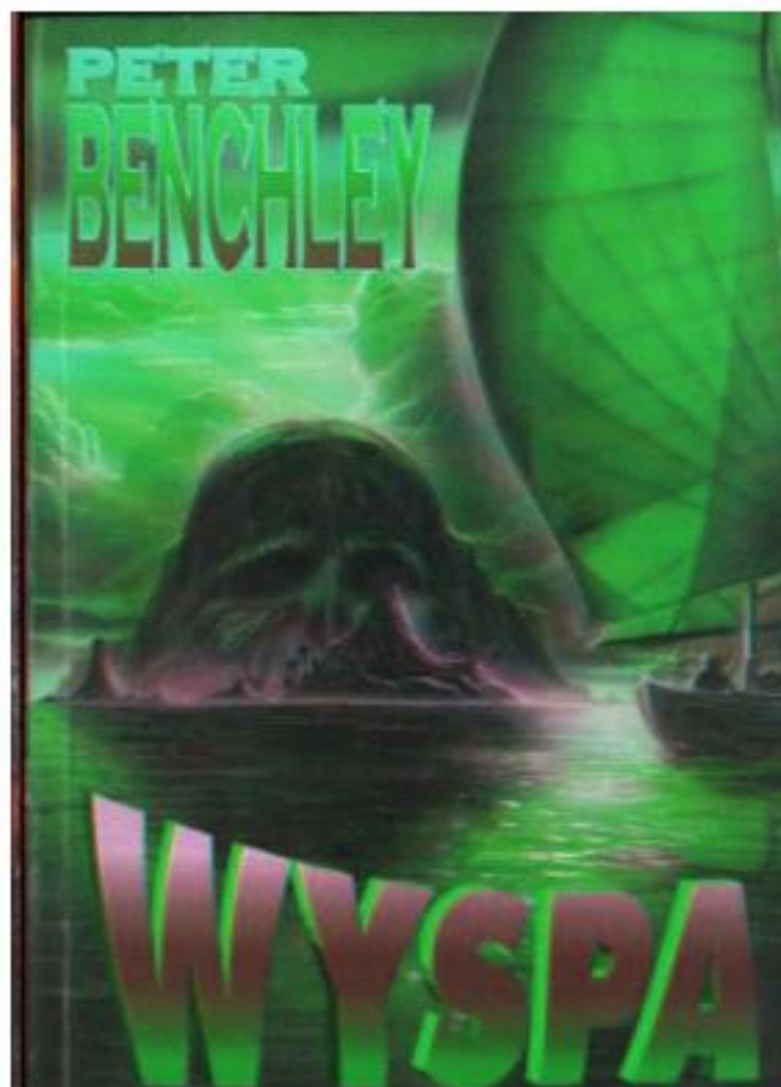


**PETER BENCHLEY**

**WYSPA**

**PRZEŁOŻYŁA**

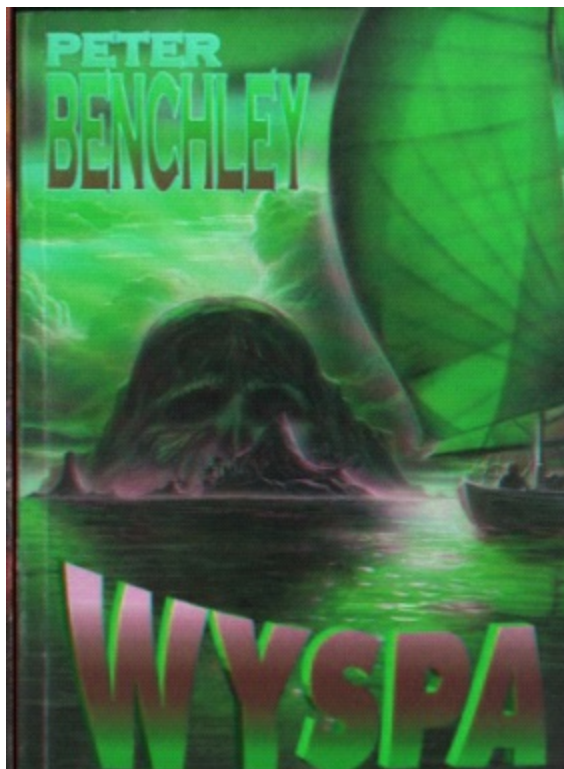
**EWA WANDZIOCH**



**PETER BENCHLEY**

**WYSPA**

**PRZEŁOŻYŁA  
EWA WANDZIOCH**



Tytuł oryginału  
THE ISLAND

Łódź stała na kotwicy tak spokojnie, jak gdyby przyspawano ją do powierzchni wody. Zazwyczaj bywała tu martwa fala, pozostałość odległych sztormów, która powodowała, że łódź nieustannie wznosiła się i opadała, a horyzont stale się zmieniał. Teraz jednak, już od ponad tygodnia, układ wysokiego ciśnienia zalegał nad Atlantykiem od Haiti po Bermudy. Na niebie nie było nawet najmniejszej chmurki, a odbłask południowego słońca sprawiał, że powierzchnia wody wyglądała jak wypolerowana stal.

Na wschodzie tkwił lśniący okruch szarości, zawieszony milimetr nad krawędzią świata; załamany obraz małej wyspy tuż za linią horyzontu. Na zachodzie nic, tylko tańczące fale wciąż rosnącego gorąca.

Dwóch mężczyzn stało na rufie, łowiąc ryby na sznurowe wędkę. Ubrani byli w obszarpane szorty, przybrudzone białe koszulki i słomkowe kapelusze z szerokim rondem. Co pewien czas jeden lub drugi zanurzał wiadro za rufą i polewał wodą pokład, żeby schłodzić podłogę z włókna szklanego pod ich bosymi stopami. Pomiędzy nimi, nad gniazdem mocującym krzesło dla wędkarza, stał prowizoryczny stół z przewróconych do góry dnem kartonów po alkoholu, cały pokryty rybimi głowami, wnętrznościami i kłębowiskiem odmarzających sardeli.

Każdy z nich trzymał rękę z wędką poza rufą łodzi, żeby zapobiec ocieraniu się liny o mosiężną listwę relingową i czekał, kiedy stwardniały koniuszek wskazującego palca odbierze sygnał, że oto, na głębokości stu sążni, ryba połknęła przynętę.

— Czujesz go?

— Nie. Chociaż musi być gdzieś w pobliżu... Może strzępiele nie pozwalają mu podплыnąć bliżej...

— Prąd zasuwą jak cholera.

— No. Sprząta mu przynętę sprzed nosa.

Zapachy z kuchni dotarły na rufę, mieszając się ze smrodem rozkładających się na słońcu ryb.

— Czym ten portugalski bękart ma zamiar nas dzisiaj struć?

— Cuchnie jak świński ryj!

W głębokich ciemnościach pod łodzią jakiś rybi kształt złapał przynętę i ruszył z nią w kierunku rozpadliny w podwodnych skałach.

Gwałtowne szarpnięcie rzuciło mężczyznę na okrężnicę. Zapierając się kolanami, żeby nie dać się wyciągnąć z łodzi, sięgnął lewą ręką i przyciągnął metr liny, potem metr prawą ręką i następny znowu lewą.

— Cholera, czułem, że on tam jest!

— To chyba rekin.

— Rekin, jasna dupa! Prędzej chyba wieloryb!

Ryba szarpnęła znowu i mężczyzna zacisnął zęby z bólu w rękę, z całej siły starając się nie poluzować liny. Nagle lina zwiotczała.

— Psiakrew!

Drugi mężczyzna wybuchnął śmiechem.

— Człowieku, ty nie umiesz łowić ryb! Wyciągnąłeś mu haczyk z paszczy!

— Odgryzł go, ot co.

— Odgryzł...

Powoli wciągnął linę, uważając, by się nie zaplątała w zwojach u jego stóp. Haczyk, ciężarek i przypon przepadły, lina była zerwana.

— Mówiłem ci, że on to odgryzł.

— Dobra, a ja ci mówiłem, że to jakiś cholerny rekin.

Mężczyzna przywiązał nowy haczyk i przypon do swojej liny.

Obdarł ze skóry dwie na wpół zamrożone sardele wyjęte z kłębu ryb na przynętę, zjadł jedną i przeciągnął haczyk przez drugą, na wylot przez oczy, potem wzdłuż kręgosłupa i na wylot przez ogon. Wyrzucił haczyk za burtę i ponownie pozwolił linie przesuwac się swobodnie między palcami.

— Dick!

— Co?

— O której jutro będzie kapitan?

— W południe. Ma samolot coś koło jedenastej. Zależnie ile tego gówna mają ze sobą, powinni być w porcie około południa.

— Jaki rodzaj doktorów tym razem?

— Nelson... mówiłem ci już sto razy: neurochirurdzy.

Nelson roześmiał się.

— A to dobre...

— Jakoś nie widzę nic śmiesznego w neurochirurgach.

— Człowieku, to lekarze od głowy. Co tacy robią na rybach?

— Neurochirurg nie jest po prostu lekarzem od głowy.

— Dobra, dobra. Ja wiem tylko, że po tym, jak jeden gość na Barbuda rąbnął mnie młotkiem w głowę, od razu wysłali mnie do neurochirurga.

— Opowiadałeś mi.

— Nabluzgałem mu, więc wysłał mnie do czubków.

— Mimo wszystko, żadne prawo nie mówi, że neurochirurg nie może też łowić ryb. Najważniejsze, że płacą gotówką z góry... — Dick przerwał. — Pamiętasz, ile tego ma być?

— Nigdy nie wiedziałem.

— Manuel! — krzyknął Dick.

— Jestem, panie Dick! — Chłopiec pojawił się w drzwiach do kabiny. Był szczupły i muskularny, w wieku dwunastu lub trzynastu lat. Jego skóra była opalona na brąz. Pot przylepił mu włosy do czoła i uwidocznili się w smugach na przodzie jego wykrochmalonej, białej koszuli.

— Ile razy... — Dick urwał. — Ty durny, portugalski gówniarzu! Mówiłem ci, żebyś nie nosił uniformu, kiedy nie ma żadnych gości na pokładzie!

— Ale ja...

— Popatrz na swoje portki, chłopcze! Wyglądają, jakbyś się zesrał!

Chłopiec spojrział na swoje spodnie. Upał w kabynie zlikwidował kanty, a nogawki były całe pochłapane tłuszczem.

— Ale ja nie mam żadnych innych spodni!

— Słuchaj, nie obchodzi mnie, czy będziesz musiał pracować przez całą noc, ale lepiej dla ciebie, żeby rano były białe jak angielski zadek!

Nelson uśmiechnął się.

— Co my możemy wiedzieć, Dick? Może neurochirurdzy lubią małych, brudnych Portugalczyków?

— Wiesz, Nelson, być może trafiłeś w sedno. Co na to powiesz, Manuel? Pozwolimy tym neurochirurgom poigrać sobie z tobą?

Oczy chłopca rozszerzyły się.

— Nie, panie Dick. Cokolwiek to jest, ja niczego nie chcę.

— Ile koi przygotowałeś?

— Osiem. Tak kazał kapitan.

Nelson pociągnął nosem.

— Co, u diabła, gotujesz, chłopcze?

— Świński ryj, panie Nelson.

— Mówiłem ci, Nelson. To wszystko, na co zasługujesz! — powiedział Dick.

\*

Kiedy Manuel sprzątnął i umył talerze, garnki, patelnie i wyszorował kambuz do czysta, nie miał już nic więcej do roboty. Miał ochotę zamknąć drzwi wejściowe, włączyć klimatyzację i telewizor w głównej mesie i wyciągnąć się na pokrytej aksamitem sofie. Ale klimatyzacja działała tylko dla wygody płacących gości; nie było też czego oglądać w telewizji; a sofa, jak zresztą cała reszta mebli, pokryta była plastikowymi pokrowcami.

Była tam też szafa wypełniona po brzegi broszurami i Manuel mógłby położyć się na swojej koi i poczytać, ale jego możliwości w tej dziedzinie ograniczały się do etykiet na opakowaniach mrożonej żywności, tabliczek przyrządów pokładowych i nazw miejsc oznaczonych na mapach morskich. Był zdecydowany podciągnąć się w czytaniu, studiował więc tytuły w czasopismach ilustrowanych pozostawionych na łodzi przez poprzednich klientów. People, US, Playboy, Penthouse i Yachting. Ale czuł, że z czasopism, znajdujących się na pokładzie, wyciągnął już wszystko.

Dick i Nelson ciągle jeszcze łowili na rufie. Manuel mógłby wziąć wędkę i dołączyć do nich. I byłby to zrobił, gdyby ryby lepiej brały.

Ale docinki między Dickiem a Nelsonem rosły odwrotnie proporcjonalnie do ilości złowionych ryb i nic nie wskazywało na to, że coś się zmieni. Gdyby Manuel przyłączył do nich, natychmiast rzuciliby się na niego jak na świeży cel, a tego nie znosił.

Wyprał więc swoje rzeczy, wyprasował i znowu się nudził.

Ubrany tylko w parę siatkowych majtek, Manuel poszedł na rufę. Na zachodzie nabrzmiałe słońce dotykało linii horyzontu i wszedł już księżyc, cienki plasterek cytryny na tle szaroniebieskiego nieba.

— Panie Dicku, czy mam zdjąć pokrowce z krzeseł i reszty?

Dick nie odpowiedział. Opuszkami palców starał się wyczuć nieznaczne szarpnięcia i pociągnięcia swojej liny, żeby odróżnić branie małej ryby od pierwszego, próbnego szarpnięcia większej. Zaciął, próbując zagłębić haczyk, chybił i popuścił.

— Nie. Zostaw to mnie. Będzie dosyć czasu rano. Ale jeśli nie masz nic innego do roboty, mógłbyś napełnić barek.

— Dobrze.

— I przynieś nam trochę rumu, kiedy skończysz.

— Czy mogę włączyć radio?

— Jasne. Odrobina gospel dobrze ci zrobi. Wykurzy złe myśli z twojego łba.

Manuel wrócił do mesy. W szafce pod telewizorem stał rząd odbiorników radiowych: jednopasmowe, czterdziestokanałowe CB, UKF i standardowy AM/FM. O tej porze dnia na

większości pasm nadawczo—odbiorczych mieszały się rozmowy kubańskich rybaków, omawiających dzienny połów, pasażerów statków wycieczkowych, dzwoniących do Stanów (przez Miami) i załóg trawlerów informujących swoje żony, kiedy mają ich oczekiwać w domu. Manuel włączył odbiornik AM i usłyszał znajomy, kojący głos Orędownika Zbawiciela, kaznodziei z Indiany, który nagrywał programy religijne w Snouth Bend i przysyłał je do ewangelickiej stacji radiowej na Cape Haitien. Większość łodzi pływających między 20 a 22 stopniem szerokości geograficznej północnej i 70 a 73 stopniem długości geograficznej zachodniej nie nastawiała odbiorników na Orędownika Jezusa Chrystusa, choć była to jedyna stacja, która regularnie i bez zakłóceń podawała lokalną prognozę pogody. Komunikaty Federalnego Instytutu Meteorologicznego w Miami były miarodajne dla Florydy i Wysp Bahama, ale zupełnie nie sprawdzały się w obrębie zdradliwych obszarów wodnych między Haiti i Wyspą Acklins.

*...a teraz, towarzysze rejsów — zawodził Orędownik Zbawiciela — zapraszam was do nas, do naszej Oazy. Wy wiecie, bracia, że na każdą duszę żeglującą po morzu życia czyha zawsze mnóstwo niebezpieczeństw. Ale jeśli tylko zechcesz, Chrystus stanie obok ciebie przy sterze...*

Manuel zwinął dywan w mesie, podniósł pokrywę luku i wskoczył do ładowni. Z półki na grodzi zdjął latarkę elektryczną i oświetlił nią niezliczone ilości skrzynek z konserwami, napojami, środkami owadobójczymi, siatek cebuli i ziemniaków, owiniętych w papier wędzonych szynek, puszek z boczkiem i roladą z indyka. Kuląc się w płytkiej ładowni, przesuwiał się naprzód, w poszukiwaniu jednej lub dwóch skrzynek z alkoholem. Co najwyżej trzech: dla ośmiu ludzi, w tym czterech kobiet, które nie piły tyle co mężczyźni, na siedmiodniowy rejs. Trzydzieści sześć butelek to będzie nawet więcej niż potrzeba. Wiedział, że goście nie zamawiali więcej, niż zamierzali wypić. Jedzenie było wliczone w cenę czarteru, ale alkohol płatny ekstra i resztki zostawały na pokładzie. Takie były zasady.

Przesunął się nieco dalej i skierował światło latarki na przedział dziobowy. Był wypełniony po brzegi skrzynkami z alkoholem. Przeczytał nadruki, a następnie, nie ufając sobie, sprawdził jeszcze raz: szkocka, dzin, tequila, Jack Daniel, rum, Armagnac. W myślach policzył butelki, ludzi i dni. Sto czterdzieści cztery butelki, ośmiu ludzi, siedem dni. Dwie i pół butelki na głowę dziennie. Manuel uklęknął, wlepił wzrok w pudła i zrobiło mu się słabo. Zanosilo się na kiepski rejs. Znow zaczna się narzekania na wszystko; kiedy goście wypili za dużo, nic nie było dla nich tak jak trzeba, ani pogoda, ani wygody na pokładzie, ani jedzenie, ani rodzaj złowionych ryb, ani ich ilość, a szczególnie żadna z osób na łodzi. Dick, Nelson i kapitan byli odporni na grubiaństwo. Ich wiek, doświadczenie i nieustępliwość odstraszały nawet największych zuchwalców. To oznaczało, oczywiście, że swoje najbardziej złośliwe szykany zostawiali dla młodego i bezbronnoego Manuela.

Położył latarkę na pokładzie i otworzył najbliższą stojącą skrzynkę ze szkocką. Barek na górze mógł pomieścić po dwie butelki każdego rodzaju — wystarczająca ilość, przynajmniej na pierwszą noc.

\*

O zmierzchu ryby zaczęły brać.

— Nigdy nie mogłem sobie tego wyobrazić — powiedział Nelson, wciągając swoją linę ręką za ręką — tam na dole przecież nie ma światła, więc skąd te ścierwa wiedzą, kiedy jest pora obiadu?

— Mają naturalny zegar w środku. Czytałem o tym. — Dick wychylił się za rufę. — No, popatrz tylko na tego wylupiastookiego bydlaka.

Nelson sięgnął po przypon i wyciągnął rybę nad burta. Był to szklanooki lucjan, tłusty,

czerwono—różowy, ważący od trzech do czterech kilogramów. Kiedy ryba została wyciągnięta z wody, powietrze wewnątrz niej rozprężyło się, wydymając jej brzuch i wypychając na wierzch oczy. Spuchnięty język rozsadzał otwarty pyszczek.

— Kolacja — powiedział Nelson.

— No pewnie. Manuel!

Nie było odpowiedzi. Chłopiec tkwił w ładowni, głęboko w dziobie. Z mesy dobiegał głos Orędownika Zbawiciela, na tle chóru kościelnego: *...możesz zadać sobie pytanie: Dlaczego Jezus miałby mnie kochać, jestem przecież zbyt wielkim grzesznikiem? Ale właśnie dlatego on cię kocha, drogi bracie...*

— Manuel! — Dick ruszył naprzód. — Przeklęty chłopak...

Przez przednie okna mesy dojrzał coś dryfującego w kierunku łodzi, niesionego przez szybki prąd.

— Hej, Nelson! — Dick wskazał palcem. — Co to może być?

Nelson wychylił się. W półmroku ledwo mógł dojrzeć, na co wskazuje Dick. Znajdowało się to w odległości dwudziestu lub trzydziestu metrów przed łodzią — ciemne, masywne, długości około czterech metrów. Z pewnością nikt nim nie sterował, ponieważ zataczało powolne koła.

— Wygląda jak kłoda.

— Jakiś wielki pień. Cholera! Jeszcze gotów nam strzaskać dziób.

— Nie, za wolno płynie.

— Mimo wszystko to gówno może nas trochę oskrobać.

Obiekt uderzył w łódź tuż za dziobem, zatrzymał się na moment i następnie, pochwycony przez prąd, przesunął się leniwie w kierunku rufy. W ładowni Manuel usłyszał głuchy odgłos uderzenia w lewą burtę. Otworzył skrzynkę, w której był Jack Daniel, wetknął dwie butelki pod pachę i trzymając latarkę w drugiej ręce ruszył do wyjścia. Wyciągnął rękę w górę i postawił butelki na podłodze mesy. Skulił się ponownie i poszedł naprzód nie zwracając uwagi na namowy Orędownika Zbawiciela... *napisz do nas, tutaj do Oazy, a my obiecujemy napisać do ciebie, jeśli załączysz zaadresowaną kopertę ze znaczkiem.*

— To jest łódka! — stwierdził Dick.

— Niemożliwe...

— Wygląda jak czółno. Przyjrzyj się jej.

— Nigdy nie widziałem takiej łódki.

— Weź bosak. Ten duży.

Nelson sięgnął pod okrężnicę i wyjął dwumetrowy, stalowy bosak zakończony dziesięciocentymetrowym hakiem. Obiekt zbliżał się szybko.

— Łap ją! — komenderował Dick. — Czekaj... jeszcze nie... jeszcze nie... teraz!

Nelson sięgnął bosakiem i szarpnął do siebie. Hak wbił się mocno w drewno.

Był to potężny, wydrążony w środku pień, zwężony na obu końcach. Fala odepchnęła drugi koniec pnia daleko od łodzi.

— Ciężki, bydlak — stwierdził Nelson. — Długo go nie utrzymam.

— Przyciągnij go tutaj. — Dick otworzył i opuścił klapę w pawęży, służącą do wciągania dużych ryb na pokład. Zszedł na dół, na wąską platformę znajdującą się tuż nad poziomem wody, ponad wylotem rur wydechowych.

Nelson przeprowadził kłodę naokoło rufy na zawietrzną, poza zasięg prądu. Wydrążony pień bujał się łagodnie jak kołyska.

— Tam jest coś w środku — powiedział Nelson.



— Widzę. Wygląda jak płótno.

Nelson przyholował kłodę do rufy.

Trzymając się jedną ręką knagi i próbując utrzymać równowagę, Dick sięgnął lewą stopą i odsunął brzeg płótna. Tam, zwrócona ku górze, jakby w żebraczym geście, leżała ludzka ręka.

— Rany boskie! — Dick szybkim ruchem cofnął nogę. Trzymał się knagi obiema rękami.

Przez moment panowała martwa cisza; każdy słyszał bicie swego serca. Po chwili Nelson zapytał:

— Jest tam go więcej?

— Nawet nie chcę widzieć.

— Może jeszcze żyje...

— Co by tutaj robił żywy? Poza tym śmierdzi, bydlak!

— Nie będziesz wiedział, dopóki nie sprawdzisz.

— Sam sprawdź.

— Ja nie mogę. Trzymam bosak.

Dick uporczywie wpatrywał się w wystającą rękę, zastanawiając się, co robić. Sięgnął powoli, wycofał się i sięgnął ponownie. — No, dalej chłopie — zamruczał. — Naprzód. Raz kozie śmierć. — Dotknął rogu płótna i unióśł do góry.

Zobaczył przegub otoczony toporną bransoletą z zielonego metalu i część przedramienia.

— No, dalej. — Nelson stał się niecierpliwy. — On nie ma zamiaru cię ugryźć.

— Nie mogę go chwycić. Przyciągnij bliżej.

— Już bliżej nie mogę. Jest pod samą pawężą.

Wstrzymując oddech, Dick wychylił się daleko poza rufę, wyciągając lewą rękę i trzymając się knagi prawą. Jego palce owinęły się dookoła martwej dłoni. Pociągnął.

Nagle ręka ożyła. Paznokcie wbiły się w nadgarstek Dicka i silne szarpnięcie wyciągnęło go z łodzi.

Płótno podniosło się i opadło z powrotem.

Ciało Dicka uderzyło o dno i coś szarego przemknęło w powietrzu, trafiając go tuż ponad lewym obojczykiem. Jak u lalki rozerwanej przez rozłoszczone dziecko, głowa Dicka odpadła od reszty ciała, połączona z nim już tylko przez pasma skóry i ścięgien. Z otwartej tchawicy buchnęło powietrze wydymając bąble krwi. Nelson usłyszał dwa pluśnięcia, kiedy ciało i głowa kolejno wpadały do wody.

Człowiek znalazł się na pokładzie, zanim Nelson zdołał wyhaczyć bosak. Ogarnięty przerażeniem, próbował go wyrwać, ale hak mocno siedział w drewnie. Rzucił bosak i cofnął się.

Nelson nie patrzył na mężczyznę postępującego w jego stronę; jak zahipnotyzowany, widział tylko uniesioną siekiere, półokrągłe ostrze, ociekające krwią. Spadające na pokład krople krwi połyskiwały w półmroku. Siekiera obróciła się w rękę mężczyzny i teraz w Nelsona mierzył oskard. Zakrwawione trójkątne ostrze. Oskard uderzył w niego. Nelson uchylił się.

Oderwał wzrok od oskarda i zobaczył za mężczyzną, poza rufą, odpływającą z prądem pirogę. Gdyby mógł uciec z pokładu, dopłynąć do niej i po wiosłować... dokąd? Dokądkolwiek. Przed siebie.

Mężczyzna zamachnął się ponownie, Nelson zrobił unik w lewo i ostrze siekiery wbiło się w grodz. Zanim mężczyzna zdążył ją wyciągnąć, Nelson rzucił się na rufę.

W gęstniejącym mroku nie zauważył sterty pudeł po alkoholu, zanim się o nie nie potknął. Próbował się zatrzymać, ale pośliznął się na rybich wnętrznościach i przewrócił na pokład. W ostatnim obronnym odruchu bezradnie przykrył głowę rękami.

\*

Manuel niósł pod pachą ostatnie butelki, dwie kwarty Armagnacu. Nogi zaczynały mu już drętwieć od ciągłego kucania w ładowni, puścił się więc pędem do wyjścia, mając nadzieję, że zdąży się wyprostować, zanim mięśnie całkiem mu zeszywnieją. W prostokącie światła wpadającego przez otwarty luk cienie butelek ustawionych w szeregu na pokładzie przysłonięte zostały przez cień mężczyzny.

— To już ostatnie, panie Dick.

Orełdownik Zbawiciel żegnał się: — *Cóż, towarzysze, nadszedł czas zwinąć żagle, tutaj, w naszej Oazie...*

Zapach był pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę Manuel, ciężki, zgniły smród. To cuchnęło trochę jak wtedy, gdy koza zabita i na wpół zjedzona przez psy, leżała gnijąc na polu sąsiada. Wyciągnął rękę do luku i wystawił butelki, ale nikt ich nie odebrał. Potworny smród załzawił mu oczy. Spojrzał w górę i zobaczył stopy.

— *...aż do jutra, kiedy znowu podniesiemy nasze kotwice i wyruszy my razem w rejs po mieliznach życia...*

Manuel stał w luku, zdrętwiały ze strachu. Kropla krwi spadła na dywan tuż przed nim.

Ręka wyciągnęła zza szerokiego skórzanego pasa broń niepodobną do niczego, co Manuel kiedykolwiek widział. Kciuk odciągnął spust i dreszcz przerażenia przeszył ciało Manuela. Zamknął oczy i usłyszał trzask, syk i następnie donośne BUM, wszystko w ułamku sekundy.

Upadł do tyłu, uderzając głową o krawędź luku i zwałił się na dno statku. Słyszał dźwięk tłuczonego szkła, czuł zapach alkoholu i siarki oraz ból w głowie i konwulsyjny skurcz w jelitach.

A potem usłyszał jeszcze: *...i pamiętajcie, drodzy towarzysze rejsu, że zawsze wieje pomyślny wiatr, kiedy Jezus jest waszym kapitanem.*

Blair Maynard jak zwykle spóźnił się do pracy. Powinien być w biurze o dziesiątej, ale poprzedniej nocy siedział aż do 2.30 kończąc reportaż, zlecony mu przez jeden z magazynów lotniczych. Z większością podobnych zleceń uporałby się w ciągu popołudnia czy wieczoru; recenzja filmowa lub teatralna albo wywiad ze sławną osobistością, 750 dolarów za każde 1000 lub 1500 słów. Jednak ten artykuł zabrał mu więcej czasu, mimo że temat interesował go: ostatnie odkrycia schodów i kamieni brukowych, uważanych za prekolumbijskie, pod wodami okolic Wysp Bahama. Jego wnioski, po przeanalizowaniu wszystkich dowodów, były niezadowolające: nikt nie wiedział na pewno, co to były za kamienie. Najprawdopodobniej były ukształtowane i wygładzone przez naturę. Ale może i nie. Całe to badanie przeszłości, tego, kto mógł zbudować te schody i dlaczego, było ciekawe.

Ale nawet nie pracując, Maynard wynalazłby jakieś usprawiedliwienie, żeby zostać w biurze do późna, z dala od swojego mieszkania. Od czasu, gdy żona i syn wyprowadzili się, zabierając ze sobą większość mebli, obrazów, zasłon i dywanów, mieszkanie stało się miejscem, którego wolał unikać. W czasach, gdy było umeblowane i zadbane, stanowiło zlepek czworoboków pozbawiony indywidualnego charakteru, ale nadający się do życia. Teraz, puste i zaniedbane, było tylko całą, pospinaną z kartonów po koszulach.

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy po odejściu żony spędził mniej niż tuzin nocy w swoim mieszkaniu. Zamiast tego włóczył się po knajpach i wynajdywał długonogie dziewczyny, które zechciałyby wysłuchać jego narzekań na mieszkanie pełne nieznośnych wspomnień. Po kilku szkockich i paru zmyślonych anegdotach na temat jego dziennikarskiej kariery, zwykle otrzymywał zaproszenie na noc.

Ale teraz poseparacyjny napęd do sypiania ze wszystkimi kobietami na Manhattanie miał się ku końcowi. Podniecało go prowadzenie życia powieściowego rozpustnika, kiedy budził się w obcych łóżkach u boku kobiet, których imion nie pamiętał i których zachcianki dawały pełny upust jego fantazjom. Ale to wrażenie blakło wraz z każdą kolejną powtórką sytuacji.

Gdyby miał ochotę kontynuować związek, coś trwałego mogłoby powstać z jedną z dwóch spośród znanych mu dziewczyn. Ale nie był jeszcze gotowy do wiązania się z kimkolwiek ani z czymkolwiek. I tak płynęło jego życie, również seksualne. Sporadycznie wpadał do innej dryfującej łodzi, łączył się z kimś na krótko i płynął dalej swoją drogą.

Kiedy Maynard przeszedł na drugą stronę Madison Avenue przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, zobaczył jak wskazówka zegara na szczycie budynku Newsweeka przeskakuje z 10.59 na 11.00. Wszedł do budynku redakcji czasopisma Today, wymienił uprzejmości ze strażnikiem, który pilnował szeregu wind, i pojechał na osiemnaste piętro. Odjechał sprzed nosa kobiecie sprzedającej zakąski Schraffa, w momencie kiedy miała zamiar wejść do windy.

Biuro Maynarda było jednym z tuzina pokoi wychodzących na Madison Avenue. Miało trzynaście metrów kwadratowych pomalowanych na kolor akwamaryny, mieściło dwa biurka (jedno dla niego, drugie dla jego pracownicy), dwie szafy na książki, dwie maszyny do pisania, dwa telefony i pojemnik na akta. Jedyną ozdobą na ścianach było dwanaście okładek Today reprezentujących dorobek twórczy Maynarda w ostatniej dekadzie pracy dla czasopisma.

Już od dziesięciu lat urzędował wciąż w tym samym biurze, ale jego nazwisko nigdy jeszcze nie

figurowało na drzwiach. Kiedy był redaktorem działu rozrywki, tabliczka na drzwiach głosiła: Rozrywka. Potem był to Sport; potem (bardzo krótko) Nauki ścisłe i przyrodnicze, potem (może nawet jeszcze krócej) Sztuki piękne. Przez ostatnie trzy lata tabliczka głosiła: Trendy. Kiedy drzwi były zamknięte (działo się tak wtedy, gdy Maynard siedział przy telefonie załatwiając sobie nowe zlecenia) przypadkowo przechodzący naiwniak mógłby podejrzewać, że w środku pracuje Marshall McLuhan z Madison Avenue, albo świetnie zapowiadający się Tom Wolfe, albo przynajmniej pistolet trzymający rękę na pulsie pop—socjologii. Ten sam naiwniak raczej nie dałby rady stworzyć sobie wizji redaktora Trendów, takim jakim był w istocie: kościsty, trzydziestopięcioletni facet palący Lucky-Strikes, czytający książki historyczne i uważający Franka Sinatrę za największego artystę ostatniego ćwierćwiecza. Wyprzedał kolekcję broni odziedziczoną po ojcu, dopiero kiedy groziło mu więzienie. Ani nie wiedział, ani nie dbał o to, jaka jest różnica między Monkey Hustle a Pet Rockiem.

Jednym ze zjawisk społecznych, którymi Maynard szczególnie się interesował, była jego pracownica. Nazywała się Dena Gaines. Miała około dwudziestu pięciu lat i według ogólnie przyjętych kryteriów była pierwszorzędną babką. Miała wystające kości policzkowe, ostry, prosty nos, jasną cerę i ciemne włosy, które sięgały jej prawie do pasa. Zawsze była ostentacyjnie czysta. Wszystko w niej, jej skóra, ręce, włosy, ubranie, a nawet jej zapach, było nieskazitelnie czyste. Była też łagodna, skromna, cicha, inteligentna i pracowita. Bardzo lubiła Maynarda, nie dlatego, że pociągał ją seksualnie, ponieważ ta strona obojga ich osobowości była w biurze tłumiona, a żadne z nich nigdy nie zasugerowało, żeby ją ujawnić po godzinach pracy, ale we wzruszający, troskliwy, siostrzany sposób.

Jednakże żadna z tych cech nie miała nic wspólnego z fascynacją Maynarda Deną. Szczególnie interesowało go w niej to, że była jedyną osobą, jaką znał, która przyznawała się (choć nieśmiało) do tego, że jest praktykującą sadomasochistką. Pracowała u niego przez niespełna dwa tygodnie, kiedy po raz pierwszy wyznała mu, spokojnie i szczerze, że jest zwolenniczką kultu bólu i od tego czasu sporadycznie usiłowała przekonać Maynarda, że cierpienie i ból są jedyną prawdziwą drogą do osiągnięcia świadomości zmysłowej i samowiedzy. Nigdy nie dał się przekonać, jednak nie potrafił stłumić w sobie ciekawości i chęci poznania szczegółów jej życia. Usprawiedliwiał swoje co bardziej lubieżne fantazje mówiąc sobie, że badanie skrajności amerykańskich obyczajów jest częścią jego zawodu.

Kiedy wszedł do biura, Dena właśnie czytała reportaż, który napisała do wydania w przyszłym tygodniu, sprawdzając każdy fakt i podkreślając czerwonym ołówkiem wszystkie, których źródła była pewna.

— Dzień dobry — powiedział przechodząc do swojego biurka.

Spojrzała na niego.

— Czy wszystko w porządku?

— Jasne. Dlaczego miałoby nie być?

— Nie wiem, po prostu martwię się, kiedy się spóźniasz. Zawsze myślę, że coś mogło ci się przytrafić.

— Nie martw się. Najbardziej podniecającą rzeczą, jaka mi się przytrafia, jest wypadnięcie z łóżka, kiedy śnię mi się koszmary.

Uśmiechnęła się. Maynard wypił łyk kawy i zauważył, że Dena ma na sobie sukienkę z zapięciem pod samą szyję, a nad kołnierzykiem jeszcze szalik.

— Co jest pod tym szalikiem?

— Nic. — Dena zarumieniła się.

— No, śmiało. Powiedziałaś już tyle, że możesz powiedzieć więcej.

Dena zawahała się, potem wyjaśniła:

— Ukłucia.

— Masz na myśli ukąszenia? — Maynard starał się, aby w jego głosie brzmiało rozczarowanie.

— Każdemu się to czasem zdarza.

Wyzywającym ruchem Dena odwróciła ku niemu głowę i zdjęła szalik.

— Ukłucia.

Maynard zobaczył wyraźne, klute rany.

— Jezus Maria! — Wzdrygnął się. — To przecież musiało boleć jak wszyscy diabli!

— Owszem. — Dena uśmiechnęła się, z powrotem założyła szalik i wróciła do swojej pracy.

Maynard wyjął z szafy egzemplarze Daily News, Wall Street Journal i Christian Science Monitor i rozłożył je na swoim biurku. Timesa przeczytał już w domu, a teraz przeglądał nagłówki innych gazet w poszukiwaniu potencjalnych tematów dla Trendów. Zawsze łatwiej było przekonać wydawcę, że historia jest warta zachodu, jeżeli ukazała się, lub była choćby wzmiankowana, jeszcze gdzie indziej. Oryginalne pomysły były podejrzane, co prowadziło do paradoksalnej sytuacji: Maynardowi płacono 40 tysięcy dolarów rocznie za wyszukiwanie oryginalnych tematów dla działu Trendów, ale, i w tym właśnie tkwił paradoks, jeżeli historia rzeczywiście zasługiwała na zamieszczenie jej w tygodniku, z całą pewnością musiała być już wcześniej opublikowana przez jedną z bogatszych, lepiej pracujących agencji czy gazet codziennych.

W zeszłym roku, w czasie swojej podróży na Florydę, Maynard odkrył, że grupa organizująca podwodne wyprawy z akwakurkiem, wbrew wszelkim przepisom, przyjmowała klientów, którzy nie mieli pojęcia o nurkowaniu. Zaproponował ten temat swojemu wydawcy, który go odrzucił mimo tego, że dwoje ludzi utonęło na skutek niedoświadczenia i nieznamomości sprzętu. Nie chcąc pozwolić, żeby ta historia poszła w zapomnienie, Maynard przekazał cały materiał przyjacielowi z Timesa. Kiedy w końcu artykuł ukazał się w Timesie, wydawca Maynarda nalegał, żeby napisał drugi dla Today — oczywiście używając artykułu z Timesa jako podstawowego materiału źródłowego.

Maynard wyrzucił egzemplarz Daily News do kosza i odwrócił pierwszą stronę Journalu.

Jako inspiracja dla Trendów, Journal był bezużyteczny. Długie, bardzo szczegółowe artykuły na pierwszej, czwartej i szóstej stronie dosyć często traktowały o przedmiotach zainteresowania Trendów, ale były tak wyczerpująco zredagowane, że już niczego nie można było do nich dodać. Maynard podziwiał te artykuły i zazdrościł reporterom, którzy je pisali, mimo że napisanie takiego artykułu zabierało im niekiedy cały miesiąc. Reader's Digest mógł streszczać artykuły z Journal, ale Today nie mógł ich plagiatować. Właśnie miał zamiar zabrać się do Monitora, kiedy zauważył krótką wzmiankę u dołu kolumny Aktualności na pierwszej stronie.

ZAGINIĘCIA — głosił nagłówek, a w notatce Maynard przeczytał: Luksusowa łódź rybacka była oczekiwana kilka dni temu u wybrzeży wyspy Navidad na Morzu Karaibskim. „Marita” zarejestrowana w Grand Bahama miała w planie zabrać na pokład kapitana i gości czarterowych we wtorek.

Według statystyk Straży Wybrzeża, 610 jednostek pływających, mierzących powyżej 6 m długości, zaginęło na obszarze Morza Karaibskiego, Wysp Bahama i okolic Zatoki Meksykańskiej w ciągu ostatnich trzech lat, zabierając co najmniej 2000 istnień ludzkich.

Maynard przeczytał notatkę dwa razy, skupiając się na drugiej części. Jak 610 łodzi mogło tak po prostu zniknąć?!

Zabierając ze sobą Journal, Maynard przeszedł przez hall do narożnego biura. Drzwi były

otwarte i Leonard Hiller, starszy redaktor zarządzający kilkoma działami czasopisma, z Trendami włącznie, kłócił się z kimś przez telefon. Maynard wahał się przed drzwiami, aż sekretarka Hillera powiedziała:

— Możesz wejść. Właśnie ma jeden ze swoich napadów złego humoru, ponieważ zdjęli mu artykuł o Woody Allenie.

— Co znowu?

— Jakaś wojna domowa.

Kiedy Maynard niedbale opadł na krzesło naprzeciwko biurka Hillera, ten uniósł brwi i nadał policzki demonstrując tym zawód, spowodowany pokrzyżowaniem mu planów przez ludzi, którzy redagowali czasopismo, a których nazywał „Filistrynami z siedemnastego piętra”.

— Wiem, że to nie jest zabawne! — Hiller krzyczał do telefonu. —

To nie powinno być zabawne! Ten człowiek robi poważny film. Jest

poważnym artystą, prawdopodobnie jedynym poważnym artystą w amerykańskim filmie — przerwał, słuchając. — No i co z tego?

Południowa Afryka jest bliska eksplozji już od dwudziestu lat. Kogo to obchodzi?

Maynard wyłączył się. Był to rutynowy konflikt powtarzający się między kolejnymi redaktorami i wydawcami. Przedmiot dyskusji się zmieniał, ale problem był zawsze ten sam: artykuł, nad którym redaktor, autor, kilku pracowników i prawdopodobnie dwóch lub trzech urzędników pracowało od tygodni, padał ofiarą nieprzewidzianego krajowego lub międzynarodowego kryzysu. Redaktor głównego artykułu uważał, że kryzys jest sztucznie rozdęty; redaktor działu krajowego (lub międzynarodowego) twierdził, że główny artykuł nic nie wnosi. Rzecznicy najświeższych informacji i tak zawsze wygrywali, ponieważ ich koronnym, niezbitym argumentem było: Jesteśmy magazynem aktualności...

Chociaż nie przepadał za Hillerem, Maynardowi było go żal. Miał tylko trzydzieści trzy lata i zajmował stanowisko starszego redaktora — śmiertelny koniec dla każdego autora — kierując ludźmi, dla których sam kiedyś pracował i którzy zrezygnowali z tego stanowiska, zanim zostało zaproponowane jemu. Maynard odmawiał dwa razy, woląc pozostać na swojej obecnej posadzie, która dawała mu sposobność do nieograniczonej swobody dziennikarskiej. Starsi redaktorzy mieli dużą odpowiedzialność, a małą władzę. Obwiniani za wszystko, nagradzani rzadko, musieli niańczyć tuzin subtelnych ego piszących dla nich autorów i uspokajać trójkę olimpijskich ego swoich przełożonych.

Kiedy po ostatnich przetasowaniach okazało się, że Maynard będzie podlegał Hillerowi, próbował ułożyć swoje stosunki z szefem tak, aby żaden z nich nie był poniżony. Ale od pierwszego dnia w swoim nowym biurze Hiller grał rolę szefa przypisującego sobie miano eksperta w każdej dziedzinie, za którą był odpowiedzialny. Dla Maynarda Hiller stał się solą w oku.

— Dobrze, w porządku — mówił Hiller do telefonu. Przegrał, co było do przewidzenia. — Jakie długie to ma być? — Szybko zapisał coś na skrawku papieru. — Domyślam się, ale to oznacza zdjęcie dwóch kolumn Książek i... Nie mogę wyrzucić Sportu. Chwileczkę. — Spojrzał na Maynarda — Czy Trendy mają coś, co nie może czekać do przyszłego tygodnia?

— Nic, jak zwykle zresztą... — Maynard potrząsnął głową.

— Zdejmę Trendy. To mi zostawi ósmą dla Woody Allena. Tak... dobrze. — Odwiesił słuchawkę i powiedział do Maynarda: — Przykro mi.

Maynard wzruszył ramionami.

— Co się dzieje w Południowej Afryce?

— Kolejny bunt w Soweto, Chryste, oni wszczynają rozruchy w tym Soweto w każdy nieparzysty

wtorek! Będzie następna przepowiednia ostatecznej batalii i artykuł, z którego nic nie wyniknie.

— Widziałeś to? — Maynard podsunął Hillerowi Journal. Wzmiankę na temat zaginionych łodzi obrysował tłustym, czerwonym ołówkiem.

— I co? — Hiller spojrzał na notatkę.

— I co?! Sześćset dziesięć łodzi! Przepadło? Gdzie, u diabła, one się podziały?!

— Błąd w druku.

— Wątpię.

— No to zatoneły — podsumował Hiller. — Świat jest pełen idiotów, którzy kupują łodzie, a nie mają pojęcia, jak się z nimi obchodzić. Mój brat ma dużego Bertrama, który służy mu tylko do taranowania portu. Nie wybrałbym się z nim na przejażdżkę motorowerem.

— Zaginęło dwa tysiące ludzi.

— Pięćdziesiąt tysięcy ludzi ginie co roku na autostradach. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Moim zdaniem rzecz w tym — powiedział Maynard — że wodniactwo stało się bardzo popularnym sportem lub rozrywką, lub gałęzią przemysłu, lub jak chcesz to sobie nazwać...

— Tak samo jak jazda na deskorolce.

— Tak, ale dwa tysiące ludzi nie znika z deskorolek. Tam się coś dzieje i myślę, że mógłby to być całkiem niezły temat na reportaż dla Trendów. Jak to się dzieje, że te łodzie znikają? Gdzie się podziewają? Na ile niebezpieczne jest pływanie w tych rejonach? Co możesz zrobić...

Hiller przerwał:

— Skoro jesteśmy przy reportażach, czy rozejrzałeś się już za czymś na okładkę do jesiennej mody?

— Masz na myśli coś szczególnego?

— Mamy powody, by przypuszczać, że Newsweek weźmie Dianę von Fürstenberg.

— I co?

— To zgrabna i szykowna babka. Życzę sobie, żebyś znalazł kogoś równie dobrego. Nie chcę, żeby facet, przed stoiskiem z gazetami, musiał wybierać między Dianą von Fürstenberg a jakąś maskarą. Cały nakład będzie do niczego.

— No to weź Farrah Fawcett-Majors i owiń ją w worek foliowy.

— Nie pomagasz mi, Blair.

— Leonard, próbuję ci sprzedać historię, która, jak sądzę, jest ważna! Zawsze przecież zależało ci, żebym znalazł, jak to nazywasz, dobry temat na wielki reportaż.

— Wolałbym coś zabawniejszego. Problem w tym, że pełno tego mają w druku.

— Ta historia trafi do ludzi. Poruszy do głębi wielu naszych czytelników. Ma w sobie coś romantycznego; traktuje o tej części świata, która nazywa się Morzem Hiszpańskim. Zawiera sensację i jednocześnie jest świetnym tematem dla Trendów.

— Łodzie nie pomagają w sprzedaży czasopism.

— Bo nie mają cycków?

— Zapomnij o tym. Słuchaj, ta historia kosztowałaby nas zbyt wiele czasu i pieniędzy, a jest prawdopodobnie proste wyjaśnienie tej cholernej sprawy.

— Na przykład jakie?

— Na przykład... nie wiem. To twoja działka. Czy Times zamieścił coś na ten temat?

— Sprawdzę. — Maynard naciskał, czując, że Hiller mięknie. — Jeżeli tak, to mogę się tym zająć?

— Przeprowadź wywiad w Atlancie.

— Straż Wybrzeża ma centralę w Waszyngtonie.

— Straż Wybrzeża? No dobrze, więc w Waszyngtonie — teraz Hiller łągodził dyskusję.

— Oni nie lubią udzielać wywiadów reporterom. Wiesz, jak to jest. Połowa z nich wyobraża sobie, że jest Woodwardem i Bernsteinem, a reszta obstaje przy Walterze Lippmannie. — Maynard wstał. — Przejrzę jeszcze wycinki.

— I nie zapomnij o okładce. Chcę czegoś absolutnie wystrzałowego. Jak Jackie Bisset w mokrej koszulce.

— Co powiesz na Denę Gaines? — rzucił Maynard od drzwi. — Okręconą biczem...

W drodze powrotnej do biura Maynard zatrzymał się przy bibliotece i wypożyczył teczki o łodziach i sportach wodnych, a po namyśle dorzucił wybór materiałów pod hasłem: Zaginione osoby i Tajemnicze zniknięcia.

Dena wyszła już na swoje południowe zajęcia z aikido. Maynard wyjął notatkę z maszyny do pisania, rzucił na biurko materiały przyniesione z biblioteki i wykręcił numer telefonu do biura swojej żony.

— Biuro Devon Smith.

— Cześć, Nancy! Tu Blair Maynard.

— Pan Maynard! Miło mi pana słyszeć! Jak się pan miewa?

Sekretarka Devon zadawała to pytanie za każdym razem, gdy dzwonił, głosem pełnym troski i skrywanego współczucia. Naprawdę brzmiało ono: jak sobie dajesz radę bez tej wspaniałej kobiety? Czy to nie wstyd, że cię przerosła? Zostawiła cię w tyle?

Za każdym razem Maynard musiał przewycięzać pokusę wyjaśnienia jej wszystkiego. Devon go przecież nie zostawiła — jeśli nie trzymać się suchych faktów. Ich separacja, która już za 93 dni miała stać się rozwodem, była uzgodniona względnie polubownie i po przyjacielsku. Po dwunastu latach małżeństwa po prostu doszli do wniosku, że dążą różnymi drogami do zupełnie różnych celów. Właściwie to Devon doszła do takiego wniosku, a Maynard się z nią zgodził.

Przez pierwszych kilka lat małżeństwa mieli jeden wspólny cel: jego sukces. Był gorliwym, utalentowanym i ambitnym reporterem Washington Tribune, zarabiającym 10000 dolarów rocznie, mieszkającym w Georgetown i zadowolonym z napięć i niespodzianek pracy w waszyngtońskiej gazecie. Każda zwyczajna historia mogła być bombą. Zwykły mandat drogowy mógł przerodzić się w wielki skandal polityczny, ujawniający, powiedzmy, alkoholizm i niemoralne prowadzenie się wysokich urzędników. Przyznanie się do winy niższego urzędnika w sprawie kryminalnej mogło doprowadzić pilnego reportera do labiryntu korupcji na wyższych szczeblach. (Afera Watergate była wtedy sprawą przyszłości, ale miała swoje poprzedniczki).

Do wyjazdu z Waszyngtonu sprowokowała Maynarda jego własna niecierpliwość. Analizując swoją przyszłość w Washington Tribune doszedł do wniosku, że nie robi tutaj większej kariery.

Tygodnik Today zwabił Maynarda pensją 15 000 dolarów rocznie i stanowiskiem, które dawało mu w zarząd główny dział pisma. Jego nazwisko było umieszczone na liście szefów działów. Maynard i Devon kokietowani byli przez osoby odpowiedzialne za public relations, zapraszani na przyjęcia, kolacje i prywatne pokazy filmowe. To była dobra sytuacja dla kogoś, kto właśnie skończył dwadzieścia pięć lat. Już nie musiał dłużej ćwiczyć swoich umiejętności reporterskich — materiałów do jego artykułów dostarczali podwładni. Teraz był autorem prozy, dziennikarskiej oczywiście, ale uczył się pisać zwięźle, krótkie kawałki, które opowiadały historie wartko i przejrzyście. On i Devon byli zgodni, że gdyby Maynard miał czas udoskonalić swój warsztat, mógłby spróbować napisać powieść albo scenariusz. Praca w czasopiśmie była świetnym treningiem, ale nie była to kariera.

Dzień po tym, jak skończył trzydzieści lat, po raz pierwszy zaproponowano mu stanowisko



starszego redaktora. Devon nalegała, by je przyjął. To był awans, który dawał więcej pieniędzy, a co ważniejsze, oznaczałby zmianę w ich życiu.

Pokłócił się z nią. Gdyby przyjął to stanowisko, wzrost pensji i tak nie wynagrodziłby mu utraty zysków z niezależnej pracy dziennikarskiej. Starszy redaktor nie miał na nią czasu. Oznaczałoby to rezygnację ze wszystkich nadziei na napisanie powieści lub scenariusza. Lepiej było zostać na swoim miejscu, mając zupełnie przyzwoity zarobek za praktycznie dwa dni pracy w tygodniu, poszerzając swoje doświadczenie i kontakty przez pracę reporterską i gromadząc materiały, które mogłyby wykorzystać w przyszłości.

Devon była rozczarowana, ale w dalszym ciągu starała się go podtrzymać na duchu, zachęcać do dalszej pracy i doceniać efekty jego działalności dziennikarskiej (wiedziała, że był ze swojej pracy bardzo dumny), pomagała mu nawet snuć wątki przyszłej powieści. Ani razu nie zarzuciła mu, że popada w rutynę wygodnej egzystencji. Ani razu nawet nie zasugerowała, że jego powieść przedstawia ten typ marzeń o wolności i spełnieniu, którego on nigdy nie osiągnie.

Ich małżeństwo zaczęło się rozpadać cztery lata temu, chociaż wtedy żadne z nich nie miało o tym pojęcia. Justin, ich synek, zaczął wtedy chodzić do szkoły i po raz pierwszy przebywał poza domem od godziny ósmej rano do czwartej po południu. Devon podjęła pracę w agencji reklamowej i, ku swemu najwyższemu zdumieniu, okazała się niezłą maszynistką, a później, po dojściu do wprawy, wręcz znakomitą. Kiedy jej szef i dwóch innych kolegów opuściło agencję, żeby otworzyć nową, zabrali ją ze sobą. W ciągu roku została szefową maszynistek i współnikiem w firmie. Jej roczna pensja wynosiła 50 000 dolarów plus premia w wysokości połowy tej sumy.

Uwielbiała wszystko co było związane z jej pracą — długie godziny, pośpieszne rozliczenia finansowe, podróże służbowe, obsługę klientów i zadanie przekonania nabywców, by kupowali jej towary zamiast konkurencyjnych.

Zbudowała sobie świat, w którym czuła się szczęśliwa, podczas gdy Maynard poruszał się w świecie cudzych dążeń. Robiąc wiele, faktycznie nie robił niczego i nie wiedział dokładnie, czego chce. Nie miał ani szczególnej żądzy sławy, ani też wzdardy dla tych, którzy ją osiągnęli: wierzył w przepowiednię Andy Warhola, że do 2000 roku każdy w Ameryce będzie miał swoje 20 minut wielkości. Jego jedyną prawdziwą pasją była historia — być może z powodu podświadomego niezadowolenia z teraźniejszości. W swoich marzeniach żył w epoce wielkich odkryć (powiedzmy na przełomie XV i XVI wieku), kiedy ludzie robili różne rzeczy dla samego ich robienia, podróżowali do różnych zakątków świata po prostu dlatego, że nikt tam przedtem nie był, i przeżywali (przypominał sobie cytat z książki o Morzu Hiszpańskim) sen o lekkomyślności, zgubnej figlarności a nade wszystko ruchliwości.

Jego marzenia były koszmarem dla Devon. Ostatecznie oboje zgodzili się, że pragną różnej przyszłości. Devon nie chciała alimentów i zgodziła się na sumę 500 dolarów miesięcznie na utrzymanie dziecka.

— Świetnie, Nancy — powiedział Maynard. — Naprawdę świetnie. Devon dzwoniła?

— Tak. Właśnie wyszła na lunch. Będzie wściekła, że przegapiła pański telefon.

— Na pewno. Czego chciała? — Pewien był, że Devon zostawiła Nancy wiadomość. Nigdy nie zwracała się do niego bez powodu i rzadko miała do powiedzenia coś, czego nie mogłaby przekazać za pośrednictwem Nancy. Maynard był pewny, że Devon jest w biurze, ale wolała uniknąć kłopotliwej rozmowy. Zdawał sobie sprawę, że traktowała go jak jeden z rozdziałów swojej przeszłości; jeśli nie był zupełnie zapomniany, to w każdym razie schowany na dno szafy i wyciągany, jak niemowlęce fotografie i roczniki szkolne, tylko wtedy, gdy nachodziły ją wspomnienia.

— Chciała wiedzieć, czy mógłby pan zabrać Justina na kilka dni. Musi pojechać do Dallas i...

— Oczywiście. Świetnie. Od kiedy? — uciął Maynard.

— Od jutra. Na tydzień.

— Dobrze. Powiedz mu, żeby wsiadł w autobus i... — przerwał. — Nie, zapomnij o tym. Trendy są wolne w tym tygodniu. Zabiorę go ze szkoły.

Maynard odłożył słuchawkę i zaczął przeglądać teczki, które przyniósł z biblioteki. Większość notatek była dziełem Trendów. Traktowały one o różnych okresach rozkwitu wodniactwa w USA od połowy lat pięćdziesiątych. Zawierały informacje o pokazach, postępie w cementowych kadłubach oraz o dmuchanych łodziach jako orężu w walce z kryzysem energetycznym. Były też krótkie wzmianki o zniknięciu lub zatonięciu pojedynczych łodzi, ale nic, co by potwierdzało statystyki w Wall Street Journal.

Chwilę później trafił na notatkę w zestawie informacyjnym Straży Wybrzeża. Przeoczyłby ją, gdyby nie spadła na podłogę. Był to biuletyn Straży Wybrzeża, nawołujący żeglarzy do podjęcia specjalnych środków ostrożności podczas żeglowania w rejonie Zatoki Meksykańskiej, okolicach Wysp Bahama i na Morzu Karaibskim. Znalazł również kserokopię depeszy zawierającej cztery tysiące słów, zatytułowanej *Niebezpieczeństwa na otwartym morzu*.

Przeczytał depeszę najpierw szybko, a następnie drugi raz uważniej, robiąc podkreślenia. Potem udał się do biura Hillera. Drzwi były zamknięte.

— Redaguje — wyjaśniła sekretarka.

Maynard skinął głową sekretarce i otworzył drzwi. Hiller siedział zgarbiony przy swoim biurku, nanosząc poprawki na marginesie i między linijkami jakiegoś artykułu. Spojrzał rozdrażniony, ale kiedy zobaczył Maynarda, uśmiechnął się i powiedział:

— Margaret Trudeau.

— Co?

— Na okładkę. Jest bombowa! Dobrze ustosunkowana i jeszcze lepiej zbudowana. To samograj.

— Tak... ale...

— Pomyśl o tym. To wszystko, o co proszę.

— Słuchaj, znalazłem coś o tych łodziach. Było 610 zniknięć, nawet więcej, jak na dzień dzisiejszy; te informacje są sprzed roku. Nikt nie wie dlaczego. Straż Wybrzeża szacuje, że około pięćdziesięciu łodzi mogło zatonać. Pół tuzina lub tuzin mogło być uprowadzone.

— Co to znaczy: uprowadzone?

— Skradzione. Powiedzmy, że mamuśka i tatuś wybierają się w rejs. Mogą sami prowadzić łódź na wodach śródlądowych, ale kiedy dopłyną do wybrzeży Florydy kierując się na Karaiby, będą potrzebowali pomocnika. Zatrzymują się więc gdzieś i wynajmują załogę — jednego albo dwóch chłopaków, którzy mówią, że będą pracować za darmo, jeśli ich podwiozą na jedną z wysp. Po kilku dniach zabijają mamuśkę i tatusia, wyrzucają ich za burtę i zabierają łódź.

— Po co?

— Z dwóch powodów. Mogą popłynąć na północ i sprzedać łódź, jeśli mają sfałszowane papiery potwierdzające, że ją kupili, lub oddać paserowi, który zmieni numery oraz dokumenty i odsprzeda ją dalej. Nawet jeśli dostaną tylko jedną piątą wartości łodzi, to i tak będzie to od 10 do 15 tysięcy dolców. Mogą też zabrać łódź na południe i użyć jej do przerzutu narkotyków z Kolumbii. Stara, zniszczona łódź kolumbijska nigdy nie zdołałaby wpłynąć do portu na Wschodnim Wybrzeżu bez drobiazgowej kontroli, ale nikt nie będzie zatrzymywał nowej, czystej łodzi z amerykańską rejestracją, wracającej do swojego macierzystego portu. Po udanym przerzucie chłopaki wypływają na pełne morze, zatapiają łódź, wracają na brzeg dmuchaną łódką i czekają na następnych frajerów.

— Narkotyki mnie nie interesują — podsumował Hiller.

— To nie jest sprawa narkotyków. To tylko tuzin łodzi. Możesz z tego zrobić nawet 100 łodzi! Dodaj 50, które prawdopodobnie zatoniły z innych powodów, to wciąż jest 450 łodzi, które po prostu zniknęły. Przepadły i już!

— Trójkąt Bermudzki — skwitował Hiller. — Dopadła je Wielka Stopa.

— Leonard... — Maynard starał się powstrzymać ogarniającą go wściekłość. — Cokolwiek to jest, przewróciło do góry nogami etykę na morzu! Nikt nie pomoże łodzi będącej w rozpaczliwym położeniu, ponieważ sam boi się popaść w tarapaty; może to być przecież podstęp albo Bóg wie co jeszcze. W zeszłym roku w lipcu żaglówka z dwoma dziećmi na pokładzie zatoniła na oczach trzech łodzi rybackich i nikt jej nie pomógł.

— A ty wiesz, jak brzmi odpowiedź?

— Nie wiem. Proszę cię tylko, żebyś pozwolił mi przyjrzeć się tej sprawie bliżej...

— Już ci mówiłem: napisz do Straży Wybrzeża.

— To nie jest najlepszy pomysł.

Hiller nie odezwał się. Wbił wzrok w Maynarda, wychylił się do tyłu na krześle i założył ręce poświstując przy tym przez zęby.

Maynard pomyślał, że stara się wyglądać jak Clarence Darrow.

Ciągle milcząc Hiller wstał, przeszedł przez pokój i zamknął drzwi. Sprawiał wrażenie przygnębionego.

— Myślę, że już czas, by porozmawiać poważnie — powiedział siadając z powrotem za biurkiem.

— O czym?

— Nie sądzisz, że powinieneś się trochę ustatkować?

— Co masz na myśli?

— Pogódź się z sobą.

— Odnośnie czego?

— Odnośnie tego, co tutaj robisz.

— Zarabiam na życie.

— A co dajesz w zamian?

— Robię, co do mnie należy.

— Zgoda — powiedział Hiller — ale nic poza tym.

— Czego ty właściwie chcesz?

— Chcę, żebyś wykrzesał z siebie coś więcej, trochę zapалу, zaangażowania.

— Wymagasz ode mnie, żebym pasjonował się modą, automatycznym bilardem i tenisem telewizyjnym?!

— Blair, posłuchaj... — Hiller zawahał się. — Mój Boże, może to zabrzmie protekcjonalnie, ale wysłuchaj mnie. Przychodzi czas, kiedy każdy musi dojść ze sobą do ładu, powiedzieć sobie: To jest właśnie to, do czego się nadaję, mam zamiar zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych albo dostać nagrodę Pulitzera. Mam zamiar być najlepszym publicystą na świecie. Albo cokolwiek.

— Ja jeszcze ciągle szukam swojego cokolwiek.

— Ty je już znalazłeś i dobrze o tym wiesz, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Znałeś je już wtedy, kiedy odrzuciłeś tę posadę — Hiller poklepał swoje biurko. — Jesteś autorem, publicystą. Jesteś w tym dobry, ale to już wszystko, na co się stać. Być może za dziesięć lat wygrasz konkurs talentów i zostaniesz gwiazdą filmową, ale... — Hiller przerwał.

— Wiem, sądzisz, że jestem miernotą i jedyne, co mogę zrobić, to nauczyć się z tym żyć.

— Nie! Sądzę, że znalazłeś coś, co potrafisz robić dobrze, powinieneś być z tego zadowolony i tyle. Nie przeceniaj swoich możliwości. Inaczej spieprzysz wszystko.

— Aha. Mógłbym nawet zgubić terminarz wizyt u dentysty. — Maynard wstał. — Jadę do Waszyngtonu.

— Co chcesz tam znaleźć?

— Jednego faceta ze Straży Wybrzeża, który zajmował się tą sprawą z łodziami. Wywalili go z pracy, zajmuje się teraz latarniami morskimi. Nazwali go panikarzem. Chcę z nim pogadać.

— Sam mówiłeś, że ci faceci porównują się z Woodwardem i Bernsteinem. Co ci to da? — zauważył Hiller.

— Jest koniec tygodnia. Mam wolne i mogę robić, co chcę.

— Oczywiście, ale zastanów się nad tym, co ci powiedziałem, dobrze?

— Masz na myśli pogodzenie się z faktem, że jestem przegrany?

— Blair, na miłość boską...

Maynard ruszył do drzwi.

— Wiesz, Leonard, może i jestem przegrany — stwierdził — ale jeśli i tak spadnę na tyłek, mogę przy tym narobić dużo huków.

Zawsze żeglowali w tandemie, zarówno dla bezpieczeństwa, jak i dla towarzystwa.

Razem prowadzili firmę księgową w Montclair, New Jersey. Jeden z nich był ekspertem od spraw podatkowych, drugi biegłym rewidentem. Dzielili pokój w Wharton, przechodzili szkolenie w księgowości w tej samej firmie i pracowali razem już od dwudziestu pięciu lat. Ich łodzie były zbudowane przez tego samego człowieka, według identycznego planu: pojedynczy maszt dla grota i foka; dwie wygodne koje na śródokręciu i dwie dodatkowe w części dziobowej oraz odpływowy kokpit. Obie łodzie wyposażone były w proste, niezawodne silniki pomocnicze i nowoczesny sprzęt łącznościowy. Penzance Burta Lazlo i Pinafore Waltera Burguisa różniły się tylko wysokością wnętrza. Żona Lazlo, Bella, miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, podczas gdy ani Ellen, ani Walter Burguis nie mierzyli więcej niż sto siedemdziesiąt pięć centymetrów.

Obie rodziny od 1965 roku spędzały każde wakacje na wspólnym żeglowaniu. Całymi tygodniami wyznaczali trasę; dowiadywali się o wyposażenie portów: gdzie można dostać lód, wodę pitną i paliwo, gdzie są publiczne prysznice i przyzwoite restauracje, planowali wycieczki w głąb łądu dla zwiedzenia historycznych miejsc. Ze wszystkich sił starali się nie przeoczyć niczego.

Tegoroczna wyprawa była najambitniejszą z dotychczasowych. Wiodła z Miami do Haiti, zahaczając po drodze o Wyspy Bahama.

Jako dodatkowy środek ostrożności, na każdej z łodzi, rozłożony na części i ukryty w schowku z żywnością na czas odprawy celnej, znajdował się remington dwunastka i pięćdziesiąt nabojów z grubym śrutem.

Dwa razy; na Eleuthera i na Crooked Island, byli nagabywani przez młodych, natarczywych Amerykanów, którzy błagali o przewiezienie ich dokądkolwiek na południe w zamian za pracę na łodzi. Lazlo i Burguis czytali jednak ostrzeżenia Straży Wybrzeża i odmawiali.

Przez cały dzień wiał stały wschodni wiatr z prędkością dziesięciu węzłów i nic nie wskazywało na jakąkolwiek odmianę. Pinafore i Penzance posuwały się wolno na południowy wschód, wzdłuż zachodniego brzegu niewielkiej wyspy, szukając zacisznego kotwicowiska.

Wyspa nie była zaznaczona na mapie, ale takie przeoczenia zdarzały się zbyt często, żeby się tym niepokoić. Prawie wszystko w tej części świata było źle oznaczone: mielizny pojawiały się tam, gdzie ich być nie powinno; głębokie rowy oddzielały wysepki tam, gdzie miała być jedna; latarnie morskie oznaczone na mapie były tylko kupami gruzu; „zanurzone rafy” okazywały się całymi wyspami, a zaznaczone wyspy często były niczym więcej niż liniami rozbijających się fal. Nawigacja opierała się na zasadzie: masz przed sobą to, co widzisz. Z tego względu Lazlo i Burguis nigdy nie żeglowali nocą.

Pinafore płynęła sto metrów przed Penzance. Lazlo siedział za sterem i przyglądał się badawczo skalistej linii brzegowej. Wyspa miała około pół mili długości, wysokie na trzy metry ściany skalne zwieńczone były splątanymi zaroślami, gąszczem ciernistych krzaków i agawami. Lazlo zauważył leniwie, że agawy musiały już być kiedyś odarte z kory. Pozyskany sizal użyto do wyrobu lin. Lazlo nie widział wnętrza wyspy (jeżeli w ogóle jakieś było) ale wydawało się oczywiste, że od dawna nikt się nią nie zajmował. Nikt jej nie zamieszkiwał. Nikt nie mógł jej zamieszkiwać, oprócz ptaków. I robactwa.

— Lepiej wyjmij środek odstraszający owady, kochanie — powiedział do żony. — Obawiam

się, że dzisiejszej nocy dadzą się nam we znaki.

— Nie będziesz chyba wychodzić na brzeg? — powiedziała Bella wskazując na opustoszałą wyspę. — Nie na ten.

— Nie, ale woda jest tutaj zbyt głęboka, żeby rzucić kotwicę. Będziemy musieli nocować jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu, a wiesz przecież, jakie radary mają te diabelstwa...

Z przodu Lazlo dojrzał przerwę w ścianie skalnej. Sięgnął po mikrofon.

— Walter, przed nami wejście do zatoki. Biorę kurs na nią.

— Dobrze — odezwał się głos Burguisa. — Tutaj nie mogę rzucić kotwicy. Nigdy nie odzyskałbym jej z powrotem.

Kiedy podpłynęli bliżej, Lazlo zobaczył, że zatoka tworzy niewielki port — mniej więcej sto metrów szeroki i dwieście metrów długi. W głębi zatoki zardzewiałe tory prowadziły w górę plaży w zarośla.

— Pewnie do przewożenia wózków z sizalem — orzekł, zanim Bella zdążyła zapytać. — Prawdopodobnie ładowali je tutaj na statki.

Burguisa jeszcze nie było widać. Lazlo zakotwiczył Penzance, używając silnika do ustawienia łodzi jak najbliżej środka zatoki; w tej chwili fala przyływu skierowana była do portu, łódź stanie na kotwicy z rufą zwróconą do brzegu. Ale za kilka godzin zacznie się odpływ. Obie łodzie będą potrzebowały dużo miejsca na obrót razem z prądem. Nad ranem ich rufy będą zwrócone w kierunku morza.

Kiedy tylko łódź schroniła się przed wiatrem, natychmiast przypuściły atak owady: pikujące moskity i mikroskopijne czarne komary znane jako „niewidzialni zjadacze”, ponieważ ich ukąszenia nie powodowały swędzenia, ani klucia, ale ich toksyny wywoływały po pewnym czasie pojawienie się na skórze bolesnych obwódek. Lazlo zdjął okulary przeciwsłoneczne i zegarek (środek w areozolu zżerał plastikowe soczewki powodując najpierw ich zmatowienie, a później pęknięcie) i poprosił swoją żonę, aby spryskała go preparatem od czubka głowy aż po pięty.

Pinafore zakotwiczyła w pewnej odległości za Penzance. Lazlowie przyholowali ponton przywiązany do rufy ich łodzi, wsiedli do niego i podpłynęli do Pinafore. Podczas gdy Walter Burguis przyrządzał martini, Ellen i Bella rozpały ogień w japońskim piecyku na węgiel drzewny, zamocowanym na rufie.

Kiedy zjedli steki i ryby z puszki i obejrzelili zachód słońca, woda wokół zarośla się od żerujących ryb.

— Ostroboki — stwierdził Burguis.

— Naprawdę? — zdziwił się Lazlo. — Skąd możesz wiedzieć?

— Nie może — odezwała się Ellen Burguis. — Wszystko jest ostrobokiem. Chyba że pływa i coś go ugryzie, wtedy są to rekiny.

— No, niezupełnie tak, Ellen — zaprotestował Burguis. — To prawda, że czuję... hm, respekt... przed ludożercami. Możesz to nazwać śmiertelnym strachem, jeśli chcesz. Mimo to, jest pewien charakterystyczny sposób, w jaki młóci wodę swoją płetwą ogonową podczas żerowania, zupełnie inaczej niż nasze lufary. — Uśmiechnął się. — Widzisz, nawet taki pedant jak ja czasami wie, co mówi.

Lazlo skończył posiłek i umył swój talerz za rufą.

— Cieszę się, że macie takie wspaniałe sympozjum ichtiologiczne — powiedział — ale myślę, że pora już uderzyć w kimono. Jutro czeka nas długa droga. Kto chce wziąć pierwszą wachtę?

— Ja mogę — odezwał się Burguis. — Nie jestem zmęczony. Ellen może wziąć drugą, a Bella trzecią. To ci da dobrych pięć lub sześć godzin snu.

— Czy rzeczywiście musimy trzymać tutaj wachty? — zaprotestowała Bella Lazlo. — Nie zanosi się na burzę i chyba nie będzie tu ruchu.

— Przyjęliśmy takie zasady — odpowiedział jej mąż — i powinniśmy ich przestrzegać.

— Ale co właściwie mogłoby się stać?

— Zmiana wiatru, nagły szkwał, cokolwiek.

— Nawet kłusownicy — wtrącił się Burguis. — Czytałem, że grasują tutaj kłusownicy z Haiti i Kuby, poławiający homary. Możesz mi wierzyć lub nie, ale mogą dostać się na pokład i ogołocić nas do czysta.

— Nie mamy niczego, czego mogliby chcieć.

— Nie wiemy, czego zechcą. Jedno jest pewne: to parszywi narkomani, którzy gotowi są zabić dla działki.

— To wypróbowane zasady sztuki żeglarskiej — powiedział Lazlo. — Stoimy na wachcie co noc, nawet w porcie, i budzimy się rano zdrowi i cali. Nie ma powodu, żeby nagle zmieniać zwyczaje. — Przyciągnął ponton, wskoczył do niego i przytrzymał chwilę przy burcie Pinafore czekając na Bellę.

Kiedy dotarli do swojej Penzance usłyszeli jeszcze, jak Burguis woła:

— Jest teraz ósma trzydzieści, Ellen weźmie wachtę o dziesiątej trzydzieści i obudzi cię, Bella, o wpół do pierwszej. — Bella skinęła ręką.

Burguis przechylił piecyk i wysypał spalone brykiety za burtę. Przyglądał się przez chwilę, jak stadko otacza opadające drobiny i, uznawszy popiół za niejadalny, znika w mroku. Zszedł do kabiny i wrócił z remingtonem, który załadował trzema nabojami.

— Naprawdę uważasz, że to konieczne? — zapytała Ellen, wycierając naczynia.

— Jak się stoi na wachcie, to się stoi. Nie widzę powodu, żeby go nie mieć przy sobie.

Na niebie nie było chmur, które odbijałyby światło, więc kiedy tylko słońce schowało się za horyzontem, niebo szybko pociemniało. Ellen Burguis spojrzała na zegarek. — Późno już...

— Spróbuj pospać. Odrobina snu jest zawsze lepsza niż nic.

— Dobrze. — Zeszła na dół i zaciągnęła zasłonę w drzwiach.

Burguis zabrał ze sobą na łódź teczkę pełną książek. W domu ledwie znajdował czas na przeczytanie czegoś więcej niż gazety lub czasopisma handlowego i przez cały rok odkładał na bok sterty książek do czytania na wakacjach. Wszystko to były broszurki, lekkie, nieduże i niewiele warte. Burguis czuł się wolny, porzucając czytanie marnej książki po dwudziestu czy trzydziestu stronach i ciskając ją do morza. Prozaiczne zanieczyszczenie środowiska — mruczał pod nosem uszczęśliwiony, widząc jak książka nasiąka wodą i znika w kilwatterze za rufą.

Usiadł na rufie z karabinem u boku, oświetlając sobie latarką strony Smoków Edenu.

Noc była pełna naturalnych odgłosów: na brzegu pohukiwanie i krakanie ptaków, w wodzie pluski ryb, a z kabiny na łodzi dochodziło ciche pochrapywanie oddychającej przez nos Ellen.

Burguis usłyszał plusk tuż za łodzią, niegłośny, ale bardziej wyrazisty niż spowodowany przez rybę. Pchnięty ciekawością skierował światło latarki za burtę i zobaczył rozchodzące się po powierzchni wody kręgi, jak gdyby przed chwilą coś do niej wpadło. Jakaś ryba musiała chyba wyskoczyć ponad powierzchnię wody i zniknąć z powrotem. Wrócił do Carla Sagana analizującego złożone funkcje najstarszej części ludzkiego mózgu.

Nagle wydało mu się, że rufa łodzi zanurzyła się — nieznacznie, zaledwie o kilka centymetrów. Burguis odwrócił się, lecz zanim zdołał cokolwiek dojrzeć w ciemności, ktoś okręcił mu garotę dookoła szyi i ostry drut przeciął wszystko, z wyjątkiem kości.

Wleczony do tyłu, za burtę, w ostatnich sekundach życia Burguis nie czuł bólu. Miał tylko

niejasne poczucie, że stało się coś niedobrego, nic więcej.

Ociekający wodą mężczyzna stał w kokpicie i nasłuchiwał. Z kabiny dochodziło chrapanie. Odciągnął zasłonę u drzwi.

Ellen Burguis leżała na plecach, przykryta prześcieradłem, i oddychała głęboko. Kropla wody spadała jej na twarz i wleciała do nosa. Ellen poruszyła się.

— Już? — Pociągnęła nosem i poczuła przenikliwy zapach słonej wody zmieszanej z obrzydliwym odorem zdechłego zwierzęcia.

Jakaś postać stała pomiędzy jej koją i drzwiami, zasłaniając światło. — Walter?

— Pomodliłaś się, mamusku?

— Walter?

Usiłowała usiąść, ale czyjaś pięść pchnęła ją z powrotem na poduszkę. Coś przemknęło jej przed oczami.

Postać odwróciła się. Ellen wyciągnęła rękę, próbowała coś powiedzieć i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ma podcięte gardło.

Mężczyzna stał na rufie obracając w rękach karabin, oglądając go ze wszystkich stron i celując w niebo. Suwadło było dla niego czymś obcym. Odciągnął je i zasunął z powrotem, wystraszył się, gdy nabój wyskoczył z komory i wpadł do wody. Zajrzał do otwartej komory, policzył pozostałe naboje i pchnął suwadło do przodu.

Trzymając karabin wysoko w górze, ześlizgnął się do wody i popłynął w kierunku Penzance, cicho przebierając stopami owiniętymi w przesiąkniętą wodą, niewyprawioną skórę.

Kilka minut później, w ciszy nocnej rozległy się dwa strzały i odbiły się echem od skalistego urwiska.



— O rany! — Justin podniósł głowę znad ostatniego numeru American Rifleman. — Mama mnie zabije!

Siedzący obok Maynard zamknął teczkę, w której wiozł notatki zabrane z redakcji Today.

— Co się stało?

— Zapomniałem o lekcji gry na pianinie.

— Kiedy ją masz?

— W każdą sobotę w południe.

— Spokojnie, jest dopiero dziewiąta czterdzieści. Zadzwonimy do twojej nauczycielki z lotniska i jakoś to załatwimy.

— To jest on. Pan Yanowsky. On nie wierzy w żadne usprawiedliwienia...

— Mnie uwierzy. Powiem mu, że masz ciężki przypadek plam słonecznych. — Maynard uśmiechnął się na wspomnienie. — Użyłem tego kiedyś w Washington Tribune, kiedy miałem straszliwego kaca. Poskutkowało. Podejrzewali mnie nawet o raka.

— Mama musi mu za tę lekcję zapłacić. — Justin nie był do końca przekonany.

— Ja mu zapłacę. W porządku?

— Nie wiem. — Justin spłonął rumieńcem. — Mama mówi, że twoje czeki są nic nie warte.

— Tak mówi? Przez jeden głupi czek bez pokrycia nie popada się od razu w nałóg. Zapłacę twojemu nauczycielowi i tym razem czek będzie w porządku, zgoda?

— Zgoda.

— To świetnie. — Maynard zmarszczył brwi. — Mama nie powinna ci mówić takich rzeczy.

— Mama mówi, że zły przykład jest najlepszą nauką.

— Przede wszystkim to dobry przykład jest najlepszą nauką. Tak powiedział Benjamin Franklin.

— Maynard wybuchnął śmiechem.

— Wiem, ale to jej nie pasowało.

— Nie pasowało — do czego?

— No, nie brzmiało tak jak chciała.

— Ten czas jest kością wyłamaną w stawie — jak można liczyć, że ja ją nastawię? — roześmiał się znowu.

— Co?

— Nic. To Hamlet. Jego sławny monolog ortopedyczny.

— Co to jest Hamlet?

— Sztuka. Niedługo ją poznasz.

Justin wrócił do American Rifleman, — Popatrz, czy nie widzieliśmy jednego z tych? — Pokazał Maynardowi zdjęcie rewolweru typu Colt Frontier.

— Aha, to rzadki okaz. Pamiętasz, jak błyszczała kabura? Ta skóra miała sto lat.

— Tutaj piszą, że jednostrzałowe colty nie były zbyt precyzyjne. Miały za małe rękojeści.

— Nie musiały być precyzyjne. Rzadko strzelano z nich na odległość większą niż sześć metrów.

Cała walka toczyła się zwykle na małej przestrzeni.

— A pojedynki na pistolety? No wiesz, kiedy wyzywali się na pojedynek.

— Założyłem się, że to nie zdarzało się częściej niż raz w roku. Zwykle gdy dochodziło do bójki,

strzelali do siebie w każdy możliwy sposób. W plecy, spod stołu, zza drzwi.

— To nieuczciwe.

— Uczciwość nie ma tu nic do rzeczy. Sztuką było zakończenie sprawy tak szybko jak to możliwe i wyjście z tego cało. — Maynard przerwał i popatrzył na syna. — Żadna strzelanina nie ma sensu, Justin. Jeżeli się w coś takiego wpakujesz, musisz walczyć o własną skórę. Uczciwość lepiej zostawić dla innych.

Zapaliła się lampka wzywająca do zapięcia pasów bezpieczeństwa i stewardesa zapowiedziała przez głośnik, że za kilka minut będą podchodzić do lądowania.

— Szkoda, że nie możemy już strzelać — powiedział Justin.

Aż do ubiegłego roku, kiedy to rodzice Maynarda przeprowadzili się do Arizony, obaj z Justinem często spędzali weekendy na strzelaniu z ojcem Maynarda, zwanego Dziadusiem, na jego małej farmie w Pensylwanii. Dziaduś był mistrzem strzelców w Korpusie Marynarki w czasie drugiej wojny światowej, a podczas wojny koreańskiej testował broń dla Pentagonu. Jego osiemnastowieczny, kamienny dom pełen był przeróżnych militarnych pamiątek: od zabytkowego muszketu z czasów Jakuba I po ładowany od tyłu karabin skałkowy Fergusona używany w bitwie o Kings Mountain w czasie Rewolucji Amerykańskiej, oraz, ulubiony Justina, rzadki przykład wieloczynnościowego „systemu Stonera”, który współczesnego żołnierza zmieniał w jednoosobowy batalion. To były dobre weekendy, pełne ciepła i wzajemnej bliskości, a jednocześnie ekscytujące.

— Pewnie — zgodził się Maynard. — Na pewno jeszcze kiedyś sobie postrzelamy.

— Kiedy? — Justin spojrzał na ojca wyczekująco.

— Nie wiem. — Zobaczył jak chłopiec odwraca głowę, rozczarowany. — Maynard nie mógł niczego obiecać.

— A pamiętasz, jak strzelaliśmy do rzutków? Byłeś wtedy naprawdę dobry.

— Miałem tylko trzy trafienia.

— No tak, ale... — Niepotrzebnie o tym wspominał. Maynard zapomniał, że kolba karabinu była za długa i Justin musiał trzymać go pod pachą, zamiast na ramieniu. — Ja też za pierwszym razem trafiłem tylko trzy.

— Tak, ale za drugim razem trafiłeś dziewiętnaście.

Samolot podchodził do lądowania i opuszczał podwozie.

— Czy zdecydowałeś już, co chcesz obejrzeć?

— Tak, Muzeum Lotnictwa. Mówiłeś, że będziesz tam przez dwie godziny.

— Mniej więcej. Ale nie denerwuj się, gdybym został trochę dłużej. I pod żadnym pozorem nie wychodź z budynku.

— Tato... — w głosie Justina czuć było obrazę i naganę. Jego dojrzałość i rozsądek zostały niesprawiedliwie zakwestionowane.

— Przepraszam.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego nie mógłbyś porozmawiać z tym facetem przez telefon.

— Telefon nie jest najlepszym sposobem na poznawanie ludzi. Przez telefon ani cię nie polubią, ani nie obdarzą zaufaniem. Ja muszę zdobyć zaufanie tego człowieka.

— Czemu?

— Ponieważ chcę, żeby mi powiedział rzeczy, których mu mówić nie wolno. Wystarczyło, że raz o nich wspominał i to zrujnowało całą jego karierę.

— To pewnie nie będzie chciał rozmawiać o nich znowu.

— Być może, ale mam nadzieję, że będzie. Mam nadzieję, że jest wściekły.

\*

Z lotniska pojechali taksówką do Muzeum Lotnictwa. Maynard wysadził Justina uzbrojonego w numer telefonu biura Today w Waszyngtonie „na wypadek, gdyby budynek nagle stanął w płomieniach albo coś takiego”, potem dał taksówkarzowi adres w dzielnicy willowej w pobliżu Katedry Waszyngtońskiej.

W czasie gdy taksówka jechała wzdłuż Rock Creek Parkway, Maynard układał w myśli pytania, które zamierzał zadać Michaelowi Florio, człowiekowi ze Straży Wybrzeża, który został usunięty ze stanowiska za interesowanie się sprawą ginących łodzi. Przez telefon Florio był ostrożny. Początkowo nie chciał rozmawiać z Maynardem, potem zażądał powtórnego telefonu przez centralę Today. To nieco staroświecki, ale w większości wypadków niezawodny sposób na przekonanie się, że rozmówca jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, a przynajmniej, że pracuje tam, gdzie mówił, że pracuje. Następnie wyrecytował standardową litanię: nie wie, dlaczego został przeniesiony; ludzie często są przenoszeni na inne stanowiska; zrobił, co mu kazano.

Żadna z tych odpowiedzi nie zaskoczyła Maynarda. Florio zostało tylko kilka lat do przejścia na emeryturę. Dlaczego miałby teraz ryzykować tylko dla zobaczenia swego nazwiska w druku?

Taksówka skręciła z Connecticut Avenue w Trzydziestą Czwartą Ulicę i zagłębiła się w cichą, ocienioną dzielnicę umiarkowanie kosztownych starych domów średniej wielkości. Kierowca zatrzymał się pod wejściem szaro otynkowanego domu z pochyloną drewnianą werandą.

Michael Florio miał około czterdziestu pięciu lat, krótko przystryżone włosy i posturę świadczącą o dobrej formie fizycznej. Ubrany był w białą, trykotową koszulkę, a jego ręce pokrywał drobny, biały pył. Wokół oczu widać było odcisk okularów ochronnych.

— Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać — powiedział Maynard.

— Taak. — Florio wpuścił go do przedpokoju i zamknął drzwi. — Może piwa?

— Chętnie.

Florio poszedł do kuchni. Maynard domyślił się, że mieszka tu sam, ponieważ gospodarowanie w kuchni wydawało się niemożliwe: pomieszczenie zamieniono na warsztat. Na okrągłym stole leżały porzucane wiertła, dłuta, małe młotki i kawałki kości słoniowej. Do krawędzi stołu przymocowane było imadło. Na półkach stały rzeźbione figurki wielorybów, rekinów i innych ryb oraz ptaków i statków.

— Ładny zbiór — stwierdził Maynard.

— Taak. — Florio wyjął z lodówki dwie puszki piwa. — Może zacznę tym handlować. Nie mogę przez dwadzieścia lat siedzieć na werandzie i oglądać zachód słońca. — Podał Maynardowi piwo i powiedział: — Nie udzielam wywiadów.

— Rozumiem.

— Cokolwiek powiem... jeśli w ogóle powiem... to nie może być nagrywane.

— W porządku.

— Naprawdę? — Florio był zaskoczony.

— Proszę się nie obrażać, ale tak naprawdę, wcale nie interesuję się panem... — Maynard sącył piwo.

— To dobrze. Nie chcę, żeby ktokolwiek się mną interesował.

— Nie chcę narażać pana na kłopoty. Nawet nie wspomnę o panu, jeśli o to chodzi...

— Dokładnie o to. — Florio poczuł się swobodniej.

Usiadł i wskazał Maynardowi krzesło. W imadle tkwiła na wpół wyrzeźbiona głowa orła. Florio nie mógł oderwać od niej oczu.

— Niech pan sobie nie przerywa... — Maynard wskazał rzeźbę.

— Dobrze. — Florio wypił łyk piwa, włożył okulary, wziął ze stołu cienkie dłuto i zabrał się do pracy.

— Wie pan, że oni ciągle jeszcze do mnie dzwonią.

— Kto?

— Krewni zaginionych. Wiedzą, że kiedyś się tym interesowałem, i myślą, że mogę im pomóc. Ja nic nie mogę zrobić, ale oni myślą, że mogę. To straszne, kiedy się widzi, jak oni wciąż nie tracą nadziei...

— Czy w ogóle jest ktoś, kto mógłby im pomóc?

— Sęk w tym, że w tej sprawie nie ma właściwie żadnej tajemnicy; to nie jest afera Watergate. To jest... — Spojrzał w górę. — Ja nie wiem, co to jest. Mniej więcej tak jak mówi Straż Wybrzeża: „Jeśli możemy cię łatwo znaleźć, to znajdziemy. Jeśli nie możemy, to twoja strata. Jeśli nadasz przez radio wiadomość, że masz kłopoty, zaryzykujemy dla ciebie własną skórę” — i mówię panu, ci faceci są prawdziwymi magikami, gdy są razem w akcji — „ale jeśli znikasz bez śladu, to cóż, Bóg z tobą”. Oni twierdzą, że są policjantami na posterunku, a nie biurem osób zaginionych.

— Sześćset dziesięć łodzi! Przecież musi być jakaś odpowiedź!

— Oczywiście, całe mnóstwo. Niektóre już pan zna; mówił mi pan przez telefon. Inne to: nieodpowiednie łodzie, którymi ludzie wypływają gdzie nie powinni; ci, którzy celowo zatopili swoje łodzie dla odszkodowania z tytułu ubezpieczenia i sami też utopili się przy okazji; kaprysy pogody. Jedna łódź tu, jedna tam, to wszystko są całkiem dobre odpowiedzi. Ale ma pan rację, to więcej niż sześćset przeklętych łodzi! He więcej, nikt nie wie. Weź pan choćby Maritę, kilka dni temu. Tak przy okazji jest to jednocześnie dobry i zły przykład.

— To znaczy?

— Dobry, bo to była solidna, dobrze skonstruowana i doskonale utrzymana łódź, prowadzona przez kapitana z prawdziwego zdarzenia — miał patent na dowodzenie nawet cholerną Queen Elisabeth II — i obsadzona załogą pierwszej klasy. Zatonęła wraz ze wszystkimi (jeśli rzeczywiście zatonęła) w dniu całkowitej flauty. W tych warunkach nawet małe dziecko ubrane w kapok potrafiłoby utrzymać się na wodzie przez trzy dni i wyjść z tego cało! Zły, ponieważ była zarejestrowana na Wyspach Bahama i Straż Wybrzeża ma gdzieś, co się z nią stało.

— Mają jakieś teorie?

— Tak, oczywiście. Wykombinowali sobie, że albo rozbiła się na rafach i zatonęła, albo wybuchł jeden z silników. Spróbuj jednak wysadzić silnik diesla, a zobaczysz, jak rozrzuci szczątki wokół tego cholernego miejsca. Nic takiego nie znaleziono. A nawet gdyby wpadła na rafy i zatonęła, to dlaczego nikt nie dostał się na brzeg? Mówią — rekiny. Niech to szlag trafi!

Florio wziął wiertło dentystyczne, włączył wiertarkę, wstrzymał oddech i bardzo delikatnie wiercił jeden z oczodołów orła. Zdmuchnął kurz z orlego oka i mówił dalej:

— Łódź Banshee jest lepszym przykładem. Zarejestrowana była w Wilmington, a jej właścicielem był facet, który zbił majątek na cedrowych gontach. Łowili przez miesiąc krążąc między Puerto Rico i Haiti i próbując złowić rekordowego marlina. Właściciel odleciał do domu z Port-au-Prince, a kapitan ruszył w powrotną drogę łodzią. Nadał przez radio do Mayaguany, że przyplynie tam o zmroku. Potem słuch o nim zaginął. Dobra pogoda, dwóch członków załogi, którzy pływali z nim od piętnastu lat, żadnych autostopowiczów. Straż Wybrzeża podejrzewała, że być może kapitan upłynął łódź i przepadł. Ale ten facet zarabiał trzydzieści tysięcy dolarów rocznie, plus

połowa dochodów z czarteru w czasie, gdy właściciel nie korzystał z łodzi, do tego jeszcze bezpłatna nauka w prywatnej szkole dla jego trzech dzieciaków i dom w Fort Lauderdale. Człowieku, gdzie on by znalazł lepsze zajęcie?!

— A jakie jest pana wyjaśnienie?

— Nie mam żadnego. Możliwe, że miało to coś wspólnego z narkotykami. Obie łodzie były przystosowane do dalekich, pełnomorskich rejsów. Mogły paść łupem przemytników, z drugiej strony jednak wiem, że kapitan Banshee miał na pokładzie broń, więc nie wierzę, że jego łódź została porwana. Zresztą nawet gdyby porwano obie, zostaje jeszcze sześćset dziewięć innych. Dziennie znika jedna łódź i tak jest od trzech lat. Tak to wygląda przeciętnie biorąc. Szczerze mówiąc, nie myślę, żeby ktoś wykrył, co stało się z tymi łodziami. W każdym razie, nie ze wszystkimi... nawet nie z połową z nich.

— Dlaczego?

— Jeszcze piwa?

Florio zaczął od prostych powodów: trudności w patrolowaniu rozległych przestrzeni otwartego oceanu, ignorancja i lekkomyślność świeżo upieczonych żeglarzy, niezrozumiałe zaburzenia magnetyczne, które rozregulowują radia i kompasy, nagłe zmiany pogody; wszystko, czego siły oddziaływania można się tylko domyślać.

— Słyszał pan o zabójczych falach? Niektórzy nazywają je superfalami.

— Nie.

— Fale poruszają się w ciągach, różniących się odległością między grzbietem i doliną fali. Co jakiś czas zdarza się, że kilka ciągów zbiegnie się razem. Fale, które powstają w wyniku nałożenia się na siebie trzech lub czterech ciągów, są prawdziwymi potworami. Niektóre z nich dochodzą do trzydziestu lub nawet pięćdziesięciu metrów wysokości i wyrastają jak spod ziemi. Nie trwają dłużej niż minutę — bardzo szybko rozpadają się z powrotem na ciągi — ale więcej nie potrzeba. Taki tankowiec radzi sobie spokojnie z sześciometrowymi falami. Nagle tuż przed nim wyrasta dziesięciopiętrowa ściana wody i z hukiem pędzi na niego z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Przepaść przed taką falą jest czasem głębsza niż długość tankowca, więc wali się on dziobem w dół pod miliony ton śmiertelnie ciężkiej wody, gotowych w każdej chwili załamać się nad nim.

— Rozbija go na kawałki.

— Niektóre tak. Inne, siłą bezwładu, płyną prosto w dół, pod falę. Ocean je połyka. — Florio wziął łyk piwa i w bałaganie na stole znalazł małe dłuto o łyżeczkowatym ostrzu. — Do tego dochodzą jeszcze kolizje.

— Większość wypadków jest przecież zgłaszana.

— Czyżby? Parę lat temu do Long Beach w Kalifornii wpłynął tankowiec. Płynął z Orientu, to łatwa trasa. Jeden z cumowniczych zapytał: — Co się przytrafiło pańskiej kotwicy, kapitanie? — Co masz na myśli? — zdziwił się kapitan. — Proszę zobaczyć. — Kapitan schodzi na brzeg, ogląda dziób i widzi okręcony dookoła kotwicy na sterburcie pełen zestaw żagli i takielunku.

— Niczego nie czuł? Nie słyszał wołania?

— A co miał czuć? Stutrzydziestotonowy statek prujący przed siebie z prędkością dwudziestu pięciu węzłów? Nic by nie poczuł, nie zobaczył, ani nie usłyszał, nawet gdyby miał radar czynny na okrągło, który zresztą miał. Ciemną nocą na wzburzonym morzu duży statek i mała żagłówka są dla siebie tak samo niewidoczne. Żeglarze nigdy nie wiedzą, co ich czeka.

Teraz Florio rozpoczął wyliczanie wszystkich zawiłości prawa, które gmatwały sprawy morskie: FBI może wkroczyć, jeśli popełniono przestępstwo federalne, ale ma niewielkie możliwości

prowadzenia śledztwa w sprawie przestępstw popełnianych na pełnym morzu; Agencja do Walki z Narkotykami może działać, gdy zachodzi podejrzenie o narkotyki, ale jeśli w grę wchodzi przemysł, to dużo do powiedzenia ma też biuro celne. Wiele łodzi znika na wodach terytorialnych innych państw, co pociąga za sobą udział Departamentu Stanu i Interpolu. Straż Wybrzeża w większości wypadków ma związane ręce, a najczęstszym rezultatem sporów na wyższych szczeblach jest bezczynność. Poza tym, zaginięcia jakichś przypadkowych łodzi i kilku istnień ludzkich nigdy nie były przedmiotem zainteresowania wielkich koncernów prasowych.

— Hm, gdyby zaginał Robert Redford, rząd mógłby narobić hałasu — zachichotał Florio. — Ale jeśli znika jakiś tam zwyczajny facet, można o nim zapomnieć. Oprócz tego jest jeden ważny haczyk w naszym prawie, który powoduje, że właściciel łodzi woli siedzieć cicho, jeśli nie chce sobie zaszkodzić. Towarzystwa Ubezpieczeniowe nie wypłacają odszkodowań w przypadku „porwania i zagarnięcia mienia”. Tak więc facet, któremu łódź gdzieś znika, dostaje pełne odszkodowanie, o ile trzyma gębę na kłódkę i pozwala wszystkim wierzyć, że łódź zatонуła. Jeśli pójdzie do FBI i zgłosi, że łódź została porwana na pełnym morzu, nie dostanie ani centa. Odszkodowanie to sto do stu pięćdziesięciu tysięcy dolców za łódź, jest więc całkiem ważny powód, by zamknąć oczy i zwalić winę na Neptuna. Względnie na Trójkąt Bermudzki. Każdy chętnie uwierzy w Trójkąt Bermudzki.

— A pan?

— A w co tu wierzyć? Jasne, czytałem książki o Atlantydzie, statkach kosmicznych, morskich potworach i podwodnych nawałnicach. Niewątpliwie dużo rzeczy znika w tym rejonie bez śladu. Ale jeśli przystawi mi pan pistolet do głowy i zapyta: „Co to jest?”, będę musiał odpowiedzieć, że jest to najlepszy przykład na człowieka i naturę zmierzających w dwu przeciwnych kierunkach. To jest naprawdę przeklęty rejon. Nie ma tam dużego ruchu, słaba łączność, brak przyzwoitych map i wiarygodnych prognoz pogody. Jeśli więc taki Charlie Żaglówka wypływa z Miami w rejs dookoła Wysp Bahama używając jedynie atlasu dla orientacji w terenie (niektórzy z tych idiotów rzeczywiście tak robią) jest to zwykłym kuszeniem losu...

— Proszę mi powiedzieć, tak między nami — odezwał się Maynard — co, pana zdaniem, przydarzyło się tym łodziom?

Florio ściągnął okulary, zawieszając je na szyi i zapatrzył się w kuchenne okno. Widać było, że dokonuje w myślach jakichś obliczeń.

— Jedna trzecia lub nawet połowa najprawdopodobniej poszła na dno, zatонуła; pogoda, głupota i tak dalej. Jedną piątą, powiedzmy około stu trzydziestu łodzi, porwali przemysłowcy narkotyków, a potem ukryli lub wywieźli na Pacyfik. Garstka łodzi, najwyżej parę tuzinów, została skradziona, tak jakby ktoś kradł samochód, i odsprzedana gdzieś indziej. Ci, którzy to robią, to prawdziwi szaleńcy, dla zdobycia łodzi posuwają się często do podwójnego lub potrójnego morderstwa — Florio przerwał.

— Zostało jeszcze ponad sto łodzi.

— Wiem. — Florio uśmiechnął się gorzko. — To są właśnie te, dzięki którym zarządzam teraz latarniami morskimi. — Popatrzył na Maynarda. — Naprawdę nie nagrywa pan? Bez kawałów?

Maynard skinął głową.

— Myślę, że ktoś te łodzie zabiera. Nie wiem kto i nie wiem dlaczego, nie wiem też co z nimi robi. Jest to jednak jedyna rzecz, która ma jakiś sens. Widzi pan, to nie jest nic nowego. Ja tę liczbę: sześćset dziesięć, otrzymałem po prostu przez dodawanie. Przestałem dodawać w 1974 roku bo... bo przestałem. Mógłbym dodawać dalej, rok po roku w tył, tak daleko jak tylko zechcę... Oczywiście ostatnio tych zniknięć jest więcej, bo jest też coraz więcej łodzi. Ale odkąd ludzie prowadzą zapiski, proporcjonalnie tyle łodzi znika bez śladu, bez wytłumaczenia. To dzieje się już od ponad

osiemdziesięciu lat.

— I sądzi pan, że będzie tak w dalszym ciągu?

— Tak, na Boga, tak sędzę! W tym tygodniu były dwa kolejne przypadki.

— Nic na ten temat nie słyszałem.

— Nie mógł pan. Nie ma właściwie żadnych dowodów, tylko wiadomość, że dwie łodzie nie pojawiły się na czas. Dwie pary z New Jersey mogą się jeszcze znaleźć, ale znając okolice, w których pływali, nie założyłbym się o to.

— Gdzie to było?

— Obszar między... — Florio urwał. — Chwilę, łatwiej mi będzie pokazać to na mapie, niż opowiadać.

Wstał i poprowadził Maynarda na górę do swojego gabinetu, małego, przytulnego pokoju wypełnionego książkami i różnymi przedmiotami pochodzącymi ze statków — dzwon, podstawa żyrokompasu, knagi, mosiężny iluminator. Ściany wyklejone były mapami morskimi. Florio przyklęknął za biurkiem i wskazał palcem półkolisty łańcuch wysp. — Tutaj. W okolicach Wysp Caicos.

Maynard szukał na mapie jakichś punktów odniesienia, ale nic takiego nie znalazł. — Gdzie one są?

— Caicos? Na południowy wschód od Wysp Bahama i północny wschód od Haiti. Są kolonią brytyjską. Pełna nazwa brzmi: Wyspy Turks i Caicos.

— Co tam jest?

— Głównie wraki statków. Przed laty Hiszpanie przepływali tędy w drodze powrotnej do domu. W tych okolicach było sporo katastrof morskich. Złośliwą pułapką są piaszczyste łachy, jesteś na głębokiej wodzie i nagle — bęc! — masz dno na głębokości półtora metra. Mieszkańcy Bermudów poszukiwali tam kiedyś soli, a na niektórych wysepkach uprawiano agawy na sizar.

— Zaraz, zaraz. — Maynard przypomniał sobie coś, o czym czytał. — Czytałem kiedyś dyskusję o tym, gdzie dokładnie po raz pierwszy Kolumb wylądował w Nowym Świecie. Jeden facet twierdził, że na San Salvador...

— Tak. To jest na Wyspach Bahama.

— ...a drugi upierał się przy czymś, co nazywał „grupą wysp Caicos”. Nie wiedziałem wtedy, o co mu chodzi.

— Nic dziwnego. To miejsce zapomniane przez Boga. I tylko jeden Bóg wie, ile łodzi przepadło w tych okolicach. Dam głowę, że całe setki.

— Nikt nie chciał tego wyjaśnić?

— Nie ma na to sposobu. Zresztą, nikogo to nie obchodzi.

— Jak się tam dostać?

— Samolotem. Z Miami jest jedna linia lotnicza do Turks i Caicos. Linia zmienia właściciela średnio co sześć miesięcy. Ostatnio jakoś nikogo nie zabili, ale chyba tylko dlatego, że samoloty latają za wolno.

— Był pan tam kiedyś?

— Nie. Słyszałem tylko, że największą atrakcją tego miejsca są skorpiony. — Florio popatrzył na Maynarda i spostrzegł, że coś musi się dziać w jego umyśle. — Co pan wie o tropikalnych wyspach? Z własnego doświadczenia, oczywiście.

— Byłem w Nassau. Łowiłem ryby w Walker's Cay i nurkowałem z akwalungiem — koło Elenthery. Ale to było dawno temu.

— Nie wiem, o czym pan myśli, ale Caicos to nie Nassau. Ma się do Nassau mniej więcej tak,

jak Entebbe do Nowego Jorku.

— O niczym nie myślę — odparł Maynard.

— Owszem, myśli pan. Ale to już pańska sprawa...

\*

Była pierwsza trzydzieści, kiedy Maynard wrócił do muzeum. Nie było go blisko trzy godziny. Justin nie czekał ani na stopniach przed muzeum, ani w hallu.

Maynard odnalazł go w kolejce do sali kinowej. Zawołał Justina zza aksamitnej liny, która stanowiła barierę.

Justin opuścił miejsce w kolejce i przelazł pod liną.

— Możesz to obejrzeć, jeśli chcesz. Nigdzie się nie spieszymy.

— Nie, już to widziałem. To jest film o historii lotnictwa. Klawy. Prawie się porzygałem! —

Justin wskazał przez szklane drzwi na budynek po drugiej stronie alei. — Czy możemy tam pójść? Jeden dzieciak powiedział mi, że tam jest bombowa wystawa broni.

— Oczywiście. Nasz samolot odlatuje dopiero za półtorej godziny.

Kiedy przechodzili przez ulicę, Justin wziął ojca za rękę. Po drugiej stronie Maynard próbował wyswobodzić dłoń, ale Justin trzymał dalej. Maynard poczuł się głupio i niewygodnie, nie był przyzwyczajony do prowadzenia kogoś za rękę. Chwilę później zdał sobie sprawę ze swoich uczuć i ogarnął go smutek. Przez miesiące separacji stracił kontakt z chłopcem, nie orientował się w jego codziennych zmartwieniach i potrzebach. Przestał dostrzegać w nim dziecko; Justin był osobą, którą Maynard spotykał co drugi weekend, której towarzystwo lubił i z którą prowadził uprzejme, zajmujące, ale nie intymne rozmowy. Teraz Maynard odnosił wrażenie, że chłopiec pragnie odnowić ich kontakt. Poczuł wzruszenie i wdzięczność. Mocno ścisnął rękę Justina.

— To było odjazdowe muzeum — powiedział Justin.

— Dobrze. — Maynard chciał powiedzieć znacznie więcej, ale nie bardzo wiedział co i jak.

Przeszli skrajem parku przy Hirshorn Gallery i posuwali się w stronę zwieńczonego szczytami budynku z brązowej cegły.

— Co to za wystawa?

— Z okazji stulecia.

— Chyba dwustulecia.

— Nie, stulecia. Tak mówił ten dzieciak.

Jako część obchodów dwusetnej rocznicy Stanów Zjednoczonych muzeum wystawiło eksponaty, które były pokazywane w czasie obchodów stulecia w 1876 roku. Zgodnie z planem, wystawa miała być zamknięta na początku 1977 roku, ale cieszyła się taką popularnością, że termin ten przesunięto.

Na wystawie można było obejrzeć stroje, urządzenia mechaniczne, rękodzieła, przyrządy morskie, żywność i lekarstwa, a na tyłach budynku zbiór broni z połowy dziewiętnastego stulecia: karabiny Gatlinga, moździerze, tomahawki, noże myśliwskie, Derringery (małe pistolety dużego kalibru) oraz działa. Na ścianie, w wielkiej szklanej gablocie prezentowany był zbiór broni palnej marki Colt.

Justin stanął przed gablotą pozerając oczami każdą sztukę broni, w wyobraźni przenosząc się na pola bitew, do obozów Indian i na szlaki spędów bydła.

Maynard wrócił myślami do rozmowy z Michaeliem Florio. Powtarzał sobie pytania i odpowiedzi, przypominał liczby. Każde pytanie, na które znał zadowalającą odpowiedź, prowadziło nieuchronnie do innego, co do którego nie było nawet wiarygodnej wskazówki.



— Ten mi się podoba najbardziej — stwierdził Justin wskazując na sześciostrzałowy, uderzeniowy karabin bębinkowy. — Nigdy jeszcze takiego nie widziałem.

— To rzadka broń. Nie przyjęła się.

— Dlaczego? Ten karabin mógł wystrzelić sześć pocisków, a inne tylko jeden.

— Tak, ale Winchester wprowadził automaty, do których można było używać nabojów, zamiast tradycyjnego zapalnika i kuli. Wadą karabinów uderzeniowych było to, że kiedy pustoszała jedna komora, powodowało to czasami jednoczesne opróżnienie pozostałych. Ludzie tracili przy tym oczy i ręce. — Maynard spojrział na zegarek. — Chodźmy!

Nie było tłoku na drodze i na lotnisko dotarli z dwudziesto—minutowym zapasem. W drodze do wschodniego wejścia przeszli przez hall, w którym spora grupa ludzi tłoczyła się do wyjścia na pokład samolotu do Miami. Maynard zatrzymał się.

— Co się stało? — zapytał Justin.

Maynard nie odpowiedział. W głowie kłębiły mu się różne myśli, pomysły i wątpliwości. Zdrowy rozsądek nakazywał wrócić do Nowego Jorku i na razie dać sobie spokój z tą całą historią. Trzeba wszystko dobrze przemyśleć. Pogadać z Hillerem. Tak byłoby bezpieczniej. Mimo to cały czas dręczyła go myśl, że właściwie nie ma do czego wracać. Nie wybierał między bezpieczeństwem i ryzykiem; musiał wybrać między szansą osiągnięcia czegoś a rezygnacją.

— Chodź! — Wziął Justina za rękę. Zawrócił do hallu.

— To nie nasz samolot!

— Teraz nasz.

— Czemu?

— Czemu nie? Byłeś już kiedyś w Miami?

— Nawet nie wiem, gdzie to jest!

— Masz dwanaście lat i nie wiesz, gdzie jest Miami? Najwyższy czas, żebyś się dowiedział.

Maynard szedł ciągnąc za sobą zaskoczonego Justina.

— Rety! Mama mnie zabije!

— Czemu ciągle to powtarzasz? Nigdy cię jeszcze nie zabiła. Poza tym będziemy z powrotem, zanim się o wszystkim dowie.

Maynard wyjął z portfela kartę American Express i podszedł do kasy.

— Nie mam nawet szczotki do zębów.

— Kupimy ci jakąś. Ludzie na Florydzie też myją zęby.

Przez cały czas trwania lotu Justin zgłaszał dziesiątki obiekcji, na które Maynard cierpliwie odpowiadał. Zarzuty nie były poważne, ani przemyślane; Justin był po prostu podekscytowany i chciał rozproszyć swoje obawy co do konsekwencji takiego spontanicznego oderwania się od codziennej rutyny. Uspokajał się w miarę, jak Maynard rozwiązywał kolejne problemy i rozwiewał wątpliwości.

— A co w ogóle będziemy tam robić?

— Rozejrzemy się. Poszukamy kilku osób, zadamy im parę pytań. Może trochę pozwiedzamy.

— Kiedy ty wreszcie wydoroslejesz, tato?

— Ejże! — powiedział. — Sam tego nie wymyśliłeś. To mi wygląda na mamę. — Maynard był zaskoczony.

Justin zaczerwienił się.

— Nie przejmuj się. Dlaczego o to pytasz? Czemu sądzisz, że nie jestem dorosły? Widziałem reklamę w Playboyu: oni uważają, że najlepsze lata mam już za sobą. Facetów po trzydziestce nie obejmują badaniami rynku.

— Dorosli nie robią takich rzeczy. — Justin wykonał gest w kierunku samolotu.

— Czy dorośli nie mogą się bawić?

— Mama mówi, że ty sam siebie nie lubisz. I dlatego ciągle pracujesz dla Today.

Maynard usiłował wymyślić jakąś ciętą, dowcipną odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Był zażenowany i zły, bo uzgodnili z Devon, że nigdy nie będą wyrażać się o sobie lekceważąco w obecności ich syna.

— Wiesz, Justin...

— Ja ciebie lubię. Nie lubisz siebie? Ja cię naprawdę lubię... — Justin nieśmiało ujął rękę Maynarda.

— Coś ty, stary... — Maynard poklepał ręką Justina i odwrócił wzrok. Po chwili powiedział: — Coś ci powiem. Pracuję w Today z wielu powodów. Trzeba coś jeść, a tam nieźle mi płacą. Jestem dobry w tym co robię, tak dobry, jak tylko można, a to już coś. To nie jest zła praca. Jest wielu ludzi, którzy marzą o tym, by pisać dla Today.

— Chcesz robić jeszcze coś innego?

— Masz na myśli, kiedy już dorosnę? — Maynard uśmiechnął się.

— Tak. — Justin wyglądał na spłoszonego.

— Nie wiem, zastanawiam się nad tym, a czasami próbuję się nie zastanawiać. Łatwiej jest myśleć o tym, kim jesteś, niż o tym, kim nie jesteś. Jeśli jest na świecie ktoś, na kim chciałbym się wzorować, to jest to Samuel Elliot Morrison.

— Kto to jest?

— Człowiek, który wiele podróżował, wiele widział, a o tym czego nie mógł zobaczyć, bo działał się to w przeszłości, czytał i próbował przeżyć na nowo, a potem pisał książki opowiadając wszystkim o tym, czego się dowiedział.

— Chcesz pisać opowiadania.

— Prawdziwe opowiadania. To jest jeden z powodów, dla których jedziemy na Florydę. Justin skinął głową, wyraźnie zadowolony z wyjaśnienia.

— A kim ty chcesz być, Panie Inkwizytorze? — zapytał z uśmiechem Maynard. — Czy kiedykolwiek o tym myślisz?

— Czasami. Kiedy byłem mały, chciałem zajmować się bioniką, ale teraz nie jestem już tego pewien.

\*

Kiedy wylądowali w Miami, Maynard wysłał Justina po komiksy i wieczorną gazetę. Miał nadzieję, że będą w niej informacje o dwóch zaginionych parach z New Jersey. Sam podszedł do biurka z napisem: Biuro Courtesy. Egzaltowana młoda dziewczyna, z farbowanymi blond włosami, twarzą Barbie i aspiracjami do figury Dolly Parton, uśmiechnęła się do niego i oznajmiła:

— Witamy! Jestem Ginny! Czym mogę służyć?

— Czy może mi pani powiedzieć, jak się dostać do Caicos?

— Oczywiście, proszę pana! Czy to jest gdzieś w okolicach Palm Beach?

— Nie, proszę pani. Chodzi mi o wyspy Turks i Caicos.

— Ach tak! Zobaczmy. — Otworzyła rozkład lotów i sunęła palcem po literze T. — Ojej, zdaje mi się, że nie ma żadnych takich.

— Żadnych jakich?

— Wysp Turks i Caicos.

— Rozumiem. Czy mogłaby pani poszukać Navidad?

— Z pewnością. — Przerzuciła kilka stron. — Jest! Navidad. Stąd się pan tam nie dostanie.

— Nie? A skąd się tam dostanę?

— Sądzę, że znikąd. Proszę spojrzeć. — Odwróciła książkę w kierunku Maynarda. — Air Sunrise: odwołane. Out—IslandAir: anulowane. Air Eden: nie kursuje.

— Ale ludzie jakoś się tam dostają — powiedział Maynard.

— Być może. Jeśli pan tak twierdzi.

— Więc proszę mi powiedzieć jak?

— Naprawdę nie wiem. — Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Może jakiś czarter?

— Możliwe. Proszę zapytać tam. — Wskazała na biurko Reliable w końcu korytarza.

— Dziękuję za pomoc.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Polecamy się na przyszłość.

Maynard poczekał na Justina, który pędził już z naręczem komiksów. Razem poszli do Reliable.

Szczupły śniady mężczyzna siedział za biurkiem i wypełniał formularz biletowy, pisząc tak wolno i starannie, jakby kaligrafował. Po każdym słowie lizał końcówkę długopisu i wstrzymywał oddech przed rozpoczęciem następnej sylaby. Cały język miał usmarowany na niebiesko. Maynard pomyślał, że ten człowiek musi być półanalfabetą.

Zaczekał, aż skończy wypisywać bilet, i powiedział:

— Przepraszam, chciałbym się dowiedzieć, jak się dostać do Turks i Caicos?

— Pasy startowe są nieoświetlone. Spróbuj pan znaleźć to cholerne miejsce po nocy, a ręczę, że wylądujesz w Afryce.

— A jutro?

— Jeśli będą mieli ochotę polecieć.

— Jacy oni?

— Tropic Airway. W skrócie: TiA. — Mężczyzna uśmiechnął się. To dowcip.

— Reliable już tam nie lata?

— Władze nas wysiadały. Zarzucono nam nieregularną obsługę. Nie wiem jak, u diabła, może być regularna, kiedy połowa pasów startowych jest pełna wybojów, a druga połowa stoi pod wodą!

— Wynajmujecie samoloty?

— Jasne. Za siedemset pięćdziesiąt dolców osobiście dostarczę każdego do Twin Beach!

— Gdzie jest biuro Tropic Airway?

— Nie ma żadnego biura. Facet załatwia interesy przy barze.

— Jak wygląda?

— Nie sposób go przegapić — mężczyzna zachichotał. — Chyba że już padł, i to na plecy...

W barze było tłoczno i ciemno, ale biała koszulka z wymalowanym z tyłu napisem Tropic Airway rzucała się w oczy już od drzwi. Maynard posadził Justina na wolnym miejscu obok faceta w białej koszulce i zamówił coca-colę. Justin ustawił komiks pod takim kątem, by padało na niego światło małej lampy na suficie i zaczął czytać.

Maynard wychylił się do przodu, ponad ramieniem Justina i odezwał się do mężczyzny z Tropic Airway.

— Przepraszam, dowiedziałem się, że lata pan do Caicos.

— Um. — Spojrzał na Maynarda i wrócił do swojej pina-colady.

— Kiedy jest następny lot?

— Jutro lecę z żywnością.

— Mogę zarezerwować dwa miejsca?

— Nie.

— Jest już komplet?

— Nie zabieram pasażerów. Jedyne pilot przewożący pasażerów lata w środy. Albo w czwartki, to zależy.

— Aha. — Maynard poczuł, że ma już tego dość. Powiedział do Justina: — Wypij i pójdziemy zobaczyć, czy złapiemy jeszcze samolot do Nowego Jorku.

Justin wysączył ostatni łyk i wstał.

— Nie mówiłem, że nie możecie lecieć — odezwał się mężczyzna.

— Owszem, mówił pan.

— Nie. Powiedziałem tylko, że nie możecie zarezerwować miejsc.

— Rozumiem, więc jak... — Maynard wziął głęboki wdech.

— Muszę was zabrać za darmo.

— Aha... to bardzo uprzejmie z pana strony.

— Oczywiście nic nie szkodzi, żebyście dołożyli się do kosztów paliwa.

— Jasne. He wynosi... mój wkład?

— Pięćdziesiąt dolców od łebka. Płatne gotówką z góry.

— Załatwione. Kiedy lecimy?

— O siódmej. Nie będę na was czekał.

— Przy którym wejściu?

— Wejściu? Kurczę! — Mężczyzna skinął głową w kierunku płyty lotniska. — Tam, przed hangarem.

— Jaki to sprzęt?

Mężczyzna spojrział na Maynarda i zniżył głos do szyderczego basu.

— Cóż, kapitanie, powiem ci: sprzęt jest jak kapryśny ptaszek, który nie wie, czy ma ochotę polatać.

Jedyną parlamentarną odpowiedzią, jaka przyszła Maynardowi do głowy było:

— Okej. — Wziął Justina za rękę i wyprowadził z baru.

Dziewczyna przy biurku Courtesy zarezerwowała dla nich pokój w hotelu i skierowała do firmowego mikrobusu, który miał ich tam zawieźć.

W drodze Maynard zapytał Justina:

— Co chcesz robić dzisiaj wieczorem?

— Obojętnie. Może pooglądamy telewizję?

— Słuchaj, kolego, jesteśmy w Miami. Powinieneś chyba coś niecoś zobaczyć.

— Dobrze. Jedziemy gdzieś jutro?

— Może. Najpierw powinienem wykonać parę telefonów.

— W poniedziałek muszę iść do szkoły.

— W poniedziałek zrobimy sobie wakacje. To niespodzianka.

— Jakie wakacje?

— Cierpliwości. Sam zobaczysz.

\*

Telefonistka z centrali wyjaśniła, że jest tylko jedna linia telefoniczna do Turks i Caicos, zwykle albo zajęta, albo zepsuta. Większość wiadomości odbiera się przez radio, a nadaje pocztą pantoflową. Ponadto, tłumaczyła, nie ma sensu próbować dodzwonić się do władz w sobotę wieczorem.

Maynard błagał ją, by spróbowała uzyskać połączenie. Powiedział, że koniecznie musi porozumieć się z kimś z miejscowych władz. Nie był pewien, czy wyspy mają w ogóle jakieś władze, ale argument poskutkował. Telefonistka obiecała, że zadzwoni.

Obejrzeni wiadomości wieczorne (żadnej wzmianki na temat łodzi z New Jersey), a potem, na prośbę Justina, Brady Bunch. Maynard już zamierzał ponownie wykręcić numer centrali, kiedy zadzwonił telefon.

— Mam Caicos dla pana — poinformowała telefonistka. Na tle jej głosu Maynard słyszał głośnie brzęczenie i burzę trzasków.

— Z kim będę mówił?

— Nie wiem. Wykręcałam różne numery tak długo, aż jeden odpowiedział. — Trzask i telefonistka wyłączyła się.

— Halo? Halo? — Brzęczenie na linii pulsowało, to nasilało się, to słabło. — Halo?

— Nawzajem. — To był głos kobiety, niewyraźny i daleki.

— Z kim rozmawiam?

— A do kogo pan dzwoni?

Maynard mówił wolno, starając się wymawiać wyraźnie każde słowo:

— Nazywam się Blair Maynard. Jestem z tygodnika Today. Próbuję skontaktować się z kimś z władz.

— Birds — powiedziała kobieta.

— Nie rozumiem.

— Birds! — powtórzyła kobieta.

— Co za Birds?

— On nazywa się Birds. Jest tutejszym pełnomocnikiem rządu. Birds Makepeace.

— Czy orientuje się pani, gdzie on jest?

— Nie tutaj. Jak może, tak unika Ewy...

— Czy mogę zostawić dla niego wiadomość?

— Czego pan chce od Birdsa?

— Chciałbym spotkać się z nim jutro. Czy mogłaby pani mu to powtórzyć?

— Przypuszczam, że będzie w pobliżu, chyba że pójdzie na ryby.

— Gdzie pani jest?

— Gdzie ja jestem? — kobieta była zaskoczona — Tutaj. A gdzie pan jest?

— Nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, czy jest pani na Grand Turk?

— Grand Turk? Co ja bym robiła na Grand Turk?

Maynard próbował przypomnieć sobie nazwy innych większych wysp w grupie Caicos.

— Great Bone? Czy jest pani na Great Bone Cay?

— Mam nadzieję — zachichotała. — Ostatnio na to wyglądało.

— A gdzie on jest? Gdzie jest Birds?

— Nie ze mną. Już mówiłam.

— To rozumiem. Ale gdzie...?

Wysoki, przenikliwy gwizd przerwał połączenie. Po nim nastąpiły trzy, podejrzanie brzmiące trzaski i wszystko ucichło. Nie było słychać nawet brzęczenia. Maynard odłożył słuchawkę.

Justin oglądał program o małpach człekokształtnych.

— I co, umówiłeś się?

Maynard roześmiał się.

— Moje podanie jest właśnie rozpatrywane. — Podniósł słuchawkę i wykręcił numer redakcji

Today w Nowym Jorku. O 19.30 w sobotę można było tam zastać tylko jednego dyżurującego pracownika redakcji, który siedział przy teleksie i pilnował, czy nie nadciąga jakiś kryzys mogący zmienić główny artykuł. Nowy numer tygodnika kilka godzin temu został zamknięty i nic, poza zabójstwem prezydenta lub wybuchem wojny światowej, nie mogło zakłócić jego druku.

— Campbell.

— Cześć Ray, tu Blair Maynard. Czy mogę zostawić wiadomość dla Hillera?

— Dam ci jego numer domowy.

— Nie chcę niepokoić go w domu. Mógłbym poczekać z tym do poniedziałku, ale nie wiem, gdzie wtedy będę. — Maynard nie chciał rozmawiać z Hillerem. Hiller mógłby odmówić mu pozwolenia na wyjazd; wyspy obejmowało swym zasięgiem biuro Today w Atlancie, a szefowie tego biura niechętnie patrzyli na intruzów z Nowego Jorku, zwłaszcza w przypadku tak nieprawdopodobnej historii jak ta. Ponadto mógłby zarzucić Maynardowi, że wyjechał bez jego pozwolenia. Maynard nie chciał się kłócić. W końcu najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać ze strony Hillera po powrocie do redakcji, była odmowa podpisania zwrotu kosztów podróży. Maynard znał mnóstwo sposobów na to, by wynagrodzić sobie dodatkowe koszty. — Powiedz mu tylko, że wpadłem na pewien ślad w sprawie łodzi i zadzwonię do niego, kiedy będę mógł.

— Dobrze.

— Dzięki, Ray. Dobranoc.

Maynard oderwał Justina od Star Trek i razem zeszli na dół. W hallu kupili podręczną torbę, do której Maynard zapakował przybory toaletowe, bieliznę i stroje kąpielowe.

— Może pójdziemy popływać — wyjaśnił Justinowi. — Nie chcesz chyba siedzieć na plaży w

spodniach.

Przed hotelem wsiedli w taksówkę i Maynard poprosił kierowcę, żeby pojechał wzdłuż Collins Avenue w Miami Beach.

— Powinieneś obejrzeć Fontainebleu — powiedział do Justina. — To jedna z rzeczy, które trzeba zobaczyć przed śmiercią. Może zginie jak dinozaury, ale reprezentuje kluczowy moment w ewolucji człowieka.

— Paskudne — stwierdził Justin, kiedy taksówka wyjechała z kręgu smętnych wyziewów otaczających Fontainebleu. Przy końcu alei oznajmił apatycznie: — Wszystko jest paskudne.

— To tyle, jeśli chodzi o kulturę. — Maynard pochylił się do przodu i powiedział do kierowcy: — Teraz jedziemy do śródmieścia.

— Gdzie do śródmieścia?

— Obojętnie. Proszę nam pokazać osobliwości.

— Osobliwości — zamruczał kierowca. — Stoją na rogu każdej ulicy. Pytanie tylko, czy woli się Kubankę, czarną, czy też jakiegoś białego śmiecia.

Było już po ósmej. Maynard czuł głód, a Justin wyglądał na śpiącego.

— Chcesz coś zjeść?

— Jasne. Jedźmy do hotelu i zamówmy coś do pokoju. Będzie ekstra. — Justin ziewnął.

Kierowca skręcił w prawo i zawrócił w stronę lotniska. Nagle Justin poderwał się z miejsca.

— Tato, zobacz!

Przed sobą, po prawej stronie, Maynard spostrzegł neon: Strzelecki supermarket.

— Co to jest, u diabła? — zapytał kierowcę.

— To, co napisane. Supermarket. Sprzedają broń. Na tyłach mają też strzelnicę wielką jak kręgielnia.

— Tato. Zatrzymajmy się.

— Sądziłem, że jesteś głodny.

— Chcę tylko zerknąć.

— Dobrze.

Kierowca zatrzymał się przy krawężniku.

— Jak długo tam będziecie?

— Kilka minut. Może pan na nas zaczekać?

— Powiniennem wziąć zastaw, na przykład zegarek albo dwie dychy. Ale dobrze.

Tak jak głosił neon, był to sklep z bronią palną, zajmujący połowę kwartału. Znajdowały się tam cztery działy, drogi do nich oznaczono strzałkami: na lewo strzelby — dziesiątki, dwunastki i szesnastki; na prawo karabiny kaliber 30-06 do 44-40; tędy do broni automatycznej; tamtędy do rewolwerów; czwarty dział przeznaczony był dla broni wojskowej; karabinów na proch dymny, ładowanych od tyłu. Afisz na ścianie reklamował ofertę specjalną: ręcznie ładowany karabin typu Marlin Golden 39A kaliber 22 za sto dwadzieścia pięć dolarów oraz rewolwer Hammerli Frontier kaliber 45 za siedemdziesiąt pięć dolarów. Do dwóch dodajemy pudełko naboji gratis. Każda sztuka broni eksponowana była w zamkniętej na klucz szklanej gablocie. Sprzedawcy w zielonych marynarkach krążyli po działach, każdy z uniwersalnym kluczem przy pasku.

Pośrodku sklepu sześciu kasjerów sprawdzało dowody tożsamości, pobierało pieniądze i pakowało zakupy.

— To wygląda jak bar automatyczny — stwierdził Maynard.

— Co to jest bar automatyczny? — Nie czekając na odpowiedź, Justin popędził naprzód.

Maynard dogonił go przy szklanej gablocie, wypełnionej z jednej strony automatycznymi

karabinami typu AR-15, a z drugiej strony podobnie wyglądającą bronią o nazwie Valmet.

— Popatrz tylko! — zawołał Justin — Pełny odjazd!

— Czym mogę służyć? — Obok nich pojawił się jeden ze sprzedawców po czterdziestce, krępej budowy ciała, przypominał dwunożny klocek. Nosił okulary bez oprawek, włosy miał posmarowane pomadą i zionął wodą kolońską.

— Nie sądziłem, że wolno wam sprzedawać takie rzeczy — powiedział Maynard wskazując karabinki automatyczne.

— AR-15? Oczywiście. One nie są całkowicie automatyczne. Te tutaj to zabawki.

— Ale łatwo mogą być przerobione, nieprawdaż?

— Nie przez nas. Co rusznikarz zrobi z nimi potem, to już nie nasza sprawa. — Sprzedawca wyciągnął rękę: — Stan Baxter.

Marynarka Baxtera rozchyliła się i Maynard zobaczył w przelocie rękojeść rewolweru, wystającą z małej kabury na brzuchu.

— Maynard — powiedział potrząsając ręką Baxtera.

— A ty kto jesteś? — Baxter wyciągnął rękę do Justina. — Wyglądasz mi na kogoś, kto interesuje się bronią.

— Tak. — Justin wskazał na Valmety. — Te są świetne. Co to za broń?

— Najlepsze karabinki automatyczne, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Fińskie. Są połączeniem tego, co najlepsze w AR-15 i AK-47.

— Co w nich jest takiego dobrego?

— Przede wszystkim prostota. Bardzo niewiele ruchomych części. Prawie nigdy się nie zacinają, nawet w błocie i piasku. O wiele pewniejsze od swoich poprzedników. Są kompatybilne z większością karabinów w Europie Wschodniej i Zachodniej. AR-15 może rozerwać człowieka na kawałki, ale nie jest precyzyjny na większe odległości. Czasami moment obrotowy pocisku powoduje, że leci on w dowolnym kierunku. Valmety gwarantują bezpieczny i celny strzał na dużą odległość.

— Myślałem, że to „zabawki”... — powiedział Maynard.

— Oczywiście — Baxter mrugnął do niego. — Różne są zabawy i różne zabawki.

Justin poszedł dalej. Teraz stał przed gablotą z pistoletami.

— Tato! Zobacz tutaj.

Baxter uśmiechnął się do Maynarda.

— Wygląda na to, że chłopak znalazł coś dla siebie!

— Taki sam, jaki miał James Bond! — Justin był podekscytowany.

— Masz rację, synku — powiedział Baxter. — Walter PPK. Naprawdę świetny pistolet na początek.

— Na początek! — zawołał Maynard. — Kiedy ja byłem dzieckiem, zaczynało się od prostych, jednostrzałowych strzelb. Baxter pokiwał głową.

— Kiedy my byliśmy chłopcami, strzelby służyły do zabijania królików lub węży. Nie trzeba było się martwić o to, co będzie, gdy ich zabraknie.

Maynard nie zapytał Baxtera, jakich „ich” miał na myśli.

Rozległ się strzał, potem drugi i trzeci. Maynard chwycił Justina za ramię, gotowy powalić go na podłogę i przykryć własnym ciałem.

Baxter roześmiał się.

— To tylko ludzie ćwiczący na strzelnicy. Nasza strzelnica pozwala klientom wypróbować towar przed dokonaniem zakupu. To znacznie ogranicza ilość zwrotów. — Odwrócił się do Justina: — Czy



— miałbyś ochotę postrzelać z tego PPK, młody człowieku?

— O rany, no pewnie!

— Zaczekaj... — powiedział Maynard.

Baxter otwierał już gablotę.

— To kosztuje około dziesięć centów za jedną kolejkę. Nigdzie nie znajdzie pan lepszej okazji.

— Nie o to chodzi... — zaczął Maynard.

— W porządku. Nie ma przymusu. — Baxter znowu mrugnął do Maynarda. — Strzelanie z PPK jest jak jedzenie chrupek. Jeśli raz zaczniesz, nie masz ochoty przestać. Ten pistolet po prostu rozmawia z tobą. — Baxter odciągnął suwadło, sprawdził komorę, zwolnił zacisk i przesunął suwadło na swoje miejsce.

— Jak mówiłeś, że masz na imię, synku?

— Justin.

— Cóż, Justin, czemu nie miałbyś go sobie ponosić? — Baxter podał Justinowi pistolet, rękojeścią do przodu.

Justin podskoczył z radości. Popatrzył prosząco na ojca.

Maynard uśmiechnął się niechętnie i skinął głową. Czuł się jak ogłuszony.

Baxter wyjął z szuflady pudełko z nabojami i poprowadził Maynarda z Justinem do strzelnicy na tyłach sklepu.

Baxter okazał się znakomitym instruktorem — rozważnym, cierpliwym i komunikatywnym. Najpierw obejrzał pięć strzałów Justina do tarczy odległej o piętnaście metrów. Cztery razy nie trafił w ogóle, piąty strzał był w tarczy, ale daleko poza punktowanym polem. Potem pokazał Justinowi, jak poprawnie trzymać broń, jak celować, kiedy wstrzymać oddech, a kiedy się rozluźnić. W następnej kolejce Justin miał już trzy strzały w tarczy.

Przy szóstej kolejce strzałów Justin miał wszystkie pięć w tarczy, z tego trzy w pięciocentymetrowym, czarnym polu, w samym środku.

Maynard strzelał pięć kolejek pojedynczych; wszystkie w tarczy, z czego cztery w czarnym polu, i serią; sześć w tarczy, dwa w czarnym polu.

— Nieźle — stwierdził Baxter.

— Dawno nie strzelałem. — Nieoczekiwanie Maynard poczuł się zadowolony z siebie i dumny z Justina, a także zaskoczony tym, jak łatwo dał się porwać emocjom strzelania: zapach azotanu potasu i oleju silikonowego, którym konserwuje się broń, specyficzne uczucie, gdy ściskasz pistolet w dłoni, naciskasz spust i dokładnie w tym samym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w tarczy pojawia się dziura.

W drodze powrotnej Baxter złapał Maynarda za ramię. Maynard próbował się odsunąć, ale Baxter nie dawał za wygraną.

— Ten chłopak jest urodzonym strzelcem.

— Dobrze mu szło. — Maynard kiwnął głową.

— Dobrze? Ten PPK jest stworzony dla niego!

Maynard nie odezwał się. To zabawne, ale odżyło w nim młodzieńcze pragnienie posiadania własnego pistoletu. Dziaduś oswoił go z bronią, nauczył, jak się nią posługiwać i jak ją szanować.

Ze wszystkich rzeczy, które usłyszał z ust Dziadusia, najbardziej dumny był Maynard z pochwały, którą dostał od niego wraz z pistoletem, na swoje osiemnaste urodziny: „Powierzam ci naładowany pistolet z większym zaufaniem, niż połowie twoich przyjaciół powierzyłbym samochód”.

Maynard zdawał sobie sprawę, że to, co w tej chwili czuje, jest mieszaniną nostalgii i atawizmu.

Oto jego syn poznaje tajniki obchodzenia się z bronią i przygotowuje się do wkroczenia w wiek męski. Może było to prymitywne czy plemienne, niemniej naturalne. Maynard znał wszystkie argumenty przemawiające za kontrolą broni palnej i zgadzał się z większością z nich, chociaż był przekonany, że na szerszą skalę kontrola taka była beznadziejną krucjatą. Nigdy jednak nie zgadzał się z ludźmi, którzy twierdzili, że karabiny są dobre tylko do zabijania. Maynard nikogo w swoim życiu nie zabił, z wyjątkiem kilku szczurów i królików. Karabin był jedną z części maszyny, która poddawała człowieka próbie, przynosząc mu satysfakcję i dumę albo wprawiając go w konsternację. Cóż może być bardziej przygnębiającego od widoku puszki po piwie, stojącej spokojnie na piasku w odległości stu metrów od ciebie, pomimo tego, że przed chwilą naciśnąłeś spust? Niewiele jest też rzeczy sprawiających większą uciechę, niż widok tej samej puszki wylatującej w górę i szybującej w powietrzu z furkotem i świstem.

Justin podszedł do Maynarda i wziął go za rękę.

— Wiesz, byłoby naprawdę fajnie mieć taki pistolet.

Ponieważ Maynard był absolutnie pewien, że nie może liczyć na legalne pozwolenie posiadania broni, odparł spokojnie:

— Na pewno tak.

— Świetnie! — Baxter uśmiechnął się radośnie i poklepał Justina po ramieniu. — Mam

wrażenie, że mistrz Justin właśnie wszedł w posiadanie pistoletu.

— Naprawdę?

— Nie ma szans — powiedział Maynard.

— Nie? — Baxter zatrzymał się. — Dlaczego?

— Nie mieszkamy na Florydzie.

— To rzeczywiście jest problem.

— Wiedziałem! — Justin był przygnębiony.

— Nawet gdybyśmy mogli go kupić, chłopie — tłumaczył Maynard — i tak nie mielibyśmy prawa go mieć. Nie w Nowym Jorku.

— Moglibyśmy go trzymać u ciotki Sally, w Connecticut. Tam można.

— Nie ma pan przypadkiem prawa jazdy ważnego na Florydzie? — Baxter nie miał ochoty przepuścić okazji do sprzedaży.

— Nie. — Powodowany przekorą i ciekawością, Maynard postanowił wybać Baxtera. — Nie prowadzę samochodu. Czy tylko posiadacze prawa jazdy mogą kupować broń palną?

Justin zorientował się w kłamstwie, ale nie powiedział ani słowa.

— Nie. Wystarczy, jeśli ma się dowód stałego pobytu. Może być na przykład pokwitowanie opłaty za wynajem mieszkania.

— Niech sprawdzę. Powinienem coś mieć. — Maynard wyjął z kieszeni portfel. Podszedł do pobliskiej lady. Justin podążył za nim, gdy tymczasem odwrócony do nich plecami Baxter udawał, że szuka pudełka, w które mógłby zapakować pistolet.

Pochylony nad ladą, Maynard wydarł czystą kartkę z notesu. Drukowanymi literami napisał: „Otrzymałam od pana Maynarda kwotę dwustu pięćdziesięciu dolarów jako pełną opłatę za wynajem apartamentu nr 206 w miesiącu maju”, dopisał datę, fikcyjny adres i zamasztył podpis: „Molly Bloom”.

— Znalazłem — powiedział do Baxtera.

— Znakomicie! — Baxter wziął kartkę i nie patrząc na nią wepchnął do kieszeni. — Papierkową robotą zajmę się później.

— Wolałby pan, zapewne, żeby nie korzystał z karty kredytowej...

— Tak, to byłoby kłopotliwe.

— Czek?

— Świetnie. Ale proszę wystawić czek gotówkowy. Tak będzie prościej. Na okrągłą sumę.

— To znaczy jaką? — Maynard uśmiechnął się.

— Policzymy... pistolet plus, powiedzmy, sto nabojów... Dwieście dolarów. Wydam resztę. Maynard zaczął wypisywać czek.

— Aha. Zapomniałem o jednym drobnym szczególe. Jutro lecimy samolotem.

— Do Nowego Jorku? — zapytał Baxter. — Nic nie szkodzi. Nie prześwietlają bagażu.

— Nie. Lecimy do Turks.

— Turks! — Baxter roześmiał się. — Nie widzę problemu. Proszę. — Sięgnął do szuflady i podał mu kaburę. — Najlepiej go mieć ze sobą. Loty w tamte strony nie są zbyt bezpieczne.

— Ale co z celnikami?

— Przeszukają torby, ale pana nie dotkną, jeżeli nie będą podejrzewać o przemyt. Dam wam jedną radę: weźcie jakąś kontrabandę i zadeklarujcie ją na lotnisku.

— Co na przykład?

Baxter przysunął się blisko i szeptał Maynardowi w twarz. Maynard z wysiłkiem powstrzymał się, żeby nie uciec od kwaśnego oddechu Baxtera i ledwie słyszał jego sugestie. Kiwnął jednak głową na znak, że wszystko zrozumiał.

Katherine wyszła na zewnątrz, żeby zadzwonić na obiad. Był piękny, jasny i ciepły wieczór, a południowy wiatr sprawiał, że owady trzymały się z daleka. Spojrzała w niebo w poszukiwaniu chmur, ale nie było żadnej. Od dwóch tygodni nie spadła nawet kropla deszczu. Cysterna na wodę była już prawie pusta, a resztkę wody, czerpaną z dna wiadrami, musiała być gotowana przed wypiciem, bo miała zielonkawe zabarwienie i roiło się w niej od różnych żywych stworzeń.

Teraz, przy suchej i słonecznej pogodzie, artretyzm dokuczał jej mniej niż zwykle i była za to wdzięczna. Poczucie wdzięczności powodowało, że czuła się samolubna, a to z kolei wywoływało w niej poczucie winy. Postanowiła modlić się do Boga o więcej siły. Słońce dotykało już linii horyzontu i zachodziło szybko, kurcząc się do rozmiarów rozdętej dyni. Sięgnęła po sznurek od dzwonka, potem cofnęła rękę, decydując się poczekać jeszcze kilka minut. Dzisiaj będzie doskonały wieczór na zielony błysk: na niebie nie było chmur i horyzont był dobrze widoczny. Przez rok pobytu tutaj zdarzyło jej się widzieć zielony błysk tylko dwa razy, właśnie w wieczory takie jak ten. Nikt poza nią tego nie widział; sądzono, że było to jej osobiste doznanie, rodzaj objawienia przeznaczonego wyłącznie dla niej. Może i tak było, chociaż Katherine czytała relacje marynarzy o zielonym błysku.

Słońce już prawie zaszło. Katherine otworzyła szeroko oczy starając się nie mrugać: zielony błysk był krótszy niż mrugnięcie okiem. Resztki żółtego światła zniknęły, a potem pojawił się i też zaraz zniknął lśniący, szmaragdowy punkcik wielkości łebka od szpilki.

Światło spłynęło z nieba i rozlało się nad zachodnim horyzontem, zostawiając za sobą niebiesko-czarny płaszcz upstrzony gwiazdami.

Katherine uśmiechnęła się, tłumacząc sobie zielony błysk jako dobry znak. Gdyby taka pogoda utrzymała się nadal, kurs był opłacalny, silniki sprawne, a kapitan trzeźwy, to za kilka dni łódź powinna być w pobliżu i zabrać stąd ludzi. Będzie miała dwa tygodnie spokoju, zanim przybędzie następna grupa. Nie będzie nikogo słuchać, uczyć i bandażować, ani dla nikogo gotować. Znowu poczuła się winna.

Ta grupa była dobra, naprawdę o wiele przyjemniejsza i bardziej samodzielna niż inne. Teraz jednak, po miesiącu przebywania wśród zarośli, krzaków dzikiej róży, insektów i guana, w tropikalnym upale, dzieci były rozbiegane i nieposłuszne. Modlitwa mogła ukoić dorosłych, ale dla dzieci to było za mało.

Zadzwoniła na obiad i odwróciła się, by wejść do środka. Spojrzała pod nogi, krzyknęła i uskoczyła do tyłu, na piasek. Na górnym schodku przysiadł skorpion, poruszając zakończonym kolcem odwłokiem, w poszukiwaniu czegoś, w co mógłby wstrzyknąć jad. Katherine rzuciła w niego garścią piasku i skorpion umknął w krzaki.

Wzdrygnęła się. Nigdy nie zdoła przywyknąć do skorpionów, chociaż to przecież też stworzenia boże. Złośliwe, paskudne i nieobliczalne robactwo! Ich ukłucie było bardzo bolesne: powodowało mdłości i czasami (dla alergików, osób starszych lub bardzo młodych) kończyło się tragicznie. Dwoje spośród obecnych tu dzieci zostało ukąszonych; jedno okazało się być bardzo uczulone. Gdyby nie apteczka Katherine, mogłoby już nie żyć.

Zobaczyła dwoje dzieci biegnących plażą w stronę domu. Weszła do środka.

Wszyscy obecni tu ludzie byli członkami sekty, jednego z odłamów mistycznego fundamentalizmu.

Niektórzy z nich byli poligamistami, a inni, jak Katherine, samotnymi ascetami. Pochodzili ze Stanów i Wielkiej Brytanii. Tutaj był dla nich (szczególnie dla poligamistów) jedyny bezpieczny zakątek na ziemi. Ubiegali się o wyjazd z rocznym wyprzedzeniem i po kolei przyjeżdżali na miesiąc do tutejszego azylu.

Azyl zbudowano przed dwudziestu pięciu laty i nadal pozostawał jedynym budynkiem na wyspie. Była to betonowa forteca, o średnicy piętnastu metrów, wzniesiona na planie pięcioramiennej gwiazdy. Jedno ramię zajęte było przez rezydentkę. Składało się z małej sypialni i prywatnej kaplicy. Każde z czterech pozostałych ramion mogło pomieścić całą rodzinę: cztery osoby swobodnie, sześć dość wygodnie, a dziesięć lub dwanaście w ścisku i niewygodzie, przez które rodzice szybko stawali się drażliwi, a dzieci niemożliwe do zniesienia.

Ta grupa była łatwa do ogarnięcia. Włączając Katherine, dwanaście osób mieszkało w azylu: dwie pary, każda z dwójką dzieci i kobieta z bliźniętami.

Katherine była zadowolona, że w grupie nie ma poligamistów. Pomimo całej swojej pobożności, byli trudni we współżyciu. Wrażliwi na każdy niuans, zawsze gotowi obrazić się o byle co, ludzie o wybujałej wyobraźni. Sugestie odbierali jak krytykę, a krytykę jak potępienie.

W centrum azylu znajdowało się duże, okrągłe pomieszczenie, przedzielone pośrodku trzcinowym chodnikiem. Po jednej stronie stało pół tuzina bambusowych krzeseł, dwie lampy naftowe i szafa wypełniona egzemplarzami Biblii i inną literaturą religijną. Po drugiej stronie była kuchnia, składająca się ze stołu, zrobionego z drewna wyrzuconego na brzeg przez morze, oraz ogromnego pieca kuchennego. Jedynym elektrycznym urządzeniem była lodówka, zasilana przez benzynową prądnicę, w której przechowywano mleko i leki.

Przy stole trzy kobiety przygotowywały potrawę z mięczaków. Mężczyźni, którzy wcześniej z drewnianych łódek nurkowali po muszle, siedząc na cementowej posadzce toporkami i nożami wyjmowali mięczaki z muszli, czyścili je, kroili w plastry i podawali jadalne części kobietom.

Jedno za drugim weszły dzieci. Kiedy potrawka była gotowa, pokój rozświetlał tylko żar z pieca. Jeden z mężczyzn zapalił dwie lampy naftowe i postawił je na stole.

— Wszyscy są? — zapytała Katherine ustawiając miski z potrawką.

— Josh i Mary są jeszcze na dworze — odpowiedział dziecięcy głosik.

— Co robią? — zapytał jeden z mężczyzn.

— Nie wiem. Zbierali jajka.

— Słyszeli dzwonek. Znają nasze zasady — powiedziała stanowczo jedna z kobiet.

— Jest tego dużo — powiedziała pogodnie Katherine. — Nie pójdą spać głodni.

— Dobrze im to zrobi.

Trzymając się za ręce wokół stołu, odmówili modlitwę dziękczynną.

Jedli hałaśliwie, żując gumiaste mięczaki i zbierając sos kulkami chleba.

Drzwi otworzyły się raptownie i stanął w nich zadyszany chłopiec, wołając:

— Jakaś łódź tutaj płynie!

Katherine znieruchomiała. Żadne łodzie nie przyływały do tego brzegu, a już z pewnością nie w nocy. Brzeg w promieniu kilkudziesięciu metrów otaczały ostre skały, sterczące niekiedy kilkanaście centymetrów pod powierzchnią wody. W dziennym świetle była to bardzo niebezpieczna przeprawa; w nocy było to po prostu samobójstwo.

— Kto to może być? — zastanawiał się jeden z mężczyzn.

— Pewnie jakiś rybak — odparł drugi.

Matka chłopca rozkazała: — Siadaj wreszcie!

— Cisza! — Katherine zwróciła się do stołu, a potem do chłopca: — Powiedz, Joshua, ta łódź

płynie wzdłuż brzegu czy do nas?

— Do nas, proszę pani. Prosto na przesmyk.

Jeden z mężczyzn wstał i zdecydował:

— Pójdę zobaczyć.

— Zostań — powiedziała Katherine. — Ja to zrobię.

— Przecież mogę pójść.

— Powiedziałam: zostań!

Mężczyzna nie protestował. Posłusznie usiadł z powrotem. Katherine podeszła do chłopca i wyszeptała:

— Gdzie jest Mary?

— Zbieraliśmy jajka. Mary znalazła pisklę. Powiedziała, że chce odszukać gniazdo i włożyć je z powrotem.

Katherine minęła chłopca i wyszła na zewnątrz. Spojrzała w kierunku przesmyku, wąskiej szczeliny między rafami, kończącej się zakolem plaży nie szerszym niż dwadzieścia metrów. Widać było łódkę wyciągniętą na piasek.

Łódź znajdowała się mniej więcej trzydzieści metrów od brzegu, ciemna smuga na tle czarnej wody, zmierzająca powoli w kierunku przesmyku.

To może być ktoś miejscowy, tłumaczyła sobie Katherine. Jakiś rybak zatrzymany na morzu przez przeciwny wiatr. Albo kłusownik z Haiti, szukający odludnego miejsca na nocleg.

Wkrótce jednak światło księżyca oświetliło pirogę i jej nadzieje zgasły. To była ta sama łódź.

Przez ostatnie dziesięć miesięcy usiłowała — całą siłą woli i oddania — przekonać samą siebie, że łódź nie była realna, że to co się wtedy stało, w rzeczywistości wcale się nie wydarzyło. To była próba; groteskowy, metafizyczny nocny koszmar, przeznaczony dla wypróbowania jej wiary. Już prawie w to uwierzyła. Teraz jedyną nasuwającą się myślą było: czy naprawdę tak bardzo grzeszyłam?

Piroga w tym czasie ustawiła się pod wiatr. Łaciński żagiel zatrzepotał i został opuszczony. Wiosła wystawione z rufy i dziobu zagarniały wodę.

Katherine wybiegła za róg budynku i wypatrywała w ciemności zagubionego dziecka. Nie odważyła się zawołać.

Weszła z powrotem do środka, zamknęła drzwi i przekręciła zamek.

Serce waliło jej jak młotem. Wzięła kilka głębokich oddechów i powiedziała tak spokojnie i stanowczo, jak umiała:

— Słuchajcie wszyscy. Musicie zrobić dokładnie to, co mówię. Żadnych pytań. Powiem tylko tyle: każdy, kto mnie nie posłucha, może powiedzieć Bogu: „Panie, nadszedł już czas, żebyś mnie do siebie zabrał”.

Ściągnęła na bok trzciniowy chodnik. Pod nim, w cementowej posadzce, znajdowała się drewniana kłapa. Podniosła ją i odłożyła na bok. W dół, do ciemnego szybu wiodła drabina.

— Wszystko ze stołu wrzucie tam — rozkazała.

Stół został sprzątnięty szybko i bez słowa. Miski, talerze i kubki hałasowały trochę spadając na piasek na dnie szybu.

— Teraz... wszyscy na dół. Szybko. Uważajcie, żeby nie spaść. —

Pomogła dziecku stanąć na szczycie drabiny.

Jeden z mężczyzn zamruczał gniewnie:

— Sądzę, że mamy prawo...

— Zamknij się! — powiedziała Katherine. — Chyba, że chcesz pożegnać się z życiem w tej

dziurze.

— Ale gdzie jest Mary? — jęknęła kobieta.

— Siedzi gdzieś w krzakach. Kiedy zejdziesz na dół, módl się do Wszechmogącego Miłosiernego Boga, żeby stamtąd nie wychodziła.

Kiedy wszyscy zeszli do lochu, Katherine uklękła na podłodze i powiedziała do nich:

— Bądźcie bardzo cicho. Żadnego kaszlu i kichania. Jeśli chcecie się modlić, róbcie to po cichu. Zamknęła klapę i przesunęła chodnik na poprzednie miejsce.

Zgarnęła ze stołu okruchy chleba i rąbkiem sukni wytarła ślady potrawki z mięczaków. Potem odsunęła zasuwę w drzwiach i stanęła na trzcinowym chodniku, złożone ręce trzymając przed sobą i modląc się.

Zachrząsał piasek pod czyimiś stopami. Rozległy się kroki. Ktoś pchnął drzwi.

Było ich dwóch, dwie ciemne sylwetki na tle rozgwieżdżonego nieba.

Nie widziała ich twarzy, nie wiedziała więc, czy byli to ci sami co poprzednio. Powiew wiatru przyniósł od drzwi ich zapach i Katherine zadrżała na tamto wspomnienie.

Nic nie mówili.

Tak jak się tego spodziewała, tak jak było ostatnio, przewrócili ją na stół i po kolei zgwałcili. Nie przejawiali zbędnej brutalności. Jej słaby opór został przyjęty spokojnie i łatwo stłumiony. Nóż przyłożony do jej gardła był bardziej gestem niż koniecznością. Zamknęła oczy, żeby na nich nie patrzeć, wstrzymała oddech (tak długo jak to było możliwe), żeby ich nie czuć i w myślach powtarzała słowa modlitwy, żeby nie słyszeć ich sapania.

Wszystko odbyło się bardzo zwyczajnie, jakby byli inkasentami sprawdzającymi stan licznika, a kiedy skończyli, pomogli jej stanąć na nogi.

Mocno ścisnęła brzeg stołu, przełykając żółć i starając się nie zemdleć.

— Rteć — powiedział jeden.

Skinęła głową. Poprzednim razem nie rozumiała, o co im chodzi, a oni torturowali ją, co wyglądało na ich obyczaj, próbując jej wytłumaczyć. Czubkiem noża nacięli wewnątrz jej ud i wcierali w rany sok z cytryny i pieprz. Ostatecznie, składając słowa i zwroty, rozumiała czego chcą.

Zaprowadziła ich do lodówki. Butelki z lekarstwami zapakowane były w pudełka, po dwanaście sztuk w każdym. Wyjęła pudełko z penicyliną i dwie strzykawki.

— To się zepsuje, jeśli nie będzie trzymane w chłodzie — wyjaśniła. — Ilu macie chorych?

— Dużo.

— Więc zabierzcie to wszystko.

— Rum — powiedział drugi.

— Nie mam rumu.

Mężczyzna odepchnął ją na bok, sięgnął do lodówki i wyjął plastikową butelkę alkoholu izopropylowego.

— Nie pij tego! — zawołała Katherine. — Rozchorujesz się. To jest lekarstwo na chore uszy.

— Nic nie słyszę. Mam chore ucho — zarechotał mężczyzna. Odkręcił zakrętkę, wlał trochę alkoholu do ucha, a potem pociągnął duży haust z butelki. Wzdrygnął się. Zakaszał i splunął. — Trefna flacha. — Zakręcił butelkę i włożył za koszulę.

— Idźcie już. — Katherine zamknęła drzwi lodówki. Usłyszała słaby, niewyraźny dźwięk. Nie potrafiła powiedzieć, skąd on pochodził, czy z szybu pod podłogą, czy z zewnątrz. Głośno zaszurała stopami po zapiaszczonej podłodze.

— Dobranoc, szanowna pani, niech Bóg cię kocha.

Czekała, kiedy wyjdą.

Zamiast tego stali, nasłuchując.

Po chwili ona też usłyszała: lekkie kroki stóp biegnących po piasku i radosny, dziewczęcy głos wołający: — Zobacz, co znalazłam! Katherine ogarnęła rozpacz. Mary znalazła się w pokoju, zanim zobaczyła mężczyzn.

— Piskłę! — otworzyła dłonie. — Zobacz... och!

— Zostawcie ją! — krzyknęła Katherine. — Ona jest malutka! Wiedziała, że to bzdura: Mary miała dwanaście lat, była wysoka i krzepka jak na swój wiek. Ale była jakaś nadzieja. Ledwo dziesięć minut temu wzięli Katherine!

Mary przyłgnęła plecami do ściany.

— Kim jesteście?

— Dobre pytanie — powiedział jeden z mężczyzn. — A kto ty jesteś?

— Panno Katherine... — Mary zaszlochała.

Ślepo, bez namysłu Katherine rzuciła się na najbliższego mężczyznę.

Nie spojrzawszy nawet na nią, mężczyzna złapał ją za gardło i rzucił na podłogę. Wyrwał piskłę z rąk Mary, zgniółł je i cisnął na bok, potem wziął dziewczynkę za łokieć i poprowadził do drzwi.

Mary wpadła w panikę. Krzyczała i wrywała się, aż mężczyzna uderzył ją w twarz i powiedział:

— Bądź cicho, bo, jak mi Bóg miły, obetnę ci język. Idziesz z nami.

Katherine zawołała z podłogi:

— Błagam, zostawcie ją!

Mężczyzna prowadzący Mary zatrzymał się w drzwiach.

— Zostawić ją, mówisz? Dobra, jeśli tak chcesz. — Pociągnął Mary za włosy, odginając głowę do tyłu, i przyłożył jej nóż do gardła. — W ilu kawałkach? Wolisz steki czy filety?

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem i popychając Mary przed sobą, wyszli z budynku.

Katherine leżała na podłodze i słuchała oddalających się krzyków dziecka.



Samolot okazał się zabytkowym, rozklekotanym DC-3, pilotowanym przez albinosa imieniem Whitey. Miał białe, kręcone włosy, różowe tęczęwki i kredowobiałą cerę. Ponieważ nie tolerował słońca, nosił długie, białe spodnie, białą koszulę z długimi rękawami, kapelusz z szerokim rondem i okulary słoneczne. Nawet teraz, wcześniej rano, tuż po wschodzie słońca, nadzorował załadunek samolotu stojąc w cieniu skrzydła budynku.

Whitey posadził Justina na miejscu drugiego pilota i rozłożył płócienne krzesło dla Maynarda. Ustawił je na podłodze tuż za kokpitem.

— Nie ma pasów? — zapytał Maynard.

— A po co? Przecież nie przewozimy pasażerów. Kurczaki nie muszą podróżować w pasach.

Cały tył samolotu był już załadowany. Stały tam skrzynki owoców, pudła konserw, pojemniki z mrożonym mięsem, trzy klatki pełne żywych kurcząt i jedna uśpiona świnia.

— Nie można się z nimi cackać — wyjaśnił Whitey. — Wiozłem raz maciorę, która obudziła się w połowie drogi na Bahamy i, suka jedna, zaczęła ryc — no wie pan, ryjem. Zryła kilka płytek w podłodze, gotowa zaryć nas w morzu. W końcu musiałem ją zastrzelić.

— Wozi pan broń na pokładzie?

— Ależ skąd! — Whitey uśmiechnął się do Maynarda. — Ale nigdy nie wiadomo, co się znajdzie, gdy człowiek dobrze się rozejrzy po takim starym pudle.

Stojąc na zawietrznym końcu pasa startowego, Whitey włączył silniki na pełne obroty, sprawdził wskaźniki i zwolnił hamulce. Samolot ruszył z miejsca.

W połowie drogi startowej samolot był jeszcze ciągle na ziemi. Ostrożnie przesuwając drążek sterowniczy, Whitey przemawiał do maszyny:

— No dalej, skarbie... podnieś tyłek... lecimy... — Samolot nie oderwał się od ziemi. — Cholera jasna, w górę! — krzyknął Whitey i szarpnął drążkiem. Powoli, mozolnie samolot oderwał się od ziemi w momencie, gdy błysnął koniec pasa startowego.

Maynard spojrział na swoje dłonie, lśniły od potu. Wytarł je o spodnie. W dole, po prawej stronie, na bagnach, zobaczył trzy lub cztery zgniecione kadłuby samolotów zepchnięte na jedną stertę.

— Skąd się tam wzięły? — zapytał.

— Nazywamy je niespodziankami. Przypuśćmy, że jedziesz pasem startowym, myślisz, że wszystko pójdzie dobrze, a tu nagle niespodzianka: nie poszło — odparł Whitey.

Whitey skręcił w lewo, na wschód, prosto pod słońce. Zwrócił się do Justina:

— Przy twoich nogach stoi termos. Nalej mi kubek kawy, dobrze?

Gdy Justin podał mu kawę, Whitey zdjął ręce z przyrządów sterowniczych i powiedział:

— Popracuj trochę za mnie. Trzymaj go na kursie.

Justin posłuchał ochoczo, chwycił drążek i wyciągnął szyję, żeby móc patrzeć ponad dziobem samolotu.

Whitey wyjął z kieszeni flaszkę i nalał trochę alkoholu do kubka.

— Kieliszczek? — Podsunął flaszkę Maynardowi.

Maynard poczuł zapach bourbona. Potrząsnął głową.

— Zawsze lata pan... w taki sposób?

— Muszę latać wysoko, człowieku. To cholernie nudna trasa. Whitey odłożył flaszkę i ze schowka pod siedzeniem wyjął mapę. Przechylił się do tyłu, położył nogi na tablicy przyrządów i rozwinął ją.

— Co teraz... Popatrzmy, czy będziemy w stanie znaleźć to diabelstwo. Z tej wysokości wszystkie wyglądają tak samo.

Maynard wziął głęboki oddech. Zapytał Justina:

— Wszystko w porządku?

— Jasne. Fajnie jest.

Lecieli przez Gulf Stream, do Bimini i Cat Cays, skręcając na południe nad Andros i dalej lecąc wzdłuż łańcucha Wysp Bahama. Dzień był pogodny i bezchmurny, powierzchnia morza mieniła się różnymi odcieniami błękitu i zieleni: turkusowy na płycznach przy brzegu, nakrapiany brązem na rafach koralowych, ciepły błękit dokoła raf i ciemny, prawie czarny, na głębinach.

Po trzech godzinach lotu Whitey wychylił się do przodu i spojrzał z ukosa na południowy horyzont. Jego nieskazitelną linię przesłaniała tylko jedna chmurka, jakby zawieszona nad wodą.

— Tam powinno być Caicos — powiedział.

— Gdzie? — Maynard nie widział żadnego lądu.

— Pod tą chmurą. Gorące powietrze z lądu wędruje do góry, ochładza się i tworzy chmurę.

Wkrótce pojawiła się migocąca szara linia. Kiedy zesli niżej, przybrała kształt wyspy.

Whitey popchnął drążek i dziób samolotu obniżył się. Wskazówka wysokościomierza opadała powoli, z dwóch i pół tysiąca metrów na półtora tysiąca. Przelecieli nad jałową wyspą na wysokości tysiąca metrów.

Spoglądając w dół, ponad ramieniem Justina, Maynard zobaczył budynek w kształcie gwiazdy.

— Co to jest?

— Świry Jezusa — odpowiedział Whitey.

— Co oni robią w tym zapomnianym przez Boga miejscu?

— Pewnie świrują. — Whitey skreślił w prawo i wyspa została z tyłu.

Parę mil na wschód Maynard zobaczył kilka dużych wysp. Pamiętając mapę, domyślił się, że jedną z nich była Navidad, a następne to North Caicos i Grand Caicos. Na zachodzie było mnóstwo małych, bezludnych wysepek, pokrytych zaroślami i atakowanych przez przybój. Pod sobą mieli Caicos Banks: nie kończące się połacie piasku i wodorostów na głębokości nie większej niż dwa metry. Na zachodzie płycznina kończyła się gwałtownie, przechodząc w szelf, zagłębiony dwanaście metrów, a dalej podcięcie głębokie na Półtora tysiąca.

Maynard przypominał sobie słowa Michaelo Florio: Dawniej, szczególnie w czasach ciężkich, mało zwrotnych statków z ożagłowaniem rejowym, Caicos Banks były jednym z najbardziej zdradliwych miejsc na tej półkuli. Załogom statków, przygnanych tu przez sztorm, wydawało się, że są na głębokiej wodzie. Ich sondy nie wykrywały dna. Chwilę potem, ponad wyciem wiatru, dawał się słyszeć dziwny, ogłuszający huk. Brzmiał on jak rozbijające się o brzeg fale, ale to wydawało się żeglarzom niemożliwe, byli przecież na otwartym oceanie. Płynęli więc naprzód do momentu, gdy w końcu obserwator, którego oczy piekły od morskiej soli, zobaczył to, co wydawało się niemożliwe: rozbijające się tuż przed dziobem łodzi fale przybrzeżne. Już było za późno. Zaczynało się więc wzajemne obwinianie, lamenty i modły. Statek wpadał na skały i po kilku minutach przestawał istnieć. Jego szczątki były rozrzucone wzdłuż brzegów. Niektóre części unosiły się na wodzie, a razem z nimi uczepieni do nich rozbitkowie. Florio opowiadał, że po jednej takiej katastrofie uratowało się dwudziestu siedmiu rozbitków. Razem z częścią pokładu płynęli wzdłuż Caicos Banks

przez trzydzieści mil i w końcu dotarli do Grand Caicos. Dwudziestu jeden zmarło z pragnienia i wyczerpania. Czterech, doprowadzonych do szaleństwa przez dokuczliwe robactwo, popełniło samobójstwo. Dwóch przeżyło.

Z przodu widać już było lotnisko: Great Bone Cay. Whitey wysączył do dna swoją flaszkę i skręcił ostro w prawo, a potem w lewo, ustawiając samolot zgodnie z kierunkiem pasa do lądowania.

— Klapy w dół — powiedział do siebie i wcisnął przycisk z takim samym napisem. Samolot zwolnił. — Podwozie w dół. — Następny przycisk. Zamrugało światelko kontrolne z napisem: „Podwozie opuszczone”.

Samolot siadł na pasie startowym trochę za twardo, podskoczył, opadł jeszcze raz i zatrzymał się. Whitey kołował w kierunku prostokątnego, betonowego budynku, przy którym czekały dwie półciężarówki i kilkunastu ludzi; dwóch z epoletami na białych, wykrochmalonych koszulach, trzymało w ręku podkładki do papieru.

Whitey wyłączył silniki i powiedział do Maynarda:

— Jeśli ma pan jakieś narkotyki, niech pan je wyrzuci, póki jeszcze czas. Oni tutaj mają fioła na punkcie narkotyków, a w pudle nie ma siatek przeciwko owadom.

— Nie mam — odparł Maynard czując wzmożone wydzielanie adrenaliny i zimne poty na całym ciele. Sprawdził, czy ma zapiętą marynarkę i przycisnął lewą rękę blisko do boku. Zarzucił torbę na lewe ramię.

— Chce pan dzisiaj wracać?

— Jeśli pan wraca.

— Wracam. — Whitey spojrział na zegarek. — Jest teraz jedenasta. Godzina na rozładunek, godzina na lunch i jeszcze jedna na załadowanie. Wyruszamy o drugiej.

— Będziemy czekać.

— Musicie, bo ja na was czekać nie będę.

— Gdzie będzie pan do tego czasu?

— W środku. Muszla Cyryla i Pałac Żółwia. — Whitey wskazał na budynek. Uśmiechnął się i włożył na głowę kapelusz. — Tam nie ma słońca. — Cały w bieli, z twarzą ukrytą pod kapeluszem i ciemnymi okularami, Whitey wyglądał jak niewidzialny człowiek.

Maynard odezwał się uprzejmie:

— Tutejszy klimat musi być dla pana okropny.

— Nie musi się pan nade mną litować. Matka natura miewa różne zbikowane pomysły. — Przepchnął się między pudłami i skrzynkami i otworzył drzwi.

Maynard z Justinem przeszli przez płytę lotniska i weszli do budynku tuż za mężczyzną, który przed chwilą wziął od Whiteya pojedynczy egzemplarz niedzielnego wydania Heralda. Wewnątrz budynku mężczyzna usiadł na ławce i zaczął czytać komiks.

Za kontuarem stał młody oficer policji w nieskazitelnie czystym mundurze, wyjąwszy warstwę kurzu na czarnych półbutach. Wyciągnął rękę do Maynarda.

— Paszport, wiza, bilet powrotny.

Mocno przyciskając torbę do ciała lewą ręką, prawą wyjął portfel i wyłuskał z niego legitymację dziennikarską Today, którą podał oficerowi.

— Nie zostajemy tutaj — powiedział, jak gdyby to wyjaśniało wszystko.

Policjant sprawdził legitymację i przystawił ją Maynardowi do twarzy.

— Z tym przyjeżdża pan do obcego kraju?! — zawołał. — Co pan sobie właściwie myśli?

— Dzwoniłem wczoraj z Miami i... — Maynard czuł, że się poci.

— Co pan sobie myśli?

Przerażony Maynard próbował ułagodzić policjanta, zanim ten zdecyduje się aresztować go i obszukać. Przysunął się do niego i powiedział konfidencjonalnie:

— Myślę, że jest pan bystrzejszy, niż na to wygląda.

— Co?

— Proszę posłuchać... wie pan przecież, co to jest legitymacja dziennikarska. Jestem tutaj po to, by zebrać materiał do artykułu dla tygodnika Today. Staram się utrzymać to w tajemnicy i dlatego byłbym wdzięczny, gdyby pan nikomu o tym nie wspominał.

— Jakiego artykułu?

— Tylko między nami. — Maynard uniósł brwi i rozejrzał się ukradkiem na boki. — Mamy wiadomość z dobrego źródła, że pewien amerykański milioner ma zamiar kupić tę wyspę. Chce ją zamienić w uzdrowisko. Dużo ludzi mogłoby na tym zyskać, pod warunkiem, że wszyscy postępowaliby uczciwie. Dlatego właśnie jestem tutaj.

Maynard zmyślał tak szybko, że kiedy skończył, zapomniał większość z tego, o czym mówił wcześniej.

— Jak długo to potrwa? — Policjant był pod wrażeniem jego wywodów.

— Tylko do drugiej. Widzi pan? Nie mamy żadnych bagaży.

— A kto to jest? — Policjant wskazał na Justina.

— Mój współpracownik — powiedział Maynard i dodał szeptem: — Ma problemy z hormonami. Lepiej nic nie mówić. Jest bardzo wrażliwy na tym punkcie.

— Więc co? — Policjant wyglądał na kompletnie oszołomionego.

— Dzwoniłem wczoraj, żeby umówić się na spotkanie z panem Makepeace, ale nie jestem pewien, czy otrzymał wiadomość. Gdzie mógłbym go znaleźć?

Policjant zwrócił się w kierunku mężczyzny siedzącego na ławce.

— Hej, Birds.

— Hmm? — Mężczyzna nie podniósł głowy znad komiksu.

— Jest tu jeden facet. Nakarmił mnie bujdą o artykule do gazety.

— To nie żadna bujda! — zaprotestował Maynard.

— Oczywiście. Ma pan coś do oclenia?

— Cóż... — Pamiętając radę Baxtera, Maynard usiłował wyglądać na zmieszanego. — Dobrze, że mi pan o tym przypomniał.

— Co takiego?

Maynard ostrożnie sięgnął ręką do torby.

— Nie wiedziałem, że to jest u was nielegalne. Dopiero pilot mi o tym powiedział. — Wyciągnął egzemplarz Hustlera. — Mam nadzieję, że nie posądzi mnie pan o chęć pogwałcenia waszych praw.

— Ma pan szczęście, że mi pan o tym powiedział — stwierdził policjant. — Gdybym to znalazł w pańskiej torbie, byłoby do zapłacenia pięćdziesiąt dolców.

— Tak jest — zgodził się Maynard.

Pełnomocnik rządu skończył właśnie czytanie komiksu, rozprostował swoją kościstą postać i podniósł się z ławki. Był podobnego wieku i wzrostu co Maynard, a swoją budową przypominał widelec. Jeżeli Maynard miał słuszność myśląc o sobie, że jest szczupły, to Makepeace wyglądał przy nim jak cień człowieka, trochę kości powleczonej ciemną skórą. Na głowie miał olbrzymie afro; Maynard pomyślał, że gdyby w to afro dmuchnął mu boczny wiatr, to z pewnością by go przewrócił.

— Dzień dobry panu! Nazywam się Blair Maynard.

Makepeace wyciągał dłoń ostrożnie, jak gdyby obawiał się, że zbyt serdeczny uścisk może zmiażdżyć mu palce.

— Burrud Makepeace — powiedział. — Prościej będzie Birds. — Spojrzał na Justina. — To pański współpracownik?

— Tak, Justin.

Makepeace uściśnął rękę chłopca.

— Ewy nie powiedziała mi, jaką ma pan do mnie sprawę.

— Nie zdążyłem jej tego powiedzieć. Połączenie zostało przerwane.

— Prasa nie jest tutaj mile widziana.

— Tak?

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. Oczywiście mogą tu przyjeżdżać, ale nie zamierzamy im niczego ułatwiać. Kilka razy pomogliśmy i zawsze obrywaliśmy.

— Trudno uwierzyć...

— Tak było. Przyjeżdżali tutaj, wszyscy przyjaźni i grzeczni, jak pan teraz, i mówili, że chcą napisać artykuł o tym cudownym, nieskażonym raj, a każdy z nich odkrywał nas po raz pierwszy. Żywiliśmy ich, zabieraliśmy na przejażdżki po morzu i tak dalej, oczywiście wszystko za darmo, a oni wracali do siebie i pisali artykuły o ubóstwie, robactwie i biednych Murzyniátkach. Do diabła z nimi! Niech sobie jadą do Nassau. — Makepeace powstrzymał gniew. — Tak więc, panie dziennikarzu, o czym pan chce napisać?

— Po pierwsze — zaczął Maynard — nie mam zamiaru pisać o turystyce. Po drugie, nie chcę niczego za darmo.

— Przekona mnie pan o tym dopiero wtedy — stwierdził Makepeace i uśmiechnął się — kiedy postawi mi pan lunch.

Jechali otwartym jeepem Makepeace'a. Kiedyś ta droga była brukowana, teraz jednak trudno było powiedzieć, czy to wyboisty bruk, czy wyboje pokryte gdzieśgdzie brukiem. Za każdym razem, gdy mijali ich samochód jadący w przeciwnym kierunku, jepea otaczała chmura wirującego pyłu.

Makepeace skręcił w połąną drogę i jechał w kierunku wzgórze, na którym stało kilka drewnianych budynków oraz tablica z napisem: „Motel Wronie Gniazdo”. W największym budynku mieścił się bar i restauracja.

Makepeace poprowadził ich przez restaurację na taras, który wychodził na półkolistą zatoczkę.

— Może pański... współpracownik... miałby ochotę popływać?

— Co ty na to? — Maynard zwrócił się do Justina.

— Pewnie. Czy potem mogę dostać cheeseburgera?

Maynard podał mu torbę.

— Przebieralnia jest za rogiem — poinformował go Makepeace — a materace znajdziesz na plaży.

Kiedy Justin pobiegł na plażę, zamówili drinki i Maynard wyjaśnił Makepeace'owi powód swojego przyjazdu tutaj. Wymienił liczbę zaginionych łodzi i wyjaśnienia proponowane przez Straż Wybrzeża. W końcu stwierdził, że z ponad setki niewytłumaczalnych zaginięć większość zdarzyła się prawdopodobnie w rejonie wysp Turks i Caicos i nikt nie wie jak i dlaczego. Nie chcąc nikogo urazić, Maynard na wszelki wypadek nie wspominał o przypuszczeniach Michaela Florio, że ktoś te łodzie zabiera.

Makepeace nie był ani zdziwiony, ani przejęty. Jego zainteresowanie było grzecznościowe.

— Ma pan rację, to zagadkowa sprawa — powiedział.

— Jak pan myśli, jaka jest odpowiedź?

— Ja? — Makepeace był rozbawiony. — Dlaczego pyta pan właśnie mnie? Nie mam pojęcia.

— Nie obchodzi to pana?

— A powinno?

— Macie reputację... — Maynard przerwał i dodał ostrożnie — właściwie nie wy, tylko ta okolica... niebezpiecznego rejonu świata. To nie przyniesie wam nic dobrego.

Makepeace wybuchnął śmiechem.

— Jesteśmy niebezpieczni od trzystu pięćdziesięciu lat. Byli tutaj handlarze alkoholu i handlarze broni, piraci, kłusownicy i handlarze narkotyków. Nic się nie zmieniło pod tym względem; to żeglarze się zmienili. Wyobrażają sobie, że to tereny rekreacyjne. Przekłęci głupcy! Dam panu jedną prostą odpowiedź na pańskie pytanie: łodzie przepadły, a ludzie nie żyją.

— Nie obchodzi pana, jak to się stało?

— Nie. Co za różnica, jak umierasz? Umierasz i nie ma cię. To tak jakby mnie pan zapytał, czy martwię się o to, że Rosja i Stany wywołają wojnę. Dlaczego miałbym się o to martwić? Nic w tej sprawie nie mogę zrobić i nie wpłynie ona w istotny sposób na nasze losy. Jeśli Stany wylecą jutro w powietrze, wielu z nas będzie głodować. Głodowaliśmy już wcześniej. Ktoś zawsze przeżyje.

— Ale pan jest odpowiedzialny...

— Za co? Za to, żeby człowiek w ubraniu żeglarza miał udane wakacje? Nie. Jestem tu na posterunku, na tej jednej małej wyspie. — Makepeace tupnął nogą w podłogę. — Tak jak muchy są na posterunku na kupie gnoju. Właśnie tym w rzeczywistości jesteśmy — kupą gnoju. Większość świata nawet nie wie o naszym istnieniu, a ci którzy wiedzą, mają nas za głupie, zdziczałe króliki. To nie nasza wina. Przybyliśmy tutaj jako niewolnicy, żyliśmy i pracowaliśmy jako niewolnicy, cały czas wbijano nam do głowy, że niewolnictwo jest naszym przeznaczeniem. Ja uciekłem będąc jeszcze chłopcem; matka wysłała mnie do Nassau, żebym się uczył. Nauczyłem się, że w najlepszym razie mogę w przyszłości zostać kelnerem lub barmanem, taksówkarzem albo robotnikiem budowlanym, jeśli będę miał czyjeś poparcie. Potem Bahamy uzyskały niepodległość i pojawiła się nadzieja. Nadzieja! — parsknął Makepeace. — Wpływowi biali zostali zastąpieni przez wpływowych czarnych, którzy musieli udowodnić, jacy są hardzi i niezależni. Wkrótce pograżyli cały kraj. Więc powiedziałem sobie: Birds, wracaj do Caicos i pokaż im, jak się to robi. Wróciłem, zebrałem kilku kumpli. Podrzuciliśmy tu i ówdzie parę koktajli Mołotowa i Brytyjczycy powiedzieli: do widzenia. W taki sposób zostałem tutaj szefem, muchą, oddelegowaną do kawałka placka. Mam do dyspozycji kilkuset ludzi. Większość nie umie czytać. Ci, którzy nie pracują dla rządu, łowią ryby — w takich ilościach, że za kilka lat i to się skończy. Nie mają nadziei na poprawę, nigdy i nigdzie. Daliśmy im prawo głosu i głosują, tyle, że nie bardzo mają za czym. Mają wolność, której pragnęli, ale wolności nie można jeść. — Makepeace przerwał. — I pan chce, żeby mnie obchodziło życie paru spasionych Jankesów?!

— Turystyka — odparł Maynard — to nienowoty pomysł, ale można z tego żyć.

— Jest trochę, ale nie mamy wiele do zaoferowania. Odludzie i czysta woda. Robactwo. Jesteśmy sto lat do tyłu.

— Ale właśnie za to ludzie chętnie zapłacą.

— Wiem — uśmiechnął się Makepeace — znam kilku takich. Zawsze jest gadka o dużych amerykańskich spółkach, które przyjadą tu i wybudują pola golfowe, korty tenisowe i kawiarnie na plaży. Jeśli nawet kiedykolwiek tak się stanie, to będą to pieniądze na krótką metę, a potem następny przejmie kontrolę, wykopie Jankesów i da w zarząd miejscowym. Po pięciu latach znowu będzie tu kupa gnoju.

— Zachęcająca perspektywa.

— Takie są realia. To miejsce nie ma prawa być zamieszkane, a co tu mówić o narodzie.

Przyroda go nie zaludniła, jeśli nie liczyć robactwa.

Kelnerka przyniosła jedzenie; potrawka rybna, mięczaki, a dla Justina cienki, szary kawałek siekanego mięsa, posmarowany serem topionym i włożony między dwie kromki chleba.

Maynard spojrzął w kierunku plaży i zobaczył Justina pływającego na gumowym materacu, wiosłującego pośpiesznie do brzegu. Gwizdnął przez zęby, a Justin pomachał mu ręką.

— Nie dostanie pan odpowiedzi na swoje pytanie — powiedział Makepeace. — W każdym razie nie tutaj. Większość ludzi albo nic nie wie, albo nie chce wiedzieć. Nie ma sensu zajmować się rzeczami, które nie przynoszą żadnych korzyści. Możliwe, że jest kilka osób, które coś podejrzewają, ale nie widać powodu, żeby chcieli z panem rozmawiać. Jeśli coś wiedzą, to dlatego, że mają w tym swój udział, cokolwiek by to było, na opowiadaniu panu na pewno nic nie zyskają. Osobiście wątpię, żeby coś w tym było. Różne rzeczy się zdarzają. Dobre, złe, a także niezrozumiałe. Po prostu zdarzają się. — Makepeace wzruszył ramionami. — Życie toczy się dalej.

Justin podszedł do stołu, owinięty w plażowy ręcznik. Spojrzął z przerażeniem na obłe kształt na talerzu. Wyszeptał do ojca:

— Co to jest?

— Prosiłeś o cheeseburgera.

— To jest wstrętne!

— Jedz.

— Umrę z głodu i to będzie twoja wina.

— Jedz.

— Na pewno dostanę rozwolnienia. — Justin dziabnął palcem rozmiękły chleb. Spojrzął na Makepeace'a. — Co to za łódź, tam w dole?

— Nie wiem. Gdzie?

— Za cypłem. Do połowy zakopana w piasku.

Makepeace zawołał kelnerkę. Przemówił do niej ze śpiewną wyspiarską intonacją.

— Czyja jest ta łódź na plaży?

— Nie wiem. Leży tam od miesiąca.

— Było w niej coś?

— Nic. Ogołocona do czysta. Musiał ją ktoś wyrzucić.

— Nie wyrzuca się łodzi.

— Tę ktoś wyrzucił. Zniszczył i wyrzucił.

— W porządku. — Makepeace oddalił kelnerkę i powiedział do Maynarda: — Pójdziemy ją obejrzeć.

Po lunchu zeszli do zatoczki, minęli skalisty cypel i wyszli na rozległą płaszczyznę białego piasku.

Wrak łodzi był do połowy wciśnięty w wydnię. Fale wyrzuciły go na brzeg rufą do tyłu i zagrzebały kil w piasku. Leżał na boku, wnętrzem zwrócony w kierunku morza. Kiedyś był dziesięciometrową łodzią z kabiną (teraz już bez) i pojedynczym masztem (również bez). Przedni luk był wyrwany, a na pokładzie widać było ślady uderzeń siekierą.

Pewnie została splądrowana po wyrzuceniu jej na brzeg, pomyślał Maynard.

Wymiótł piasek z kokpitu. Koła sterowego nie było, usunięto wszystkie mosiężne i chromowane części, odkręcono nawet knagi.

Kadłub usiany był dziurami po śrubach. Maynard dostrzegł jakiś błysk. Przyjrzał się uważnie. Jedna z dziur była większa od pozostałych i wypełniona. Powiedział do Justina:

— Masz przy sobie nóż? Spróbuj to wyciągnąć.

Justin przyklęknął w kokpicie i zaczął dłubać scyzorykiem w drewnie. Kilka minut zajęło mu poszerzenie i pogłębianie otworu, a kilka następnych wydobyć przedmiotu z drewna. Pracował dokładnie i spokojnie, bez śladu zniecierpliwienia.

— To kula — stwierdził i położył ją ojcu na dłoni. — Ciężka.

Maynard skinął głową.

— Ołów. — Zwrócił się do Makepeace'a: — Jakie są wasze prawa odnośnie broni palnej?

— Proste. Nie wolno jej mieć.

— A zabytkowe strzelby? Na przykład skałkówki?

— Nigdy się z tym nie spotkałem. Dlaczego pan pyta?

— To jest kula — powiedział Maynard obracając ją w palcach — własnej roboty; widać na niej ślady odlewu.

— Czy to panu coś mówi?

— Sama kula? Niewiele. Tylko tyle, że ktoś strzelał w łódź, albo do kogoś na łodzi, ze starego pistoletu.

Makepeace spojrział na zegarek.

— Powinienem odwieźć was na lotnisko.

Kiedy jeep wjeżdżał na płytę lotniska, Maynard zobaczył, że DC-3 stoi na pasie startowym i praży się w południowym słońcu. Drzwi do kabiny były otwarte, ale luki ładowni zamknięte i nic się wokół nie działo.

— Dlaczego nie ładują samolotu? — zapytał. — Whitey powiedział, że potrzebuje godzinę na załadunek.

Przez moment Makepeace sprawiał wrażenie zakłopotanego. Po chwili roześmiał się.

— Tak panu powiedział? Stąd bierze tylko paczkę listów. Ładunek zabiera z Navidad. Mrożone mięczaki. — Makepeace roześmiał się ponownie. — Pewnie miał na myśli, że potrzebuje godziny na załadowanie siebie i następnej, żeby odespać.

— Co?

— Ma tutaj przyjaciół. Zbierają się u Cyryla, piją rum i plotą bujdy. Whitey czuje się tutaj u siebie. W Miami jest wyrzutkiem. Mówią na niego: Tleniony Chłopak albo Biały Czarnuch. Kiedyś latał na Bahamy, ale tam było jeszcze gorzej; traktowali go jak trędowatego — był zbyt biały, żeby być białym i zbyt kolorowy, żeby być kolorowym. Czarni byli przekonani, że przynosi im pecha. Tutaj przyjmują go takim, jakim jest; jeszcze jeden ludzki śmieć, taki jak oni.

— Kiedy jest następny samolot?

— We wtorek, ale leci na Haiti. Proszę się nie martwić, Whitey jest dość ostrożny. Musi się tylko wyspać przed lotem.

Justin zauważył wyraz twarzy ojca i powiedział:

— Nie martw się, tato. On mi pokazał, jak to działa. Myślę, że poradziłbym sobie, gdybym musiał.

Maynard uśmiechnął się blado i poklepał Justina po ramieniu.

— To mnie podniosło na duchu.

Czekali w cieniu skrzydła DC-3. Whitey wyszedł z budynku, ziewnął i włożył okulary słoneczne.

— Widzi pan? Spał — powiedział Makepeace. — Wszystko będzie w porządku.

Z kopertą poczty wetkniętą pod pachę, Whitey ruszył w kierunku samolotu. Szedł prosto i pewnie. Trochę za pewnie, pomyślał Maynard. Koncentruje się na każdym kroku.

— Jak z tobą? — zapytał Makepeace.



— Szczytowa forma, szefie. — Whitey podprowadził Maynarda i Justina do drzwi. — Trzeba stąd uciekać. To słońce może wycisnąć ostatnie soki.

Makepeace pomachał Maynardowi i zawołał:

— Odwiedźcie nas jeszcze kiedyś!

Maynard kiwnął ręką. W drzwiach samolotu zawahał się.

— Ruszaj się, człowieku — rzucił Whitey. — Chcę być w domu przed nocą.

Ociągając się, Maynard pomógł Justinowi wejść po schodkach i wszedł za nim do środka pustego kadłuba.

Nie obciążony samolot szybko wzniósł się w powietrze.

— Klapy w górę — komenderował Whitey. Nie dotknął przycisku. — Klapy w górę!

Justin spojrział na Whiteya, potem na ojca i znowu na Whiteya.

— Kto, ja?

Whitey wcisnął przycisk.

— Teraz podwozie w górę.

W jednym rzędzie były cztery przyciski i Justin nie wiedział, który z nich ma wcisnąć.

— Cholerny smarkacz! — zaklął Whitey wciągając podwozie. — Jak długo już latasz?

Samolot wyrównał lot.

— Gdzie teraz lecimy? — mruknął do siebie, wyciągając rękę, by włączyć autopilota. —

Navivad? Tak, Navivad. — Ustawił kurs według kompasu i wcisnął guzik. — Uważaj na fokkery — powiedział do Justina. — Już słyszę Czerwonego Barona w pogoni za Białym Rycerzem. Tylko nie daj się zrobić w konia. Niektóre z nich to messerschmitty — pochichotawszy, Whitney chrząknął, zamknął oczy i zasnął.

Justin odwrócił się do ojca. Był wystraszony.

— Co ja mam teraz robić?

— Nic. Myślę, że będzie sam leciał. — Maynard spojrział w niebo. — Miejmy nadzieję, że nie będzie nawałnicy.

Samolot z warkotem leciał na północ. Już na wysokości półtora tysiąca metrów, w nie ogrzewanej, niehermetycznej kabinie zrobiło się bardzo zimno. Przy każdym chrapnięciu Whiteya obłoczek pary, wydobywającej się z jego ust, zasnuwał boczną szybę. Maynard spostrzegł, że Justin trzęsie się z zimna. Zdjął marynarkę i okrył nią chłopca.

— A co z tym? — Justin wskazał pistolet pod pachą Maynarda.

— To powinno być naszym jedynym zmartwieniem — powiedział Maynard, zastanawiając się, co zrobi, jeśli Whitney się nie obudzi.

Justin wyczuł jego niepokój.

— Możemy skrócić na północny zachód, przynajmniej wiadomo, że tam jest ląd.

— Wiem, nie martw się. — Maynard wysilił się na uśmiech. — Będziesz miał o czym opowiadać chłopakom w szkole.

— Nie uwierzą mi.

Maynard sięgnął ręką do kieszeni i wyjął ołowianą kulę.

— Pokażesz im to. Będą musieli ci uwierzyć.

— Tak. — Justin był zadowolony. — Załatwiłeś wszystko, co chciałeś?

— Coś w tym rodzaju, nie całkiem. Ale w czym problem: mamy przygodę, tak czy nie? To ciekawsze niż lekcja gry na pianinie.

— No pewnie. Ale co powiesz w Today”?

— Że nie ma materiału na artykuł. Przynajmniej na razie. To się zdarza.

Jednak lepiej by było, pomyślał Maynard, gdyby wrócił z kimś na okładkę tego jesiennego wydania mody. No nic, najwyżej okaże entuzjazm dla Margaret Trudeau i da do zrozumienia, że długo nad tym myślał. Hiller podpisze mu zwrot kosztów podróży.

Samolot znajdował się nad środkiem Caicos Banks. Po lewej stronie widać było azyl na West Caicos. Navidad wylaniała się z przodu. Maynard mógł dojrzeć przecinkę w kształcie litery X: lotnisko.

Potrząsnął Whiteya za ramię. Whitey obudził się, przetarł czoło i oblizął językiem zęby.

Maynard wyciągnął rękę.

— Navidad.

— Pierwsza klasa! — Whitey zamrugał oczami i ziewnął. Wyłączył autopilota i przejął kontrolę.

Wiatr wiał z północy, co dawało Whiteyowi dogodne warunki do lądowania. Rozejrzył się, chcąc się upewnić, że przestrzeń powietrzna jest wolna i przesunął drążek sterów do przodu. Dziób samolotu skręcił w dół.

Byli już na wysokości sześćdziesięciu metrów, gdy na pasie pojawiła się mała sylwetka mężczyzny, który machał do nich ostrzegawczo. Whitey przesunął drążek do tyłu, dodał mocy obu silnikom i samolot wzniósł się w górę, przelatując z rykiem nad płytą lotniska.

— Co jest, u diabła? — zastanawiał się Whitey. Dwa razy obleciał lotnisko naokoło, uważnie przyglądając się pasom. — Żadnych wraków, żadnych osłów.

— Czemu nie połączysz się z wieżą kontrolną? — zapytał Maynard.

— Dobry pomysł. Tylko znajdź mi jakąś wieżę! — Whitey zachichotał. — Tam na dole nie ma nic, poza budką z hot-dogami i śmierdziuchem sprzedającym mięczaki.

Whitey ustawił samolot do następnego podejścia. Mężczyzna wciąż stał na pasie i machał rękami jak oszalały. Whitey potrząsnął głową.

— Facetowi musi brakować piątej klepki.

Zmniejszył moc silników. Mężczyzna na dole ciągle machał ostrzegawczo, lecz widząc, że samolot ma zamiar wylądować, rzucił się do ucieczki. Whitey roześmiał się i zawołał:

— Szybciej, Charlie!

Samolot opadał powoli, dokładnie na środek pasa. Wzorowe lądowanie. Wzrok Justina padł na tablicę kontrolną i nagle chłopiec pojawił, w czym rzecz.

— Podwozie nie jest opuszczone! — wrzasnął.

Minęło kilka sekund, zanim ta informacja dotarła do Whiteya, a potem było już za późno. Silniki nie miały mocy. Ziemia zbliżała się nieubłaganie.

— Niech będę przeklęty — wyszeptał Whitey.

Maynard rzucił się do przodu, mocno objął ramionami Justina i unieruchomił go na siedzeniu.

Tylne koła dotknęły ziemi i przez chwilę lądowanie przebiegało normalnie. Potem samolot uderzył brzuchem o powierzchnię pasa. Metal tarł i roztrzaskiwał się o wapienne skały z tak przeraźliwym zgrzytem, jaki wydaje tępa siekiera, ostrzona na szorstkim kole. Nity popękały, blachy zostały zdarte.

Samolot przechylił się na prawo. Zaczepiony koniec skrzydła obrócił kadłub samolotu i oberwał się. Zataczając koło, samolot wyprostował się, a następnie przechylił w lewo, roztrzaskując drugie skrzydło.

Maynard przyłgnął do chłopca, usiłując przewyciężyć siłę odśrodkową. Słyszał, jak oberwane skrzydło wlecze się za samolotem. Czuł zapach paliwa.

Samolot obrócił się, uderzył dziobem w płytę lotniska i przeorał kawałek pasa. Przednia szyba rozprysnęła się.

Maynard poczuł podmuch gorąca. Pachniało spalenizną.

Samolot wyhamowywał. Z tyłu rozległ się głuchy łomot i coś błysnęło.

Maynard nie obejrzał się. Za plecami czuł gorąco. Przez chwilę szarpał się z pasem Justina, odpiął go i wypchnął chłopca przez ramę przedniej szyby.

Justin zjechał w dół po dziobie i spadł na ziemię.

— Biegnij! — wrzasnął Maynard. — Uciekaj!

Sam przeciskał się przez wąski otwór, nie zważając na odłamki szkła, które raniły mu pośladki i uda. Zeskoczył na dół i pobiegł za Justinem.

Kiedy poczuł, że są już w bezpiecznej odległości od płonącego samolotu, zatrzymał się i obejrzał do tyłu.

Whitey zaklinował się w otworze po szybie. Płomienie strawiły już tylną część samolotu. Powłoka stopiła się, a ożebrowanie było rozżarzone do czerwoności.

Ten widok kojarzył się z węzem połykającym królika: cał po calu samolot znikał w gardzieli ognia.

Whitey ugrzązł na wysokości pasa. Zapierał się obiema rękami, a jego ciało drgało przy próbach odepchnięcia się nogą.

Maynard rzucił się do samolotu. Nie miał wzniosłych myśli, nie czuł przyływu odwagi. Jedyną jego myślą było: może jeśli on pchnie, a ja pociągnę, to się uwolni.

Wczołgał się na dziób samolotu i chwycił Whiteya za ramiona.

Whitey pchał, a Maynard ciągnął i ciało Whiteya wystrzeliło jak z procy na zewnątrz. Maynard upadł na plecy, Whitey na niego i razem potoczyli się na dół.

Stali razem z Justinem, zdyszani, wyczerpani i zamroczeni, i obserwowali, jak dziób samolotu ginie w płomieniach.

Justin miał wciąż na sobie marynarkę Maynarda. Zdjął ją i zawiesił ojcu na lewym ramieniu, żeby zakryć pistolet. Maynard objął go i przytulił.

Z głośnym westchnieniem samolot pogrążył się w płomieniach.

— Niespodzianka! — stwierdził Whitey. — Nadal żyjemy!

Sledztwo zajęło godzinę i składało się z kilkunastu pytań, zadanych Whiteyowi przez sierżanta Wescotta, starszego z dwóch policjantów na Navidad.

Sierżant Wescott czuł się urażony katastrofą samolotu. Wtargnęła, nieproszona, w jego codzienną rutynę. Taki wypadek mógł sprowadzić urzędników z Grand Turks, którzy będą krytykować sposób, w jaki Wescott sporządził sprawozdanie z wypadku i w ogóle przekraczać swoje kompetencje, wtykając nos w nie swoje sprawy. Kiedy Wescott wyszedł w poszukiwaniu kolejnych formularzy, Whitey wyjaśnił Maynardowi, że pełni on tutaj jednocześnie obowiązki celnika i pobiera opłaty za zezwolenia, księgując tylko niewielką część dochodów. To zasiedziały biurokrata, dumny ze swojej pozycji i arogancki, który mógł wprowadzać na wyspie swoje własne porządki.

Maynard pomyślał, że już sam wygląd Wescotta świadczy o skorumpowaniu; groteskowo tusty, na każdym przegubie miał złoty zegarek i cuchnął perfumami o egzotycznym zapachu.

— Narobiłeś mi tutaj niezłego bigosu — odezwał się z rozdrażnieniem do Whiteya. — Nie zapomnę ci tego.

— Jest gorzej, niż myślisz, Wescott. Na pokładzie miałem dla ciebie karton Drambuie.

To kolejny błąd, pomyślał Maynard. Do tej pory Whitey kłamał jak z nut w odpowiedzi na każde pytanie: katastrofa była spowodowana przez awarię urządzeń hydraulicznych; wskaźnik informował, że podwozie jest opuszczone; widział człowieka próbującego go ostrzec, ale musiał lądować, bo kończyło mu się paliwo; Maynard i chłopiec nie są pasażerami, tylko gośćmi przedstawiciela rządu na Grand Turk i śpieszą się z powrotem na Florydę (a on uczynił im przysługę), ponieważ chłopca musi pilnie zbadać lekarz.

— A kto zapłaci za sprzątnięcie tego żelastwa z mojego pasa?

— Tropic Airway ci zapłaci.

— Tropic Airway nigdy za nic nie płaci!

— No to towarzystwo ubezpieczeniowe. Poproś swojego szwagra, żeby przyjechał buldożerem i zepchnął go w krzaki. Sam możesz przecież wystawić rachunek.

Wescott skinął głową.

— Możesz być pewien, że buldożer nie przyjedzie tu za darmo.

Maynard położył rękę na ramieniu Justina i potwierdził jedno z kłamstw Whiteya.

— My naprawdę musimy szybko znaleźć lekarza. Kiedy będziemy mogli się stąd wydostać?

— W środę albo w czwartek.

— Jutro! — nalegał Maynard. — Zapłacę za przewóz.

Wescott zastanawiał się przez chwilę, obliczając, ile może na tym zarobić.

— Dobrze, zadzwonię rano.

— Niech pan zadzwoni dzisiaj.

— Hej! — krzyknął Wescott. — Co pan sobie myśli? Przyjeżdża na moją wyspę, rozbija samolot na moim pasie i dyktuje mi, kiedy ma wyjechać? Wyjedzie pan stąd wtedy, kiedy ja będę chciał.

— Przepraszam — odrzekł Maynard. — Martwię się o chłopca.

Justin spojrział zdziwiony na ojca, ale nic nie powiedział.

— No, dobra — głos Wescotta przybrał łagodniejsze tony. — Niech Pan przyjmie moją radę.

Jeśli jest chory, może mu się poprawi. Jeśli mu się nie poprawi, może się zdarzyć, że umrze. Jeśli umrze, to może będzie pan miał następne dziecko. Takie jest życie. Poza tym, żadnego dzwonięcia dzisiaj. Linia jest nieczynna.

Whitey miał na Navidad przyjaciółkę, która pracowała jako pokojówka w jedynym czynnym hotelu na wyspie. Była mężatką, ale jej mąż pływał na statku dostawczym i rzadko bywał w domu. W przeciwieństwie do swych przyjaciółek w podobnych okolicznościach odmawiała swoich wdzięków miejscowym mężczyznom, uważając, że takie stosunki zawsze stwarzają problemy towarzyskie. Obsługując przygodnych mężczyzn, takich jak Whitey, zaspokajała swoje potrzeby, pozostając wierna uczuciowo swojemu mężowi.

Whitey skorzystał z CB Wescotta, żeby porozumieć się z dziewczyną, a ona obiecała przygotować pokój dla Maynarda i Justina.

Taksówka, którą pojechali do hotelu, była rozklekotanym gruchotem, utrzymywanym przy życiu dzięki częściom wymontowanym z innych samochodów, maszyn budowlanych i silników do łodzi. Żadne dwie opony nie były tych samych rozmiarów i samochód kuśtykał po zakurzonej drodze jak kaleka.

Pomimo szarpania, hałasu nie tłumionego silnika i dławiącego kurzu, Justin położył głowę na kolanach Maynarda i zasnął.

Maynard zaniósł go do pokoju w dwurodzinnym bungalowu ulokowanym na zboczach, wychodzącym na prymitywny port, i położył do łóżka.

Chłopiec nie obudził się na pytania o jedzenie czy picie, nie poruszył się nawet wtedy, gdy Maynard wilgotnym ręcznikiem wycierał mu oblepione kurzem usta i twarz.

Maynard pocałował go w czoło i poszedł na górę, do baru.

Bar był kwadratowym, wyłożonym drewnianymi płytkami pomieszczeniem, udekorowanym niedbale sieciami, bojami i kiczowatymi pejzażami pędzla miejscowych artystów. Bufet stanowiła poplamiona, surowa sklejka biegnąca wzdłuż jednej ze ścian. Plastikowo-chromowe stołki pochodziły z taniej sprzedaży wysyłkowej.

Szafa grająca, nastawiona bardzo głośno, wylewała z siebie kakofoniczną mieszaninę: reggae, Cry Johnnie Raya, Heartbreak Hotel Elvisa Presleya oraz piosenki Patti Page, Jo Stafford, Kate Smith i zespołu The Big Bopper.

Pomieszczenie było wypełnione tańczącymi, wszyscy byli młodzi i wszyscy czarni. Niektórzy mieli na nogach wysokie buty motocyklowe, niektórzy sandały, inni pantofle na platformie. Były tam minispódniczki, krótkie szorty, wschodnie kaftany i długie spodnie. Z fryzur dominowały afro, loczki i wypomadowane kacze czuby.

Był to kalejdoskop różnych kultur i okresów, który jednak nie tworzył żadnej kultury. Pokolenie oderwane od swego afrykańskiego dziedzictwa i całkowicie izolowane od innych wpływów kulturowych. Brakowało im wzorów do naśladowania, mód, za którymi mogliby podążać. Tutejsze gusty kształtowali pośrednicy z Miami. To, co nie przyjęło się na tamtejszym rynku, kupowali w dużych ilościach za bezcen i przywozili na wyspy, pobierając wygórowaną marżę. Mimo upływu setek lat nie różniło się to wiele od handlu kocami i szklanymi paciorkami.

Maynard przeciskał się przez tłum do bufetu. W lesie czarnych głów dojrzał platynowe loki Whiteya. Przepychał się łokciami w jego kierunku, ale zatrzymał się stwierdziwszy, że Whitey całuje się w pijackim uścisku z jakąś dziewczyną.

Jedynie wolne miejsce przy barze było obok białego mężczyzny z długą grzywą siwych włosów. Maynard usiadł i zamówił podwójną szkocką.

Poczuł, że mężczyzna przygląda mu się. Nie było to spojrzenie subtelne, ani ukradkowe;

odwrócony na stołku mężczyzna gapił się. Maynard próbował patrzeć gdzie indziej — spoglądał na bufet, na swoją szklankę, na sufit, ale czuł się nieswojo.

W końcu odwrócił się do mężczyzny i powiedział:

— Dobry wieczór.

Mężczyzna uniósł brwi.

— Istny feniks powstający z popiołów.

— Słucham?

— Oczyszczony w ogniu. Widziałeś oko Stwórcy i żyjesz, by o tym opowiedzieć.

— Co takiego?

— Miałeś dzisiaj ciężkie przejścia. — Mężczyzna uśmiechnął się.

— Słyszałeś o tym.

— O tym? Nie. Ja sam to słyszałem. To było jak czysty dźwięk podniecenia wśród ogłuszającego łoskotu nudy, jaką jest nasze życie. Niechby połała się krew — mielibyśmy grozę, niechby śmierć — czulibyśmy się szczęśliwcami, niechby coś dla dzieci na pamiątkę. Nuda rodzi upiory.

— Przykro mi, że cię rozczarowaliśmy. — Maynard wychylił swoją szklankę.

— Na szczęście dla was, niestety dla nas. Z powrotem do potrawki z mięczaków i onanizmu. Jak długo tu zostaniesz?

— Mam nadzieję, że tylko do jutra. Jeśli uda się załatwić lot barterowy.

— Jeżeli jesteś na łasce Wescotta, to twoje jutro może nastąpić Bóg wie kiedy. On będzie czekał tak długo, aż znajdzie pilota, od którego wydębi rachunek na sto dolców. Parszywy Nubijczyk! — Stuknął pięścią w blat i barman nalał mu do pełną szklankę dzinu. — I jeszcze jedna dla mojego kompana.

— Nie, dziękuję. Powinienem trochę się przespać.

— Spokojnie, chłopie. Będzie dosyć czasu na spanie, gdy wrócisz do domu. Nalej mu, Clarence, a ja oskubię jego rozmiękłą mózgowicę z nowinek.

Maynard podsunął swoją szklankę barmanowi.

— Dziękuję — powiedział. — Jestem Blair Maynard.

— Wiem. I pracujesz dla Today. Wieści rozchodzą się szybko. — Uśmiechnął się.

Wydawało się, że mężczyzna nie ma zamiaru się przedstawić, więc Maynard zapytał:

— A kim ty jesteś?

— Kim ja jestem? — Udał, że jest obrażony. — Ja jestem barwną, wyspiarską postacią, jaką można spotkać podczas dwudolarowej rundy po melinach, przesiąkniętym rumem, reliktem niespełnionych marzeń, stukniętym mędrcom, który za cenę drinka będzie snuł cudowne opowieści o tym, co by mogło być, gdyby nie Los, ta kapryśna dziwka, który zniszczył go w kwiecie wieku. Nudzę cię? Proszę, nie bądź taki: mój styl jest pełen godności. Chwytasz to? Gra słów, chłopcze, i to niezła.

— Jak masz na imię? — Maynard roześmiał się.

— Imię? A czym jest imię? Ten, kto kradnie mi imię, kradnie śmieć, ale ten, kto kradnie mi portfel... tak, to złodziej. Przyklej mi etykietkę, jaką chcesz, pozwól swojej wyobraźni stworzyć moją osobę. Moja koszula typu safari opowiada całe tomy: oto człowiek, który kreuje się na poszukiwacza przygód, wędrującego przez stepy południowej Afryki. Czy jest prawdziwym romantykiem, czy też może robi to dla pieniędzy? Co ci powie ten biały drelich, zalatujący dawnym nieróbstwem i dobrobytem, albo moje portki, zwinięte z samolotu? A moje sandały — smętne drewniaki, buciory plażowego śmieciarza, czy może jedyne buty, na jakie było mnie stać? Jak się nazywam? Windsor. I tutaj kryje się następna zagadka. Czy istotnie jestem dalekim krewnym Jej Królewskiej Mości, czarną owcą wysyланą do kolonii, żeby uniknąć kłopotów, a może zmyśliłem to, smagły Lewantyńczyk,

próbujący uchodzić za członka rodziny królewskiej. Jest tutaj ziarno prawdy, czy wszystko to bujdy?

— Ty mi powiedz — stwierdził Maynard.

— Mam zepsuć ci zabawę? Sam zdecyduj, co jest prawdą a co tylko obłoczkiem dymu z bladym zerem w środku.

Siląc się na uśmiech, Maynard powiedział ze znużeniem:

— Prawdę mówiąc...

Windsor podniósł rękę.

— Nic nie mów! Wypijemy jeszcze po jednym. — Stuknął szklanką o bar. — Clarence! Jeszcze kieliszeczek. I jeden dla mojej nieoświeconej ofiary. On przyjmie, jeśli obiecuję, że zapłacę.

Żadnych chytrych spojrzeń, ty mangusto! Jeśli powiedziałem, że zapłacę, to zapłacę. Moje słowo jest wystarczającą gwarancją, wiesz o tym. — Windsor pogmerał w kieszeni i wyciągnął plik zwiniętych banknotów, które rozsypał na ladzie. Zwrócił się do Maynarda: — Zazwyczaj, zanim zdążę się sobą znudzić, moi słuchacze dawno śpią. Ale od tak długiego czasu nie rozmawiałem z nikim inteligentnym.. Na Boga, to zabrzmiało szczerze!

— Czy to takie rzadkie? — Maynard roześmiał się cicho.

— U mnie? Niesłychanie. Barwne postacie zwykle bywają tajemnicze, a tajemnica pociąga za sobą kłamstwa.

— Czy Windsor to twoje prawdziwe nazwisko?

— Tak sądzę. To znaczy tak. Używam go od tak długiego czasu, że jest prawdziwe, nawet gdyby nie było, o ile nadążasz za mną. Plotę tyle bzdur, że czasami zdarza mi się przyjąć fikcję za prawdę. Ale to jedno powtarza się tak często, że jestem przekonany, iż jest prawdziwe. Kiedyś poprzedzałem je Normanem, ale zaprzestałem tego. Norman Windsor. Jaka klacz nazywa swoje źrebie Norman?

— Jak długo już tu jesteś?

— Urodziłem się tutaj. To się zdarza, możesz mi wierzyć albo nie. Mam na myśli białych.

Wyjechałem na jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat, szukając szczęścia. Ale Pani Fortuna wypięła się na mnie. Albo raczej moi studenci wypięli się na mnie. Więc wróciłem dzierżyć berło tutaj.

— Byłeś nauczycielem?

— Byłem pedagogiem, pozostałem belfrem. Miałem tytuły w dziedzinie antropologii. Możesz się dziwić, ale to fakt. Chciałem się dzielić moją wiedzą z młodymi. Cuda Majów, pierwotne piękno Tasaday, sztuka Sumerów, geniusz kultu druidów. W obecnych czasach jest tyle arogancji. Przyjmujemy — skandaliczne zadufanie! — że to, co jest teraz, jest lepsze od tego, co było. Cały błąd teorii ewolucji polega na tym, że wzrost i zmienność oznaczają rozwój. Nowotwory też rosną i podlegają zmianom. Oto jak wygląda postęp cywilizacji. Proste, efektywne społeczności rozkładają się pod wpływem nowotworów reform, usprawiedliwianych politycznymi hasłami typu: demokracja, prawa człowieka i godność ludzka. Godność! Gdzie jest godność w chciwym, egocentrycznym zwierzęciu, którego jedynym celem jest przetrwanie i zaspokajanie podrażnionych zmysłów? Człowiek wrażliwy i wartościowy przyjmuje innych ludzi takich, jakimi są i uspokaja swoje tak zwane społeczne sumienie tak gruntownie, jak napełnia swój brzuch, aż ukoji to szczególne podrażnienie.

— Rozumiem teraz, dlaczego miałeś kłopoty jako nauczyciel — powiedział Maynard uśmiechając się. — Dobrze jest widziane oddanie się Chrystusowi. Nie jest dobrze widziane oddanie się Machiavellemu.

— Do diabła z Machiavellim! — krzyknął Windsor. — Głupi italiański oportunistą, nie miał dość ikry, by wypróbować to, co wyznawał. Rzadko kto ma. Zaryzykuję twierdzenie, że nie potrafisz wymienić ani jednej społeczności, która funkcjonuje właściwie, gdzie każdy dostaje to, na co

zasługuje i nikt nie czuje się jakby łapał bliźniego we własne atomowe sidła.

Maynard zastanawiał się przez chwilę.

— Amiszowie?

— Amiszowie?! — parsknął Windsor. — Nigdy w życiu. To niewolnicy jednej z bardziej pokrętnych wersji etyki chrześcijańskiej. Nie. Na całym świecie jest dokładnie trzy i pół czystych społeczności. Ta połówka to grupa żyjąca w głębokich ostępach leśnych Ozarks, która posługuje się angielszczyzną z czasów elżbietańskich. Powodem, dla którego nazywam ich połową jest to, że elżbietańska Anglia, do której się odwołują, była w pełni zorganizowanym społeczeństwem. Cywilizowanym, jeśli wolisz. Dwie najczystsze żyją w dżungli na Filipinach. Jedna to Tasaday, odkryta w 1971 roku, żyjąca na poziomie epoki kamiennej. Druga została odkryta w ubiegłym roku; Taotbato, ludzie jaskiniowi, których prymitywna społeczność przetrwała nietknięta przez Bóg wie ile setek lub tysięcy lat. Odkrycie zniszczy je obie. Zawsze tak jest.

— A ta trzecia? Mówiłeś, że jest trzy i pół.

Windsor przez chwilę przyglądał się bacznie Maynardowi. Potem dokończył swój dzin.

— Nieważne. Znowu plotę bzdury. W każdym razie miałem stały kontrakt zanim rada college'u obrzuciła mnie oszczerstwami.

— Co teraz robisz?

— To i owo. Łowię ryby. Wynajmuję łodzie. Wyleguję się pod drzewem i czekam na bilet w jedną stronę do nieznanego kraju. Jakież to dziennikarskie perły redakcja Today zleciła ci tutaj wyłowić?

— Myślałem, że wieści rozchodzą się szybko.

— Tak, ale czasem się potykają. Gorący temat? Panorama Navidad? Karnawał na Caicos?

Kanalizacja w raju — prawda o ściekach? — Windsor przeciągnął się. — Robi się późno. Nic nie szkodzi. Nie mów mi, jeśli nie chcesz. Sekrety są bagażem, bez którego mogę się obejść.

— To niezupełnie sekret — odparł Maynard. — Chciałbym wiedzieć tyle, żeby to był sekret.

Opowiedział Windsorowi o ginących łodziach i o swoich rozmowach z Florio i Makepeacem. Szczegóły zrelacjonował pokrótce.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to — powiedział na koniec swojego opowiadania — że nie wierzę, żeby coś się za tym kryło. Wszystko to problem nieświadomych i lekkomyślnych ludzi.

— Masz rację — stwierdził kategorycznie Windsor. — Moi hebanowi przyjaciele nie są zdolni do ukrywania czegokolwiek. Czyjś język rozwiązałby się na pewno, choćby dla przyjemności ujrzenia rywala na szubienicy. Zareczam, że sprawa wygląda tak: tu kłusownicy, tam zatonięcie, jeszcze gdzieś narkotyki, aż się skompletuje ta lista. Nie bardzo odkrywcze, ale za to prawdziwe.

— W każdym razie brzmi przekonująco.

— Bo jestem przekonany — odparł Windsor. — Już dawno nauczyłem się, żeby nie szukać istoty rzeczy ukrytych w cieniu. A teraz — wychylił do końca szklankę i ześliznął się ze stołka — muszę udać się w objęcia Morfeusza. Powiedziałbym: Au revoir, ale rano już cię nie będzie. Więc powiem: Adieu.

— Dziękuję za drinki.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Windsor postąpił krok naprzód i nagle coś go zatrzymało, coś, czemu nie mógł się oprzeć. — W modlitwach twoich przez wszystkie me dziny pamiętany — zarechotał.

Maynard roześmiał się i zasalutował szklanką.

Windsor poklepał go po ramieniu. — Szkoda, że wyjeżdżasz. Tak miło jest być przez kogoś docenianym.



\*

Maynard został wyrwany z głębokiego snu przez Justina, szarpiącego go za ramię i szepczącego:

— Gdzie jest pistolet?

— Pod poduszką. Czemu pytasz?

— Za drzwiami stoi policjant.

Maynard podniósł się z łóżka i otworzył drzwi. Na progu stał sierżant Wescott, po nadętych policzkach spływał mu pot. Dookoła jego głowy krążyły komary.

— Jest samolot — poinformował Maynarda.

— Wspaniale. O której?

— O jedenastej... jutro.

— Dlaczego nie dzisiaj?

— Nie mogłem nikogo znaleźć.

Maynard miał ochotę się kłócić, ale wiedział, że to nie ma żadnego sensu.

— Dobrze, ale będę musiał dzisiaj zadzwonić.

— Nie ma dzwonienia. Telefon jest jeszcze zepsuty.

— To jak zdołał pan zamówić na jutro samolot?

— Jeden facet był na lotnisku dzisiaj rano.

— Dziś rano był samolot i nie załatwił pan, żeby nas zabrał?

— Facet nie chciał was zabrać.

— Chyba raczej nie chciał się zgodzić na pańską cenę, czy tak?

— Hej! Co pan sobie myśli? Ja staram się zrobić panu przysługę...

— Dobrze, zapłacę pańską cenę.

— Teraz już za późno. Niech mi pan da sto dolarów.

— Po co? Przecież samolot przyleci dopiero jutro.

— Zaufanie. Albo gość nie wróci.

— Sierżancie, niech pan sobie w zaufaniu possie palec.

— Myślę, że przydałoby się, gdyby pan poczekał na samolot w areszcie. — Wescott złapał Maynarda za łokieć.

Maynard spojrział najpierw na rękę Wescotta, a potem w jego małe oczka.

— Jeśli zaraz nie zabierze pan ode mnie swoich łap — oświadczył spokojnie — to skręcę ten tłusty kark.

Wescott puścił ramię Maynarda. Maynard wszedł do domu i zatrzaskał drzwi.

— Nie powinieneś tego robić, tato — stwierdził Justin. — Teraz to już nigdy nie będzie samolotu.

— Będzie, nie martw się. Ta świnka chce dostać swoje sto dolarów. — Maynard otrząsnął się ze złości. — No, kolego, słyszałeś wszystko. Co wobec tego chcesz dzisiaj robić?

— Czy ty nic nie rozumiesz, tato? — Justin był bliski płaczu. — Mama mnie zabije!

— Justin... — Maynard przytulił go do siebie. — Nie martw się o to, co zrobi mama. O nic się nie martw. Chcesz pójść na ryby?

— Nie mam nawet wędki.

— Coś wymyślimy. Masz nóż, możemy zrobić wędzisko. Może wynajmiemy łódź? Złowiłeś kiedyś barrakudę? To jest dopiero wyczyn!

Po śniadaniu Maynard z Justinem poszli do portierni popytać o wędkowanie. Postrzępiony,

zapleśniały folder reklamował wycieczki wędkarskie na pokładzie Mary Beth.

— Ile kosztuje pół dnia? — zapytał Maynard.

— Nic.

— Aha... może zapłacę za paliwo?

Urzędnik zachichotał.

— Nic nie kosztuje, bo nie ma żadnych kursów. Łódź zniszczona, wędziska połamane, więc kapitan pojechał do domu.

— To po co to tutaj leży?

— Dla informacji publicznej.

— Rozumiem — powiedział Maynard cierpliwie. — Czy mogę gdzieś wypożyczyć wędkę?

— Niestety.

— Dobrze. Sam coś wykombinuję. A łódź? Może być wielorybnicza. Albo żaglówka.

— Żadnych łodzi. Doktor Windsor ma kilka, ale nie wynajmuje.

— Wczoraj wieczorem mówił, że wynajmuje.

— No to może wynajmuje. Wszystko zmienia się za szybko dla mnie. — Urzędnik wzruszył ramionami.

— Gdzie on mieszka?

— Na końcu drogi.

— Jakiej drogi?

— Drogi. Tu jest tylko jedna droga.

— Jak rozpoznam jego dom?

— Usłyszysz go pan.

— Usłyszę?

Urzędnik przytaknął i sięgnął ręką pod ladę.

— Jeśli się pan tam wybiera, to lepiej użyć tego. — Podał Maynardowi środek odstraszający owady.

— Dziękuję. — Maynard spryskał siebie i Justina i oddał pojemnik urzędnikowi.

— Ma pan pięćdziesiąt centów? — zapytał urzędnik.

— To kosztuje pięćdziesiąt centów? — Maynard uśmiechnął się.

— Dwadzieścia pięć. Pięćdziesiąt za dwie osoby.

Maynard sięgnął do kieszeni. Nie znalazł drobnych.

— Bardzo mi przykro, ale nie mam.

— Ciężkie czasy nastały. — Urzędnik potrząsnął głową. — Nie można zarobić nawet pięćdziesięciu centów.

Droga była zakurzona przecinką, wyrąbaną w gąszczu krzewów, kaktusów, dzikich grusz i winorośli. Roje moskitów spadały z góry, z bagnistych kryjówek i przelatowały w poprzek drogi. Tłusty, oleisty repelent był skuteczny: moskity atakowały idących, krążyły o kilka cali nad ich skórą, odczytując sygnały chemiczne wydzielane przez repelent, a następnie, jakby na czyjś bezgłośny rozkaz, z cichym bzyknięciem znikwały w zaroślach. Listowie rozbrzmiewało różnymi odgłosami: buczenia, cmoknięcia i gwizdy ptaków.

Uszli może trochę ponad pół mili. Pot spływający po twarzach zaczął zmywać środek odstraszający i pojedyncze sztuki robiły się coraz śmielsze.

Maynard już miał zamiar zawrócić z drogi, kiedy usłyszał dźwięk, który nie był z pewnością wydawany przez owady — wysoki, jednostajny i mechaniczny. Dźwięk silnika elektrycznego, dochodzący z prawej strony drogi. Maynard wspiął się na czubki palców i spojrzał ponad krzakami.

Nic nie zobaczył.

— Tam jest ścieżka — zawołał Justin.

Okrzyżła ich chmara komarów, które wciskały im się do uszu, wlatywały w rękawy i pod pachy, wplątywały się we włosy w poszukiwaniu miejsc nie pokrytych repelentem. Biegli drapiąc się i machając rękami. Mieli nadzieję, że ta szalona aktywność odstraszy niegościnnie owady. Kiedy dotarli na koniec ścieżki, ich oczom ukazał się stalowy sześcian, domowa prądnica, z której pochodził słyszany wcześniej dźwięk. W oddali, ponad grzbietami wydm, zobaczyli kilka łodzi przycumowanych do rozwalającego się pomostu.

Dom Windsora był wybudowany w ziemi, zagrzebany w piasku aż po płaski, cementowy dach. Murowane schody prowadziły w dół, do potężnego portalu z drzewa tekowego, ozdobionego gładkim, mosiężnym pierścieniem. Przy drzwiach, przymocowanych do betonowej ściany, wisiał domofon. Maynard zastukał mosiężnym kołem u drzwi.

W głośniku rozległ się skrzekliwy głos Windsora:

— Wynoś się stąd, Etiopczyku! Mam teraz konferencję. Jeśli sprzedajesz, ja nic nie kupuję. Jeśli kupujesz, ja nic nie sprzedaję. Nie interesują mnie ani sprzedawcy, ani nabywcy. Spływaj!

Po wysłuchaniu tego przemówienia Justin zapytał Maynarda:

— Tato, on wynajmuje łodzie?

Maynard uśmiechnął się i nacisnął guzik w domofonie:

— Mam tutaj telegram dla przesiąkniętego rumem reliktu.

— Czy to ty, pismaku? — zapiszczało przenikliwie w głośniku. — Jakie wieści o Sacco i Vanzettim? Nie trać otuchy. My im jeszcze pokażemy! — Głośnik pstryknął, a po kilku sekundach otworzyły się drzwi.

Windsor miał na sobie kimono i jedwabne kapcie.

— Proszę! Wchodź! Właśnie marzyłem sobie o pikniku w towarzystwie wszystkich sodomitów Macedonii! — Zobaczył Justina. — Och, wybacź! Widzę, że przyprowadziłeś własnego.

Maynard przedstawił Windsorowi Justina. Z szeroko otwartymi oczami Justin uściśnął mu rękę i zapytał:

— Co to jest sodomita?

— Nic, chłopcze, nic. Słyszałeś kiedyś o sodalicji? Ten sam źródłosłów. Chodź! Należę ci trochę miodu i wypijemy nasze zdrowie.

Cały dom składał się z jednego pokoju dziesięć na dwanaście metrów, wyłożonego drewnem tekowym i bogato umeblowanego; poszczególne części pokoju reprezentowały inny styl. Przestrzeń jadalna umeblowana w stylu Ludwika XV, część gościnna w hiszpańskim stylu kolonialnym, sypialnia w nowoczesnym stylu duńskim i kuchnia, w kształcie podkowy, cała z nierdzewnej stali i grubych blatów. W pokoju znajdowały się również obrazy olejne, stare dokumenty zaplombowane w szklanych gablotach, znaleziska archeologiczne polakierowane dla ochrony przed zniszczeniem i mahoniowe szafki wypełnione książkami.

W izolowanym przez piasek, klimatyzowanym przy pomocy prądnicy domu panowała temperatura 20°C.

Maynard z podziwem rozglądał się po pokoju.

— Moje małe niebo w czeluściach piekła — stwierdził Windsor. Zatoczył łuk ręką. — Widzisz przed sobą całe moje życie. Pałac zbieracza.

— Bardzo ładny. Jak na barwną wyspiarską postać, urządziłeś to całkiem nieźle.

— Byłem oszczędny. Zacząłem mając w kieszeni parę groszy, potem trochę zarobiłem, a potem już jakoś poszło. Jak wiadomo, pieniądź robi pieniądź. Ale niestety — i w tym cała moja tragedia —

przehandlowałbym to wszystko za jedną dobrą kobietę i gorące serce. — Roześmiał się. — Powiedz mi, redaktorku, co słyhać na temat Rialto?

— Musimy zostać tutaj do jutra.

— Nie dziwi mnie to. Wescott jest beznadziejny. Ale twoja zwłoka jest moim szczęściem. Zjemy razem lunch, a ja oczaruję was opowieściami o swoim życiu majtka.

— Dzięki, ale my chcemy tylko wynająć łódź.

Windsor zaniemówił. Popatrzył na Maynarda, zmarszczył brwi i odwrócił głowę.

— Po co?

— Pomyśleliśmy sobie, że moglibyśmy popłynąć na ryby.

— Tata mówi, że możemy złowić barrakudę — wtrącił Justin.

— Niemożliwe.

— Dlaczego?

— Niczego tu nie złowicie. Jest za gorąco.

— Będziemy łowić głęboko, gdzie jest chłodniej.

— Nie mam łodzi...

— Daj spokój — przerwał mu Maynard. — Widziałem kilka stojących przy pomoście.

— Nie nadają się na pełne morze.

— Słuchaj... tylko kilka godzin i będziemy z powrotem. Opowiemy ci mnóstwo kłamstw o tym, co już prawie złowiliśmy.

Windsor popatrzył na Maynarda. Maską uprzejmości opadła.

— Nie.

— W porządku — powiedział Maynard zmieszany. — Przepraszamy za kłopot. — Odwrócił się do Justina. — Idziemy, kolego. Zobaczmy, czy Whitey może coś dla nas zrobić.

— Nie! — poderwał się Windsor. Po chwili złagodniał: — Proszę... dajcie temu spokój.

— Coś jest nie w porządku?

— To bardzo niebezpieczne! Przecież właśnie ty opowiadałeś mi o tych ginących łodziach.

Dlaczego chcesz kusić los?

— Nie proszę cię o wynajęcie szkunera. Nie chcę płynąć na Kubę. Chcę tylko odpłynąć milę od brzegu i zarzucić wędkę. To wszystko. Poza tym potrafię sam zadbać o siebie.

— W to właśnie wątpię.

— Nie masz racji. — Sprowokowany, popychany przez głupią brawurę, Maynard uniósł w górę koszulę i odstąpił kolbę waltera.

— Jesteś głupcem.

— Mogę dostać łódź od Whiteya.

— No dobrze — westchnął Windsor. — Dam ci łódź. Przynajmniej wiem, że będzie pływać. Nie dałbym złamanego grosza za to, co Whitey by dla ciebie zdobył. Ale musisz mi obiecać, że co pół godziny będziesz się meldował przez radio.

— Zgoda. Złowimy strzępiela, a ty upichcisz luan.

Windsorowi nie było do śmiechu. Wyprowadził ich z domu, mamrocząc pod nosem coś o głupcach wybierających się w nocy na przechadzkę.

\*

W redakcji Today w Nowym Jorku Dena Gaines przeglądała właśnie poranną pocztę — kilkanaście zaproszeń na przyjęcia z okazji, najnowsze propozycje na spędzanie wolnego czasu,

niewiarygodne doniesienia o rewolucji w modzie męskiej, która pociągnie za sobą odrodzenie wąskich krawatów, oraz darmowa próbka elektrycznie podgrzewanych kalesonów, kiedy zadzwonił telefon.

— Słucham, Trendy.

— To biuro pani Smith, chciałabym rozmawiać z panem Maynardem — odezwała się sekretarka Devon.

— Nie ma go w tej chwili. Czy mogłaby pani zostawić wiadomość?

— Proszę chwileczkę zaczekać.

Chwilę później Dena usłyszała na linii głos Devon:

— Gdzie on jest?

— On jest... nie ma go w biurze — powiedziała ostrożnie Dena. — Co mam mu przekazać?

— Gdzie on jest? Czy pani wie?

— Nie, naprawdę nie wiem.

— Panno Gaines, kilka minut temu dzwoniło ze szkoły. Mojego syna tam nie ma!

— Tak, rozumiem. — Drugi telefon na biurku Deny zaczął dzwonić.

— Chciałabym rozmawiać z szefem Blaira.

— Bardzo proszę. — Dena połączyła Devon z biurem Hillera i podniosła słuchawkę drugiego telefonu: — Słucham, Trendy.

— Proszę pana Maynarda. Dzwoni Michael Florio.

— Nie ma go w tej chwili w biurze. Czy może pan zostawić wiadomość?

— Nie wie pani, gdzie mógłbym go zastać?

— Nie, proszę pana. Sama chciałabym wiedzieć.

— Ja myślę, że wiem.

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Jestem ze Straży Wybrzeża. Rozmawiałem z nim w czasie weekendu...

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Florio, połączę pana z szefem pana Maynarda.

Wiem, że chciałby z panem porozmawiać.

Dena przełączyła Floria, odłożyła słuchawkę i wyszła z pokoju.

Hiller ciągle jeszcze rozmawiał z Devon. Światelko w drugim telefonie było zapalone, wskazując, że Florio wciąż jeszcze czeka na połączenie. Dena usiadła na krześle naprzeciwko biurka Hillera.

— Nie, pani Smith, jeszcze nie. On prawdopodobnie wkrótce się zjawi. Może wystąpiły jakieś komplikacje ze strony Waszyngtonu... Nie wiem na pewno. Rozmawiałem z nim w zeszłym tygodniu... Rozumiem, ale jednodniowa nieobecność w szkole to jeszcze nie koniec świata... Tak, jak tylko będę miał jakieś wieści. Obiecuję.

Hiller odłożył słuchawkę i powiedział do Deny:

— Troskliwa matka. Co ona sobie wyobraża? Dziecko opuszcza pół dnia w szkole i z tego powodu ja mam postawić na nogi całą marynarkę!

— Właśnie masz ją na drugiej linii. — Dena uśmiechnęła się.

— Co? — Hiller wcisnął świecący guzik, powiedział swoje nazwisko i przez kilka sekund słuchał Floria.

— I myśli pan, że właśnie tam pojechał? — zapytał Hiller. — Nie, ja go nie wysyłałem... Tak, pracuje dla mnie i interesował się tą sprawą, ale ja chciałem, żeby załatwiał wszystko przez nasze biuro. Za to im płacą... On jest dużym chłopcem, komendancie... Wiem, ale to, że ma ze sobą dziecko, powinno uczynić go ostrożniejszym... Chyba pan żartuje! Ja nie jestem ze Straży Wybrzeża. To pan

jest ze Straży Wybrzeża! Nie mam łodzi, którą mógłbym wysłać, nawet gdybym chciał i nie mam żadnego powodu, żeby chcieć... Niech pan posłucha, komendancie... Cztery lata temu mieliśmy tu redaktora od sportu, który nie zjawił się w pracy. Znaleźliśmy u niego kartkę papieru, na której było napisane: „Wychodzę drzwiami, zanim będę musiał wyjść przez okno”. Jego żona nie wiedziała, gdzie on jest; dzieciaki też; nikt nic nie wiedział. Straciliśmy sześć miesięcy i Bóg wie ile pieniędzy, próbując go znaleźć, i nie udało się. Jeśli dobrze rozumiem, Maynard napalił się na życie tubylców i... Co to ma znaczyć? Pracuje dla mnie, ale na tym koniec. Nie jest moim bratem, dzięki Bogu. Taak, w porządku... wszelkimi środkami... bardzo proszę.

Hiller odłożył słuchawkę i krzyknął:

— Chryste Panie! — Nerwowo zaczął przerzucać stertę gazet na biurku.

— Gdzie on jest? — zapytała Dena.

— Ten facet ze Straży Wybrzeża sądzi, że on jest w jakimś kraju, który nazywa się Turks i coś tam. Mnie Maynard mówił, że jedzie do Waszyngtonu. Co się z nim dzieje? Powiedziałem mu, żeby nie jechał. Powiedziałem, że powinien zostać i zająć się swoją pracą. Ale to dla niego za mało. Cierpi na kompleks Człowieka z La Manchy. Cóż, niech lepiej wróci i zabierze się do pracy, albo nie będzie miał pracy.

Hiller pogrzebał w papierach na biurku i wyciągnął teczkę wycinków.

— Chcesz coś o łodziach? — przesunął ją w stronę Dena. — To jest dobry temat!

— Co to jest?

— Brendan Trask odchodzi. Powiedział, że ma zamiar wyjechać i przez rok żeglować dookoła świata. To jest temat! Człowiek, który praktycznie stworzył dziennik telewizyjny, odwraca się plecami do wieku elektroniki i ogłasza powrót do natury. Cóż za nauka dla społeczeństwa!

— Założę się, że chce tylko dostać podwyżkę.

— To nie w jego stylu. Przeczytaj sama. Kazali mu zapowiadać reklamy. Powiedział, że zrywa kontrakt. Nalegali, ale on spłynął. Już wyjechał.

Dena nie była zainteresowana dalszą dyskusją na ten temat.

— Mówiłeś, że mamy jeszcze trzy wolne kolumny. Jak zdołamy dzisiaj przygotować cały skład do druku?

— Będziesz musiała mi pomóc.

— Nie jestem redaktorką — odparła Dena słodko — tylko współpracownikiem.

— Jeśli pomożesz mi zamknąć to wydanie, to pomyślę, co mógłbym dla ciebie zrobić.

— Dobrze. — Dena uśmiechnęła się. — Myślę, że potrafię napisać artykuł o tym facecie. —

Wstała.

— Świetnie — Hiller zawahał się. — Właściwie to jedno stanowisko redakcyjne jest już wolne.

— Jakie?

— Redaktora Trendów.

— Jeszcze nie jest wolne — zaprzeczyła Dena. — Maynard pewnie zjawi się po lunchu.

Już od ponad godziny łowili na błyszczkę, płynąc wolniutko po zielononiebieskiej powierzchni wody, tuż poza granicą raf. Nic nie złowili, ryba nie brała i Justin był znudzony. Usiadł pod zadaszeniem na śródokręciu siedmiometrowej łodzi typu Mąko i oparł wędkę o okrężnicę.

Maynard stał przy sterze.

— Tutaj jest za płytko — powiedział. Przyjrzał się małej mapce przymocowanej do drewnianej konsoli. — Według mapy, jeśli opłyniemy to miejsce, powinniśmy znaleźć się na głębokiej wodzie. Tam dopiero żyją prawdziwe potwory! Co ty na to, kolego?

— Jak chcesz — odpowiedział Justin, znudzony.

— Głowa do góry! — Maynard uśmiechnął się. — Łowienie nie byłoby żadną frajdą, gdybyś co pięć minut wyciągał rybę.

— No dobrze. — Justin nawinął linkę na kołowrotek. — Ale raz na godzinę to chyba nie byłoby zbyt wiele.

Maynard położył swoją wędkę na pokładzie i pchnął dźwignię. Zatkany silnik zawahał się, kaszlnął, wyrzucił chmurę czarnego dymu, wreszcie oczyścił się i zaczął pracować. Dziób podniósł się na moment, opadł z powrotem i łódź ruszyła, prując powierzchnię spokojnej wody.

Bryza i przyptyw starły się w jednym miejscu i woda kotłowała się białą pianą. Na zachód stąd ciągnęła się linia raf. Na lewo, Wewnątrz rafy, woda była zielonkawobiała, nakrapiana brązem koralu. Uskok, kończący rafę, był stromy, a woda jednolicie stalowa. Kiedy wypłynęli na spokojną wodę, Maynard zwolnił i wystawił za burtę obie wędki. Spojrzał na zegarek, włączył radio i powiedział do mikrofonu: — Pismak do Reliktu... Pismak do Reliktu... odbiór.

— Gdzie jesteście? — odezwał się głos Windsora. — Nie widzę was.

Maynard zerknął na mapę. — Zdaje się, że przy Mangrowej Przełęczy. Nie wiem, skąd ta nazwa. Tutaj niczego nie ma, ani na lądzie, ani na morzu.

— To dosyć daleko. Zawróć i wracaj tą samą drogą.

— Nie ma się czym martwić. To mi wygląda na koniec świata.

— Nie o to chodzi. Radio nie ma dużego zasięgu. Jeśli wysiądzie ci silnik...

— Nie ma problemu. Połączę się z tobą później. — Maynard odłożył mikrofon i wyłączył radio.

Płynęli dalej na zachód, łowiąc na głębokiej wodzie. O pół mili na południowy zachód widać było samotny ląd, srebrzystą powierzchnię białego piasku, porośniętą szarozielonymi krzewami, migocącą w blasku słońca.

— Na pomoc! — wrzasnął Justin.

Ryba połknęła przynętę. Koniec wędki zaklinował mu się między nogami, drugi, szarpany gwałtownie, uderzał o pawęż.

— Trzymaj koniec w górze! — Maynard ustawił silnik na wolne obroty. — Nie możesz dać jej ani trochę luzu!

— Nie utrzymam jej!

— Utrzymasz! — Maynard wyciągnął rękę, żeby pomóc Justinowi, ale zaraz ją cofnął. — Odchyl wędkę do tyłu, podnieś koniec do góry... tak, dobrze... teraz prowadź ją i nawijaj!

— Popatrz!

Ryba wyskoczyła na moment ponad powierzchnię wody — wijący się, srebrny kształt, błyszczący w słońcu.

— Zwijaj!

— Palce mi zdrętwiały!

— To odpocznij... ale trzymaj wędkę w górze.

Opierając się o okrężnicę, Justin trzymał wędkę pionowo lewą ręką i gimnastykował palce prawej.

— Co to jest?

— Barrakuda. Będzie miała z siedem, a może i dziesięć kilogramów!

Wędka naprężyła się i Justin zatoczył się do przodu. Ryba ruszyła, rozwijając linkę z kołowrotka.

— Pozwól jej odpłynąć — powiedział Maynard — a kiedy zawróci, nawijaj jak wściekły.

Justin siłował się z wędką. Zesztywniałe palce ześlizgiwały mu się z kołowrotka.

— Teraz ty potrzyмай!

— Nic z tego! To twoja ryba. Na razie idzie ci świetnie. Tylko nie dawaj jej luzu.

— Nie mogę!

— Owszem, możesz!

— Ona mi ucieknie.

— Być może.

Koniec wędki trzasnął. Lina poluzowała się.

— Mówiłem, że tak będzie — stwierdził Justin.

— Rany boskie, nawijaj! Jeszcze nic straconego.

Justin nawijał zapamiętałe i lina znowu się napięła. Maynard wychylił się za rufę.

— Już pod pływa do łodzi. Spokojnie... spokojnie. — Przypon wynurzył się z wody. Maynard złapał za niego i przerzucił rybę ponad pawężą na pokład. — No proszę, mamy tutaj piękny kawałek ryby! — Odwrócił się do Justina. — To twoja zdobycz!

— Zobacz, jakie ma zęby! — Justin był rozradowany.

Na półce pod sterem Maynard znalazł kombinerki i wyciągnął haczyk z pyska barrakudy.

— Justin, twoja ryba! — powtórzył.

— Czy możemy ją wypchać?

— Chcesz ją podarować nauczycielowi gry na pianinie?

— Nie, mamie. Inaczej mi nie uwierzy.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Maynard skręcił na wschód, wrócił na poprzednią pozycję i skręcił na zachód. Podążali za stadem żerujących ptaków morskich, ale większe ryby, które zmuszały małe do wypływania na powierzchnię, interesowały się stalowymi błyskami ciągniętymi za łodzią. Stado morświnów kołysało się na fali dziobowej. Mały rekin wygrzewał się na powierzchni wody do momentu, gdy ostrzeżony przez dźwięk zbliżającej się łodzi, zamiótł wodę płetwą ogonową i zniknął.

O pierwszej Maynard wywołał Windsora przez radio. Zrelacjonował połów Justina i obiecał wrócić najdalej za godzinę.

— Jestem głodny — stwierdził Justin.

— Ja też.

— I pić mi się chce.

— Wystarczy na dzisiaj. Wracamy. Może telefon jest już naprawiony.

Podczas gdy Justin wciągał na pokład wędki, Maynard rozglądał się po wodzie. Dostrzegł coś z przodu, na zachodzie: mały, brązowy przedmiot, unoszący się na falach. Upewnił się, że wędki są



zabezpieczone, włączył silnik i skierował się w tamtą stronę.

— Myślałem, że wracamy — powiedział Justin.

— Wracamy. Za minutę. — Maynard wskazał przedmiot ręką.

— Co to jest?

— Nie wiem. Może żółw albo rekin. Sprawdzimy.

— Po co?

— Tak po prostu... — Maynard uśmiechnął się. — Na Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy możesz przeżyć całe dni i tygodnie i nie zobaczyć ani jednego rekina. Przyznaj.

Przedmiot szybko przybrał wyraźny kształt.

— To łódka! — zawołał Justin.

— Wygląda bardziej jak kajak.

— Skąd się tu wzięła?

— Musiała przyplłynąć stamtąd... z West Caicos. — Maynard wskazał szarą bryłkę na zachodnim horyzoncie.

Łódź była wydrążonym pniem, zaostrzonym na końcach. Maynard okrążył ją powoli. Była pusta, za wyjątkiem jednego, ręcznie ostruganego wiosła.

— Spójrz! — Justin wyciągnął rękę. — Tam.

Maynard zmrużył oczy. Słońce stało wysoko na niebie, płaska powierzchnia wody tworzyła lustro.

— Co tam widzisz?

— Ktoś płynie.

— Ktoś? — Maynard był ciągle oślepiiony blaskiem. — Założę się, że to kawałek drewna.

— Kawałek drewna nie machałby ręką.

Maynard przykucnął obok Justina pod zadaszeniem i osłonił oczy. Zobaczył drobną sylwetkę, poruszającą ręką.

— Niech mnie diabli. Musiała wypaść za burtę.

Była to młoda dziewczyna, ubrana w pomarańczową kamizelkę ratunkową. Machała ręką, ale w sposób, który wydawał się Maynardowi dość osobliwy: nie było w nim strachu, ani desperacji. Jej ramię poruszało się tam i z powrotem tak regularnie, jak wskazówka metronomu. Poza tym nie wołała, nie płakała, nie wypowiedziała ani jednego słowa, nawet kiedy podpłynęli bliżej.

Maynard włączył wolne obroty i ustawił łódź burtą do dziewczyny.

— Nic ci nie jest?! — zawołał.

Nie odezwała się, tylko potrząsnęła głową. Wyłączył silnik, by nie uszkodzić jej śrubą. Kiedy podpłynęli do dziewczyny, uklęknął na rufie i wyciągał rękę, żeby ją złapać.

— Dobrze, że tędy przepływaliśmy. Mogłabyś tak pływać przez tydzień i nikogo nie spotkać. — Jego palce dotknęły przegubu jej ręki. Miała jasną skórę, była blondynką i jak się domyślał, nie miała więcej niż dwanaście lub trzynaście lat. — Jak się tutaj znalazłaś?

Złapał ją za przegub, oparł się o pawęż i pociągnął. Coś było nie tak: dziewczyna była stanowczo za ciężka, a w jej oczach odbijała się panika i zastraszenie.

— Co...?

Nagle dziewczyna została pociągnięta w dół, wyrwana z uścisku Maynarda. Z tyłu, za jej głową zobaczył gumową tubę wystającą zza kamizelki.

Woda zakotłowała się, chlapnęła mu w twarz. Upadł na plecy, tuż obok zagłębiła się w pokład siekiera.

Maynard cofnął się z rufy i zerwał na nogi. Dziewczyna zniknęła, teraz na pokładzie łodzi kuczał

mężczyzna, dysząc i wypluwając wodę z ust i nosa. Długie włosy oblepiały mu głowę i ramiona. Z brody sterczały kawałki wodorostów. Jego koszula była podarta i poplamiona, a spodnie całe w strzępach. Stopy miał owinięte nie wyprawioną zwierzęcą skórą, która była przymocowana do nóg surowymi rzemykami. Brakowało mu zębów.

Trzymając siekiereę ponad głową, nie spuszczaćc oczu z Maynarda, mężczyzna wychylił się za burtę i wciągnął na pokład ciemnoskórego, szczupłego, czarnookiego chłopca. Mężczyzna podał chłopcu siekiereę.

— Teraz, mały — wskazał palcem na Maynarda — załatw go!

— Justin?! — Maynard błyskawicznie rozejrzał się dookoła. Justin siedział skulony za sterem. — Zostań tam!

Chłopiec niezgrabnie wziął siekiereę.

— Załatw go, mówię! — krzyknął mężczyzna.

Chłopiec nie poruszył się.

Mężczyzna wyjął z za paska wąski sztylet. Szturchnął nim chłopca tuż za uchem, kalecząc go.

— Ty portugalski bękarcie! Rób, czego cię uczono!

Maynard włożył rękę za koszulę i wyciągnął pistolet. Załadował i wycelował w mężczyznę.

— Rzuć to! — Pistolet drżał mu w rękach. Jeszcze nigdy dotąd nie mierzył z naładowanej broni do ludzkiej istoty. Jego wychowanie, praktyka i doświadczenie wpoily mu, żeby unikać celowania do żywych stworzeń. Jeśli wymierzasz pistolet w innego człowieka, mawiał jego ojciec, to znaczy, że chcesz jego śmierci.

Przytrzymał waltera obiema rękami, starając się opanować drzenie.

Mężczyzna skulił się, kołysząc się z boku na bok jak kobra i przekładając nóż z ręki do ręki.

Maynard starał się wycelować tak, by mieć na muszce otwarte usta mężczyzny.

Mężczyzna krzyknął i skoczył, a Maynard strzelił mu w twarz.

Kula była zbyt mała i zbyt szybka, żeby od razu powalić mężczyznę, więc mimo że zginął na miejscu (kula wyszła przez lewe oko i wyszła tuż za prawym uchem), zrobił jeszcze parę kroków. Jego ciało uderzyło o okrężnicę i zważyło się na pokład u stóp Maynarda.

Maynard był porażony. Wpatrywał się w odwróconą twarz, w jedno martwe oko i sączący się oczodół drugiego. Kilka sekund temu był to człowiek. Teraz to tylko padlina. Tę przemianę spowodował jeden ruch palca, przesunięcie go o trzy milimetry.

— Tato! — krzyknął Justin.

Zanim ostrzeżenie, przez zamęt w jego umyśle, dotarło do świadomości Maynarda, ciemnoskóry chłopiec wskoczył na niego jak gibbon, nogi owinięły się Maynardowi dookoła pasa, jedna ręka wbiła się paznokciami w twarz, druga dziko wymachiwała siekiereę, a zęby kasały twarz i szyję.

Maynard nic nie widział. Próbował zrzucić z siebie chłopca, ale jego silne kończyny były jak macki: kiedy tylko zdołał uwolnić się od jednej, natychmiast druga zaczynała drapać, kopać i kaleczyć. Pistolet wypadł Maynardowi z ręki.

Zatoczył się do tyłu, sięgnął ręką i chwycił chłopaka za włosy, ale zanim zdołał szarpnąć, mały odwrócił głowę i przegryzł mu palce aż do kości. Siekiera raz po raz spadała Maynardowi na plecy, zadając krótkie ciosy rozdzierające ciało. Paznokcie chłopca wbiły się w oczy, usiłując wyrwać gałki oczne. Maynard powstrzymał jedną rękę, potem drugą, wtedy poczuł zęby odgryzające mu kawałek policzka. Puścił rękę i rąbnął chłopaka pięścią w usta, a w tym czasie uwolniona ręka napastnika wbiła mu wskazujący palec głęboko do ucha.

Umysł Maynarda krzyczał: za burtę! Skacz do wody, a wtedy on będzie musiał cię puścić. Jak

ślepiec, potykając się zrobił parę kroków, wziął głęboki wdech i rzucił się naprzód.

Usłyszał dziwny, jednak mgliście znajomy dźwięk, gwałtowny huk, coś jak wtedy, gdy autobus, którym jechał do szkoły, wpadł w poślizg i uderzył w drzewo. Dźwięk przeszedł w szum, a on był na przyjęciu pożegnalnym kogoś z Today. Dlaczego tak szumi na tym przyjęciu? Ktoś próbował coś do niego powiedzieć, ale szum zagłuszał dźwięk głosu. Potem przyjęcie odbywało się na dworze, zimą, i Maynard był okropnie zmarznięty.

W końcu szum ustał i nie było już nic.

Chłopiec wyczołgał się spod Maynarda i zostawił go na pokładzie, z głową w kałuży krwi i oleju pod silnikiem. Ze stalowej klamry silnika, o którą uderzyła głowa Maynarda, zwisał pęk włosów z kawałkiem skóry. Chłopiec wychylił się przez rufę i pomógł dziewczynie wejść na pokład. Dygotała z zimna od długiego przebywania w wodzie. Sięgnęła ręką za głowę, żeby wyjąć gumową tubę z ubrania, ale nie mogła jej uchwycić. Chłopiec włożył jej rękę pod ubranie i wyciągnął tubę dołem. Miała kształt odwróconej litery Y. Pod wodą chłopiec i mężczyzna trzymali się nóg dziewczyny, oddychając przez ramiona tuby.

Justin stał obok konsoli przy sterze i patrzył na ciało swojego ojca. Krew z rany w głowie Maynarda spływała po szyi na podłogę, mieszając się z olejem i wodą, a następnie wyciekała przez otwór w rufie. Justin chciał podbiec do ojca, opatrzyć mu rany i błagać, by się ocknął. Pragnął, żeby ojciec usiadł, uśmiechnął się i powiedział, że to był tylko żart. Trząśnięty całym i szczekał zębami, chociaż wcale nie było mu zimno.

Radio leżało na konsoli, tuż przy jego prawej ręce. Przesunął rękę kilka centymetrów w lewo, włączył radio i wyjął mikrofon. Przykucnął i wcisnął guzik: „Nadawanie” w mikrofonie.

— Pomocy! — wyszeptał. — Pomocy! Oni zabili mojego tatę! — Spojrzał w górę akurat w chwili, gdy pięść ciemnoskórego chłopca brała szeroki zamach. Próbował zrobić unik, ale pięść trafiła go za uchem i Justin rozłożył się jak długi na pokładzie.

— Nikt ci teraz nie pomoże — odezwał się chłopiec. — Już nigdy nikt ci nie pomoże. Jesteś zdany sam na siebie, skurwysynu.

Chłopiec złapał dyndający mikrofon.

— Hej, Mary, zaśpiewamy im piosenkę.

\*

Windsor stał przy kuchennym blacie i słuchał radia. Odbiór był słaby i niewyraźny, ale on nie miał żadnych trudności ze zrozumieniem słów. Słyszał dwa głosy, oba wysokie, młode i bardzo wesołe. Śpiewały:

*Już drze z kompana ostatni grosz,  
Już mnich i ksiądz w kałuży krwi,  
Już nad gardziółkiem sztyletu świst,  
Krwawy pirat ze świata drwi.*

Windsor nie czekał na wybuch śmiechu, który miał za chwilę nastąpić. Wyłączył radio i powiedział ze smutkiem:

— Niech cię prowadzi dobry wiatr, przyjacielu.

Dlaczego oni go ciągną? Mówił przecież, że nie ma ochoty tańczyć, ale oni nie chcieli słuchać. Teraz siłą przewrócili go na podłogę, wlekli za nogi i ręce. Kaleczyli go, ale nic ich to nie obchodziło. Im bardziej go bolało, tym większą mieli uciechę. Żeby tak dali mu coś do picia! Jest taki spragniony! Tylko łyczek. Potem spróbuje zatańczyć. Obiecuje.

Tancerze zniknęli, sen zblaknął i został już tylko ból — ostry, pulsujący ból w głowie i co gorsza wrażenie, że jego nogi i ręce są powyłamywane ze stawów.

Otworzył oczy i zobaczył niebo. Leżał na plecach, ale nie czuł nic pod sobą, tylko straszliwy ból w ramionach i biodrach. Uniósł głowę, dotknął brodą klatki piersiowej i zobaczył stopy, podwieszane linami za kostki do dwóch drewnianych słupów. Głowa opadła mu do tyłu, poszukał wzrokiem swoich rąk; wisały na linach, przywiązane do dwóch innych słupów. Wszystkie liny prowadziły do obręczy ze szprychami.

Był na kole tortur.

Odwrócił głowę najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Był na małej, piaszczystej polanie, otoczonej krzewami. Sam.

Usłyszał muzykę z radia, orkiestra i chór wykonywały hymn: *Jego miłość jest potężniejsza niż jaśniejące morze, potężniejsza niż ty i ja, potężniejsza niż moc ziemskiej miłości i On jest zawsze razem z tobą, niczym ręka w rękawiczce.*

Hymn się skończył. Jakiś głos zaczął mówić:

— A teraz, towarzyszu... — Głos ucichł i drugi, bliższy, żywy, zaintonował: — Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga i nie dotknie ich żadna męka. Właśnie nasz towarzysz, Roche Sansdents, człowiek sprawiedliwy i prawy, odszedł na łono Boga. Wszyscy mamy tylko jedno życie i jedną śmierć. Kiedy ujrzemy go znowu? Któż może policzyć wszystkie ziarenka piasku, krople deszczu i dni

wieczności?

Rozległ się ponury pomruk:

— Amen.

Inny, dźwięczny głos przemówił:

— Goody Sansdents, zgodnie z Paktem jesteś dziedziczką dóbr Rochego i przechodzą one wszystkie na ciebie. Podobnie zgodnie z Paktem, otrzymasz żywność ze wspólnych zapasów, stroje i ozdoby wedle swoich potrzeb, oraz dziesiątą część najlepszego z następnych łupów. Podobnie zgodnie z Paktem masz wydać wyrok na tego, który sprawił, że Roche opuścił ten świat.

Kobieta zawodziła gwałtownym, mściwym krzykiem.

Maynard napiął mięśnie brzucha i wstrzymał oddech, przygotowując się na ból, wygiął plecy w łuk i wyrzucił ramiona w górę, mając nadzieję, że liny poluzują się na tyle, że będzie mógł oswobodzić ręce. Nie udało mu się, opadł z powrotem na dół, a mięśnie ramion naciągnęły się do granic wytrzymałości. Krzyknął.

— Budzi się! — zawołał jakiś głos z tłumu zbliżającego się do polany.

— Tylko po to, żeby znowu zasnąć — powiedział drugi. — Ja tam wolałbym przespać całą drogę.

— Ale gdybyś obudził się po tamtej stronie, to nie wiedziałbyś, gdzie jesteś.

— Tak, ale kiedy nie śpisz, to musisz patrzeć śmierci w twarz, a mówią, że gębę ma straszną.

— Na pewno nie straszniejszą niż twoja baba.

Zatrzymali się na skraju polany.

Maynard wisiał na kole i patrzył na nich. Bał się, ale ból i zmieszanie częściowo przytłumiły strach. To było tak, jakby unosił się nad sobą, obserwując własne męczarnie.

Sami mężczyźni, wszyscy opaleni i brudni, w ubraniach poplamionych krwią i tłuszczem. Niektórzy nieśli kordy, inni siekiery, a każdy miał przynajmniej jeden nóż.

Kiedy krąg dookoła polany zappełnił się, mężczyźni ucichli. Rozstąpili się, przepuszczając troje ludzi, zmierzających w kierunku Maynarda.

Na przedzie szedł wysoki mężczyzna, szeroki w ramionach, wąski w pasie, w wieku około czterdziestu lat. Jego brązowe włosy były spłowiałe od słońca i rozdzielały się pośrodku głowy. Po obu stronach ust zwisały mu sztywne wąsy. Ubrany był w brudną, białą, płócienną koszulę z szerokimi rękawami i ręcznie szyte spodnie z nie wyprawionej skóry, które sięgały mu tuż za kolana. Jego węzłaste, zgrubiałe stopy, były bose. Klatkę piersiową przecinały mu na krzyż dwa skórzane pasy. Za każdy z nich zatknięty był pistolet skałkowy.

Tuż za przywódcą postępował starszy człowiek, którego siwiejące włosy związane były z tyłu głowy w warkoczyk. Miał na sobie szarą szatę, przepasaną szerokim, skórzanym pasem i wysokie gumowe buty.

Kilka kroków za nim sunęła postać, z wyglądu przypominająca kobietę. Twarz miała umazaną pyłem węglowym; wypomadowane włosy w strąkach. Ubrana była w czarny płaszcz, ciasno związany w pasie. Bez jednego mrugnięcia wpatrywała się w Maynarda wilgotnymi, dzikimi oczami.

Kobieta precyzyjnie się między mężczyznami, pochyliła nad Maynardem i plunęła mu w twarz. Jej oddech cuchnął rumem.

— Obudziłeś się? — Wysoki mężczyzna uśmiechnął się do Maynarda.

— Kim jesteś? — Głos Maynarda przypominał zgrzytliwe krakanie.

— Dajcie mu wody — powiedział starszy mężczyzna. — Nie wolno zabijać spragnionego.

Człowiek wtedy staje przed Bogiem nie mogąc uczynić wyznania wiary. Tak jest napisane.

Gdzieś z tyłu, czyjeś ręce sięgnęły ponad głowę Maynarda i ze zwierzęcego pęcherza trysnęła woda na jego twarz i usta. Zlizywał ją z warg i połykał, a te ruchy przeszywały bólem ścięgna jego ramion. Spojrzał na wysokiego mężczyznę i zapytał ponownie:

— Kim jesteś?

— Jean-David Nau. Dziesiąty w linii.

— Gdzie jest mój syn?

— Razem z innymi.

— Błagam — prosił Maynard — pozwólcie mu odejść. To jeszcze dziecko.

— Pozwólcie mu odejść! — roześmiał się Nau. — Rzeczywiście!

— Nie zabijajcie go! — Maynard czuł, że łzy cieką mu z oczu. — Zróbcie ze mną co chcecie, ale jego nie zabijajcie!

— Zabić go? — zdziwił się Nau. — Niby po co? Czy zabija się żołnierza, zanim dorośnie i będzie zdolny do walki? Czy zabija się pociągowe zwierzę, zanim dorośnie do ciągnięcia? Nie. Możliwe, że życie twego syna będzie krótkie, ale za to szczęśliwe, a jego koniec będzie taki, na jaki sobie zasłuży. — A ja?

— Ty? Ty umrzesz — obojętnie stwierdził Nau.

— Dlaczego?

— Tak każą nasze zwyczaje — odpowiedział starszy mężczyzna.

— Niech diabli porwą wasze zwyczaje! Powiedzcie mi, co mogę zrobić. Zrobię wszystko, nie chcę umierać. — Słyszając swój głos, zdziwił się, że brzmi tak spokojnie.

— Boisz się śmierci? — zdziwił się Nau. — Śmierć jest przygodą.

Spokój opuścił go tak samo szybko i niespodziewanie, jak się pojawił.

— Nie! — krzyknął Maynard.

— Co z ciebie za człowiek? Czyżbyś był tchórzem? Powinieneś przyjąć śmierć z godnością.

— Zatrzymaj godność dla siebie. Ja mam tylko jeden cel w życiu i tym celem jest żyć.

— Jak cię nazywają?

— Maynard.

— Maynard! Szlachetne nazwisko! Żołnierskie!

— Bzdura. To zwyczajne nazwisko. Kim jesteś?

— Już ci powiedziałem.

— Nie... Chcę wiedzieć, kim naprawdę jesteś. Czym jesteście?

Nau podniósł głos, żeby wszyscy mężczyźni stojący dookoła polany mogli go dobrze usłyszeć.

— Słuchajcie! Ten człowiek nazywa się Maynard. Czy jest ktoś wśród was, kto nie zna jego pochodzenia? — Mężczyźni mruzcili coś między sobą. — To właśnie jego przodek pokonał potężnego Teacha, zwanego Czarnobrodym.

Maynard nie protestował. Nie miał pojęcia o swoich przodkach, starszych niż pradziadkowie, ale jeśli ocalenie zależało od przyjęcia fałszywego rodowodu, gotów był potwierdzić swoje pochodzenie nawet od Jezusa Chrystusa czy Czyngis Chana.

— Twoja krew jest szlachetna — powiedział Nau. — Twoje serce też musi być takie.

— Czy wobec tego... — zapytał Maynard.

Nau podniósł rękę, żeby uciszyć Maynarda.

— Manuel!

Szczupły, ciemnoskóry chłopiec przybiegł na polanę.

— Przyrowadź chłopca.

— Tak jest, L'Ollonais.

Maynard zwrócił się do Nau:

— Jak on ciebie nazwał?

— L'Ollonais. Wszystkie dzieci są uczone, żeby tak mnie nazywać. Tak się nazywał mój ojciec i mój dziadek. I wszyscy przed nimi, aż do pierwszego, który założył tę osadę w czasach Karola II.

— To był psychopata! Zjadał ludzkie serca. — Maynard znał to imię.

— Tak. Nie cierpiał milczenia więźniów. — Nau uśmiechnął się dumnie.

— Indianie pokroili go na kawałki.

— Tak, i tak bardzo bali się, że te kawałki połączą się z powrotem i powrócą, żeby ich straszyć, że spalili wszystkie, a popiół rozrzučili na cztery wiatry. To był człowiek, który wiedział, jak umierać!

Szczupły chłopiec wrócił na polanę ciągnąc za sobą Justina jak na smyczy. Ręce Justina związane były za plecami.

Maynard odwrócił głowę. Spodziewał się, że Justin będzie oszalały ze strachu, tymczasem chłopiec był jakby odrętwiały, szklane oczy patrzyły bez wyrazu.

— Nic ci nie jest? — zapytał Maynard.

Justin nie odpowiedział.

— Hizzoner — Nau zwrócił się do starszego mężczyzny. — Powiedz mu.

Mężczyzna położył rękę na głowie Justina i przemówił:

— Jest czas życia i czas na śmierci. Ojciec umiera, a syn nosi jego imię. Człowiek może umrzeć, ale jego imię żyje dalej. Człowiek może umrzeć, ale jego uczynki nie przemijają. Będiesz świadkiem odejścia twego ojca, a kiedy się dokona, twoje imię będzie odbiciem świetnej przeszłości. Będiesz nazywał się Maynard Tue-Barbe. Nau podniósł rękę:

— Maynard Tue-Barbe!

— Tue-Barbe, Tue-Barbe, Tue-Barbe... — Rosnący śpiew stojących dookoła polany mężczyzn przeszedł w dopingujący krzyk.

Pod wpływem hałasu Justin ocknął się. Spojrzał na ojca, potem na Nau i powiedział błagalnie:

— Nie zabijajcie go... proszę.

— Cicho! — rozkazał Nau. Pochylił się, podniósł Justina i wziął go na ramiona.

— Nie jest jeszcze mężczyzną — stwierdził Hizzoner.

— Wkrótce będzie. — Nau zwrócił się do kobiety: — Goody Sandents, powiedz, jak mamy to zrobić?

— Ja nie chcę umierać! — krzyknął Maynard.

Podniósł głowę i zobaczył swojego syna na ramionach wysokiego mężczyzny. Justin patrzył na niebo i łkał cicho.

— Udusić go! — wrzasnęła dziko kobieta.

— Nieee! — roześmiał się Nau. — Nie będę dusił szlachetnego człowieka.

— Wobec tego sama go uduszę. Dajcie mi rzemień. A w nagrodę zjem jego oczy, kiedy wyjdą mu na wierzch.

— Powiedziałem już, że nie będzie uduszony. Nie może stanąć twarzą w twarz ze śmiercią nie mając oczu. Musi zobaczyć swoje przeznaczenie. Rozpalmy ognisko na jego brzuchu i sprawdźmy, jaki z niego mężczyzna.

— On wydarł oko Rochemu! — protestowała kobieta.

— Tak, ale Roche nie miał w sobie dobrej krwi. Mieszanina Portugalca z Mulatem.

— Jeśli jest taki szlachetny, pozwólcie mi go zatrzymać. Będzie mi służył.

— Od tego są sodomici. Możesz sobie wybrać, którego chcesz.

— Sodomici! — Kobieta splunęła na piasek. — On może mi dać to, czego nie mógł dać mi Roche: syna szlachetnej krwi.

— On musi umrzeć. — Nau popatrzył na Hizzonera, oczekując potwierdzenia.

— Takie są nasze zwyczaje. — Hizzoner skinął głową.

Kobieta wyrwała sztylet zza pasa Nau, przemknęła się za nim i stanęła obok Maynarda trzymając nóż nad jego pachwiną.

— Pakt mówi, że wyrok należy do mnie. Ja już postanowiłam. — Ręka kobiety opadła na dół.

Maynard zamknął oczy w oczekiwaniu na trudny do wyobrażenia ból.

Jednym ruchem kobieta rozcięła kąpielówki Maynarda od pasa do krocza. Złapała jego genitalia.

— Oto, czego chcę! — Rzuciła Nau i Hizzonerowi wyzywające spojrzenie. — Urodzę potomka, o którym będą śpiewać pieśni. Takie jest moje prawo.

Na polanie zaległa cisza.

Maynard czuł swój puls w bębenkach usznych. Ból ustawał i narastał falami. Widział rękę kobiety między swoimi nogami, lecz nie czuł jej mocnego uścisku. Ogień w ramionach i biodrach tłumiał wszystko.

Hizzoner odezwał się pierwszy.

— Zgodnie z Paktem, takie jest jej prawo.

— Ale nasze zwyczaje... — zaczął Nau.

— Zwyczaje to obyczaje, a Pakt to prawo. Pakt mówi, że ona decyduje.

— Ale Pakt stanowi...

— ...nie stanowi, że śmierć musi nastąpić.

Nau nie był zadowolony. Jedną ręką zdjął Justina z ramion i rzucił go na piasek. Zwrócił się do kobiety:

— Będzie żył do dnia, w którym stwierdzisz, że nosisz w sobie dziecko. Jest częścią twojego dobytku. Jeśli popełni choć jedno wykroczenie, to kara spadnie na ciebie. Tymi rękami — przysunął pięści do jej twarzy — wyrwę łono z twego ciała i wrzucę do morza.

— Jeśli to wykona złą robotę, to sama wrzucę to do morza. — Ośmielona rumem i zwycięstwem, kobieta potrząsnęła genitaliami Maynarda. Roześmiała się i fala śmiechu okrążyła polanę.

— Więc nie umrzesz jeszcze — powiedział Nau do Maynarda. — Czym się dotąd zajmowałaś?

— Pisałem.

— A, skryba? Możesz się więc nam przydać podwójnie. Nie było tu żadnego pisarza od czasów Esqumelina.

— Esqumelina? Wiesz o Esqumelingu?

Hizzoner przerwał i powiedział, kiwając ostrzegawczo palcem przed nosem Maynarda:

— Musisz pamiętać, że ta kobieta ma nad tobą władzę. Oddaj sprawiedliwość wdowie. *Ezdrasz, 2;20.*

— Odetnijcie go — rozkazał Nau i odwrócił się do odejścia.

Justin nie poszedł za nim. Został przy ojcu i czekał, aż dwóch mężczyzn przecięło więzy i opuściło Maynarda na piasek. Stojący na skraju polany Nau zawołał:

— Chodź, chłopcze! On już nie jest twoim ojcem. Od tej pory jest tylko sługą więdmy.

Półprzytomny Maynard dostrzegł wahanie Justina i poczuł jego rozdarcie.

— Idź! — wyszeptał. — Rób wszystko, co ci każą. Chcę, żebyś żył. — Opierał się mgłę zasnuwającej mu oczy do chwili, gdy stwierdził, że Justin posłuchał. Potem zemdlał.

\*

Nie wiedział, jak długo spał. Sen miał niespokojny, pełen przerażających w swoim realizmie rojeń o okaleczeniu.

Raz było mu gorąco, ktoś zanurzał jego twarz w jakimś płynie, w nozdrzach czuł piekący zapach octu; potem znów było mu zimno i czuł, jak szorstka tkanina drapie jego pocieraną skórę.

Obudził się w nocy, leżąc nagi na plecach na macie utkanej z trawy. Znajdował się w skleconym z mułu i trawy kopulastym szałasie, o powierzchni kilku metrów. Kiedy spróbował się poruszyć, poczuł, że coś go krępuje i stwierdził, że jego ramiona i nogi pokrywają okłady z roślin. Ból nieco zelżał.

Obok niego, na brudnej podłodze, ze skrzyżowanymi nogami, siedziała kobieta i mieszała coś w misce. Czarny płaszcz zmieniła na szare ponczo, zmyła miał węglowy z twarzy i obcięła wypomadowane kłaki. Na głowie miała teraz mech długich na trzy centymetry, miękkich, jasnobrązowych włosów. Maynard nie potrafił określić jej wieku. Jej kwadratowa twarz była pomarszczona i popękana od soli i słońca. Palce poruszały się sztywno, artretycznie i były opuchnięte w stawach. Jednak w wilgotnym klimacie artretyzm często zdarza się nawet bardzo młodym ludziom. Jej piersi, wnioskując tylko z ich zarysu pod ponczem, były duże i kształtne, a nogi szczupłe. Biorąc pod uwagę, że klimat i prymitywny tryb życia mogły postarzyć ją przedwcześnie, ocenił jej wiek na



trzydzieści, względnie trzydzieści pięć lat.

Światło w szalasię pochodziło z obciągniętej gumą latarki, wetkniętej między dwie cegły na podłodze.

Maynard wskazał ręką latarkę i zapytał.

— Skąd ją masz?

— Z łupu. Roche wziął. To była duża zdobycz. Dwie pełne skrzynki repelentu. Brzoskwinie.

Orzechy też. No i rum! Roche przez tydzień był nabuzowany. Wszyscy byli.

— A co będzie, jak skończą się baterie?

— Skończą się i już. Jak wszystko. Będą następne. — Podała mu posiłek. — Jedz!

Był to płat ryby, surowy, słony i suchy, ale wciąż jeszcze pachnący mułem.

— Nie gotujesz jedzenia?

— Chyba jesteś szalony. Myślisz, że chcę stracić język?

— Nie rozumiem.

— Ogień jest niebezpieczny. Za rozpalenie ogniska w dzień dostaje się chłostę. Za ogień w nocy obcinają język.

— Dlaczego ogień jest niebezpieczny?

— Jesteś tak samo głupi, jak i tchórzliwy. Oni mogliby nas zobaczyć.

— Jacy oni?

— Oni — stwierdziła. — Inni.

Maynard podniósł do ust kawałek ryby. Wstrzymał oddech i spróbował go przeżuć. Smakowało jak guma oblepiona piaskiem. Nie mógł przełknąć. Wyjął rybę z ust i rzucił na ziemię.

— Nie jestem bardzo głodny.

— Tak myślałam — powiedziała. — Zaraz coś z tym zrobię.

Maynard położył się na plecy i poruszył kończynami. Ból ustawał. — Co to jest? — Pomacał jeden z okładów.

— Tawuła. — Nalała coś z glinianego dzbanka do miski i mieszała dalej.

Tawuła, pomyślał Maynard. Gdzie też o niej czytał? Morison, Ernie Bradford, Homer? Nie, żaden z nich, ale Homer poruszył jego pamięć. Tawuła była krzewem, którego kory starożytni Grecy używali jako środka uśmierzającego ból. W dzisiejszych czasach jej ekstrakt był znany pod nazwą kwasu salicylowego. Aspiryna. Ale gdzie on o tym czytał?

— Czy to jest... jakaś sekta religijna? — zapytał z ostrożną obojętnością.

— Co?

— Czy jesteście... no wiesz... wyznawcami jakiegoś kultu?

— Co?

— Czym, u diabła, jest to miejsce? — Maynard porzucił ostrożność.

— Ciągłe jeszcze majaczysz z bólu.

— Kim są ci ludzie?

— To miejsce jest naszym domem — powiedziała jak do małego dziecka. — Ci ludzie są moimi ludźmi.

— Jak długo tu jesteście?

— Zawsze.

Zajrzał jej w oczy, podejrzewając kłamstwo lub żart. Uśmiechnęła się do niego, niczego nie ukrywając.

— Tutaj się urodziłaś?

Zawahala się, wyraźnie niepewna.

— Zawsze tutaj byłam.

— Ile masz lat?

— Byłam kobietą sto razy — powiedziała. — Świętowaliśmy to.

— Co masz...? — przerwał. Może miała na myśli cykle miesięczkowe? Sto okresów, sto miesięcy. Powiedzmy, że pierwszą miesięczkę miała mając dwanaście lat. Teraz więc mogła mieć koło dwudziestu. — Nie masz dzieci?

— Miałam dwoje, ale zostały zabite.

— Dlaczego?

— Nie były zdrowe. To było widać. — Przestała mieszać i postawiła miskę na ziemi. — Roche mi je zrobił, ale on był zarażony. — Splunęła. — Świnia. — Sięgnęła po coś za plecami, w ciemności. Wyjęła cynową, wysoką na trzydzieści centymetrów puszkę, z drewnianym tłokiem na końcu. — Ty jesteś moją ostatnią szansą.

— Na dziecko?

— Na dobre dziecko.

— A jeśli nie?

Dopasowała końcówkę wylotową i przykręciła z drugiej strony puszki.

— Przeszanę być kobietą. Dołączę do wspólnoty.

— Jakiej? Zakonnic?

— Zakonnic! — roześmiała się. — prostytutek.

— Zmuszą cię, żebyś została prostytutką?

— Nie ma żadnego zmuszania. Taki jest zwyczaj. — Zanurzyła wylot w misce i wyciągnęła tłok, zasysając tłusty płyn do puszki. — Odwróć się. Na kolana.

Maynard nie drgnął.

— Odwróć się!

— Co ty chcesz zrobić?

— Nie jesteś zdrowy. Nie będziesz jadł. Masz w sobie trucizny. — potrząsnęła puszką. — To cię oczyści.

— Chcesz mi to wlać... O nie, dziękuję bardzo. — Maynard przesunął się do tyłu, pod ścianę szafasu.

— Potrzebujesz czegoś przeczyszczającego.

— Nie wsadzisz tego... — W ciemności nie spostrzegł nawet, kiedy znalazła się na nim. Jej kościste kolana ugniatały mu mostek. Przystawiła mu nóż pod brodę i zmusiła, by odchylił głowę do tyłu.

— Żyjesz dlatego, że ja tak chciałam. Masz o tym pamiętać. Potrzebuję cię, ale potrafię doprowadzić cię na krawędź śmierci i cofnąć z powrotem, a potem zabrać cię tam jeszcze raz. Nauczę cię znosić ból. — Zeszła z niego. — Odwróć się.

Maynard powoli przewrócił się na brzuch i podciągnął pod siebie kolana.

— Co to jest? — zapytał słabym głosem.

— Rybi olej i lekarstwa. — Uniosła mu w górę biodra i rozchyliła pośladki. — Starzy mówią, że to leczy wszystko: platfusa, zeza, a nawet syfa! — Zaśmiała się z wyższością. — Ale to przestarzałe poglądy. Lewatywa przeczyszcza i usuwa trucizny. Nic więcej.

Maynard zamknął oczy i zacisnął zęby. Ostra, zimna końcówka wśliznęła się do jego odbytnicy. Dźgnęła go w prostatę i poczuł palący ból w penisie. Kiedy wtargnęła głębiej, cała wdzięczność, jaką czuł dla tej kobiety, ulga, że został przy życiu, zaczęła znikać.

Wcisnęła tłok. Wnętrznosci Maynarda wypełniły się.

— Już — powiedziała, gdy puszka była pusta. Klepnęła go w siedzenie, a on bezwładnie osunął się na matę.

Leżał, ciężko dysząc, z twarzą w kurzu. Przez myśl przemknął mu obraz Deny Gaines. Czy ona to robiła? Dla przyjemności.

Jelita zareagowały na olej silnym skurczem. Z wysiłkiem podniósł się na kolana.

— Gdzie...?

Kobieta przewidziała jego potrzebę. Stała przy wejściu do szałas, odciągając do tyłu skórę, która zastępowała drzwi.

— Chodź za mną.

Ściskając żołądek i usiłując trzymać zwieracz zaciśnięty, Maynard chwiejnie wyszedł w noc. Szedł za kobietą przez zarośla do chwili, gdy zatrzymała się i wyciągnęła rękę w kierunku szerokiego na pół metra i długiego na dziewięć metrów otwartego rowu. Z wnętrza dobiegała symfonia owadów.

Maynard nie bardzo wiedział, jak z niego skorzystać, ale nie miał czasu pytać. Stał okrzakiem, przykucnął i wyrzucił z siebie zawartość jelit.

Kobieta stała obok trzymając się pod boki i przyglądając mu się z podziwem.

Godność, pomyślał Maynard, obserwując ją przez falę mdłości. Umieraj z godnością, ale żyj jak świnia. Jelita przeszył ponowny skurcz; Maynard jęknął. Z jego wnętrza buchnęły gazy.

— No, teraz jesteś gotów — odezwała się kobieta.

— Wydaje mi się, że zaraz umrę.

— Jeszcze nie. Najpierw musisz zrobić, co do ciebie należy.

— Chodź! — Wzięła go za rękę i odciągnęła od rowu.

— Ty chyba żartujesz!

Olej ściekał mu po nogach.

Prowadziła go przez labirynt wąskich, zarośniętych ścieżek. Owady podążały ich śladem. Moskity obsiadły Maynardowi plecy, muchy z głośnym bzyczeniem atakowały jego nogi i siadały w kącikach ust, spijając wyciekającą ślinę. Był zbyt słaby, żeby się od nich opędzać. W oddali słyszał głosy, przytłumione, prowadzące rozmowę, ale nie widział nikogo.

Z zarośli wyszli na plażę. Kobieta zaprowadziła go do wody i umyła, mokrym piaskiem ścierając brud z jego nóg i płuczac je w słonej pianie.

Zabrała go z powrotem do szałas i kazała położyć się na macie. Zaciągnęła zwierzęcą skórę w wejściu, zatrzymując wewnątrz roje komarów.

— Dzisiaj nie ma wiatru — powiedziała. — Tutaj tylko wiatr może utrzymać porządek. — Zaczepnęła z garnka garść mazi i uklękła przy Maynardzie.

— A to co znowu? — zapytał zaniepokojony Maynard.

— Świński tłuszcz.

— Gdzie go zamierzasz dać?

— Wszędzie! — Roześmiała się. — To jedyne, co mam przeciw owadom. Z ostatniego łupu Roche mógł wziąć repelent. Miał wybór. Wolał rum.

Zdjęła ponczo i stała naga, rozsmarowując sobie tłuszcz na całym ciele. Jej skóra błyszczała w świetle latarki.

Zapach wieprzowego tłuszczu kojarzył się Maynardowi z niedzielnymi porankami w dzieciństwie, kiedy to jego ojciec przyrządzał bekon i kielbasę, a na resztkach smażył jajka.

— Gdzie jest mój syn?

— Razem z innymi chłopcami.

— Dużo ich tu jest?

— Nie, tylko dwóch i dziewczynka, Mary. — Usiadła i wcierała tłuszcz po wewnętrznej stronie ud.

— Co oni z nimi robią?

— Robią? Nic. Nauczą go, jak sobie radzić samemu.

— Czy są tutaj tacy jak ja?

— Ty jesteś jedyny. Jedyny obcy, który został żywy.

— Dlaczego?

— Nasz Pakt mówi, że dorosły człowiek, dorosła osoba jest zepsuta. Tylko młodzi są czysti.

— O jakim Pakcie mówisz?

— Dowiesz się... jeśli dożyjesz. — Nabrała trochę tłuszczu i zaczęła delikatnie wcierać go w twarz Maynarda. Nasmarowała mu szyję, klatkę piersiową, nogi, stopy i miejsca między palcami u nóg. Niczego nie ominęła. Jej palce poruszały się łagodnie, a kiedy delikatnie ugniatała mu uda, zaczął zapadać w sen. Zachrapał.

Wierzchem dłoni klepnęła go w usta. Spierzchnięte wargi popękały. Napotkała zdziwione spojrzenie Maynarda, nabrała więcej tłuszczu i nałożyła warstwę na jego genitalia.

— Nie będziesz jeszcze spał.

— Ale... ja nie mogę!

— Ależ możesz. Pokażę ci jak.

— Czy jesteś teraz...?

— Płodna? Nie. Ale musimy przygotować się na ten dzień.

— To wygląda jak kleik — powiedział, zaglądając do glinianej miski.

— Bo to jest kleik z korzenia kasawy i bananów. Dobrze ci zrobi.

— Nie jestem bardzo... — przerwał, bo zobaczył, że kobieta odkłada szycie i sięga za siebie po pompę do lewatywy. Zaczął jeść. Uśmiechnęła się i na nowo podjęła szycie.

Kasawa była biała, ciastowata i bez smaku; banany całkiem przejrzałe, prawie sam cukier. Jedyne wyczuwalny smak pochodził ze zmielonej gałki muszkatołowej.

O ile kleik był smaczny, to szycie przyprawiało o mdłości. Za pomocą mocnej, żeglarskiej igły, kobieta zszywała kawałki nie wyprawionej skóry ze świeżo zabitego zwierzęcia, które wydzielały nieznośny smród.

— Co szyjesz?

— Spodnie. Dla ciebie. Nie chcę, żebyś świecił gołym tyłkiem.

— Nie suszycie skór?

— Po co? Słońce i woda je suszą. Kiedy wyschną na tobie, będą lepiej pasowały. — Ścisnęła dwa brzegi skóry razem i po jej palcach zaczął ściekać sok.

— Cuchnie jak śmierć. — Maynard skrzywił się.

— Aha — podniosła głowę. — I co jeszcze.

Skóra wisząca w drzwiach została odciągnięta i do szafasu pochylając się, wszedł Nau. Niósł ze sobą drewnianą skrzynkę, z mosiężnymi uchwytami po bokach. Na wierzchu skrzynki leżał długi, gruby na półtora centymetra łańcuch. Nau postawił skrzynkę na ziemi i pchnął łańcuch kobiecie.

Spojrzała na łańcuch, potem na Nau. Maynardowi wydawało się, że chce zaprotestować, ale powiedziała tylko:

— Jak chcesz.

— Nie będę narażał na niebezpieczeństwo sześćdziesięciu ludzi — powiedział Nau — żebyś mogła dogadzać swemu... pupilkowi. — Odwrócił się do Maynarda i poklepał skrzynkę. — Tutaj, skrybo. Zrób z tym porządek. Nasi spadkobiercy będą ci wdzięczni.

— Gdzie jest mój syn?

— Nie masz syna. Nic już nie masz. Wkrótce sam będziesz niczym, przynajmniej na tym świecie. — Oczy Nau były zimne, bezwzględne, nakazywały Maynardowi kapitulację.

— Chcę się z nim zobaczyć. — Nie poddał się.

— Może kiedyś, jeśli będzie chciał. Zapytam go. — Zawrócił w stronę drzwi i powiedział do kobiety: — Bierz się do pracy, Goody. Kiedy będziesz dziwką, będziesz mogła żyć jak dziwka. Ale dopóki jesteś kobietą, będziesz pracować jak kobieta. — Wyszedł.

Maynard zauważył, że kobiecie trzęsły się ręce, kiedy robiła ostatni szew. Gniewnie rzuciła skóry na ziemię.

Chciał powiedzieć jej coś na pocieszenie, ale nie wiedział co.

— Goody to ładne imię.

— Goody to nie imię — wyjaśniła. — To taka nazwa z dawnych czasów: „Dobra żona”. Na imię mam Beth. — Podniosła koniec łańcucha. — Chodź tu.

Okręciła łańcuch dwa razy dookoła jego szyi, wstała, przeciągnęła wolny koniec nad główną

podporą dachu szałas i oba końce połączyła nową, błyszczącą kłódką z cyfrowym zamkiem.

Zatrzasnęła kabłąk kłódki i przekręciła trzy małe kółka z cyferkami.

— Czy ty naprawdę sądzisz, że mógłbym... — zaczął Maynard.

— To on się boi. Teraz już nie ma czego. Jeśli będziesz chciał uciec, musisz zabrać ze sobą cały dom.

— A ty nie myślałaś nigdy o ucieczce?

— Od czego? — zapytała. — I do czego?

— To nie jest dobre życie dla ciebie.

— Nie mam innego.

— Jest więcej... — Maynard zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Nas uczono, że więcej jest gorsze, a nie lepsze.

— Mógłbym coś opowiedzieć...

— Tak — przerwała mu — a ja mogłabym słuchać, czas by płynął, robota nie zostałaby zrobiona i tylko ściągnęłabym na siebie gniew L'Ollonoisa. Jako Jean-David Nau jest on człowiekiem stworzonym na podobieństwo boże, jako L'Ollonois jest wcieleniem diabła. — Wzięła pleciony koszyk, żelazną motykę na krótkim trzonku, nóż do cięcia trzciny i wyszła z szałas.

Maynard został sam. Usiadł na ziemi i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał szelest wiatru wśród wyschniętych liści, bzykanie owadów, ochryple narzekania ptaków morskich i w oddali odgłosy piłowania, stukot młotka i męskie głosy.

Obejrzał zamek, który spinał końce łańcucha. Nie było na nim nawet śladu zadrapań czy zmatowienia; nadal był pokryty warstwą silikonu. Maynard uznał, że zamek nigdy dotąd nie był używany. Prawdopodobnie pochodził z niedawno napadniętej łodzi i był przechowywany w swoim oryginalnym, plastikowym opakowaniu.

Mechanizm zawierał tysiąc możliwych kombinacji. Jedyną, którą Maynard mógł od razu wykluczyć, była ta, którą ustawiła Beth: 6.4.8. Przekręcał kółka tak długo, aż ustawił kombinację 1.1.1. Potem spróbował 1.2.1, następnie 1.3.1, 1.4.1 itd. Tym sposobem musiałby w końcu trafić na właściwą, ale szukanie jej mogłoby zająć mu całe dni albo i tygodnie, ponieważ będzie mógł majsterkować przy kłódce tylko wtedy, gdy będzie sam, a nie miał pojęcia jak często i na jak długo będzie zostawiony sam.

Kiedy szarpnął za kabłąk kłódki po ustawieniu kombinacji 1.9.1, zauważył niewielki otwór z boku zamka. W pierwszej chwili nie zrozumiał, do czego mógłby on służyć. Potem przyszedł mu na myśl obraz Justina, chowającego do kasetki otrzymane na urodziny pieniądze. Justin wyposażył swoją kasetkę w zamek cyfrowy. W odróżnieniu od innych, znanych Maynardowi zamków, w których kombinacja cyfrowa była na stałe ustawiana przez fabrykanta, w tym szyfr mógł być ustawiany i zmieniany przez właściciela. Maynardowi przypomniał się Justin wkładający cienki rylec do otworu w zamku i wybierający trzy ostatnie cyfry ich domowego numeru telefonu. Kiedy wyciągnął rylec, szyfr był ustawiony właśnie na te numery.

W głowie Maynarda zaczęły się kłębić różne przypuszczenia: przypuśćmy, że ten zamek ma zmienny szyfr; przypuśćmy, że nie używano go przed zabraniem z łodzi; przypuśćmy, że instrukcja obsługi była dla tych ludzi zbyt skomplikowana i nie zadali sobie trudu, by zmienić kombinację cyfr. No tak, ale zostaje jeszcze fabrykant, który musiał przecież ustawić jakiś szyfr. Co było najprostsze, najbardziej logiczne? Nakręcił 0.0.0 i szarpnął kabłąk.

Zamek był otwarty.

Maynard uśmiechnął się do siebie, zadowolony ze swej pomysłowości. Miał ochotę zdjąć łańcuch, wyjść z szałas i pomyszkować trochę po wyspie, w poszukiwaniu łodzi, nadającej się do

ucieczki. Nie, powiedział sobie. Jeszcze za wcześnie; za mało wiedział o tym, gdzie i z kim przebywa; ryzyko złapania go było zbyt wielkie, a kara za próbę ucieczki nieznana. Nie wiedział, gdzie jest Justin. Nowo zdobyta wiedza była pożyteczna, ale powinien zachować ją dla siebie do czasu, gdy będzie mógł zagrać o większą stawkę.

Zatrzasnął zamek i z powrotem ustawił kombinację 6.4.8.

Pod czołgał się do skrzynki, którą zostawił Nau i otworzył ją. Była wypełniona papierami; niektóre z nich były stare, postrzępione i pożółkłe, niektóre związane w pakiety cienkim sznurkiem ze skręconych włókien roślinnych, niektóre zmięte i podarte. Wszystkie były pisane ręcznie, na wielu z nich atrament był już bardzo wyblakły.

Przesunął się w stronę drzwi i odsunął skórę, przytrzymując ją kamieniem. Przyciągnął skrzynkę do strumienia światła wpadającego przez otwór drzwiowy. Zanurzył rękę w skrzyni i wyciągnął kawałek papieru. Był to szorstki, ziarnisty pergamin, skruszały i popękany ze starości. Atrament był brązowy i bardzo niewyraźny.

Wyglądało, że jest to fragment dziennika okrętowego lub pamiętnika, pisany w pośpiechu. Pisarz jednak zadbał o to, by jego sprawozdanie było pełne i szczegółowe: *Relacja z wypadków dnia 7 września 1797 roku, pisana krwią kwaterona, z powodu nieostrożności kwatermistrza, który na kawałki rozbił kałamarz.*

*O świcie wysłedziliśmy dwumasztową barkentynę i ścigaliśmy ją. Za szybka dla naszej marnej krypy. Poszycie zaczęło przeciekać, uszczelniliśmy je lojem. Przekłęta, omal nie zatonała, ale dobiliśmy do brzegu.*

*Skończył się rum. Kompania w złym humorze. Trzeźwa, za trzeźwa. Piekielne zamieszanie wśród nas. Spiskują, szelmy, gadają o buncie, rozglądam się więc pilnie za łupem pełnym rumu. Wziąć statek kupiecki z masą rumu na pokładzie, co by trzymał kompanię urżniętą, cholernie urżniętą, a sprawy poszłyby znów dobrze.*

*Na dole widział ozdobny podpis l'O. V.*

Wyjmował pozostałe papiery ze skrzynki i układał w porządku chronologicznym dookoła siebie. Najwcześniejsze zapiski, datowane na lata tysiąc sześćset osiemdziesiąte, układał po swojej lewej stronie, najnowsze, niektóre pisane na luźnych kartkach wyrwanych z notesu, datowane na rok 1978, po prawej. Początkowo starał się patrzeć tylko na daty dokumentów, ale słowa i zwroty przyciągały wzrok i zmuszały do czytania.

*Burza przygnała do brzegu statek — głosiła notatka z 1831 roku, podpisana przez l'O. VI, prapradziada Nau. — Targowaliśmy się z kapitanem o coś do napicia. Wyglądał na starego rozbójnika, krzepki, dzielny moczymorda i zuch, prawdziwe nic dobrego. Ale zadawał chytre pytania i miał jakieś ukryte plany, więc posłałem go pod miecz tak jak i jego załogę, która nawet pod przymusem odmówiła ujawnienia swych zamiarów. Hizzoner umył ręce, powiedział, że wszyscy będziemy potępieni, więc jego też kazałem ściąć, ale dopiero gdy im powiedział, że jego mowa nie była mową przyjaciela, a jeśli nie jest on moim przyjacielem, to jest moim wrogiem, a jeśli jest moim wrogiem, to niech mnie kule biją, jeśli pozwolę mu zipnąć.*

Maynard zauważył pewną prawidłowość: im dokumenty były nowsze, tym mniej literackie i zawierały znacznie mniej szczegółów. Relacje o statkach zdobytych w latach tysiąc dziewięćset dwudziestych opowiadały już tylko o metodach pojmwania (wywiercono otwór w dnie statku, podłożono proch i wysadzono), zagarniętym ładunku i liczbie zabitych ludzi. W latach pięćdziesiątych sporządzano listy kosztowności oraz nazwisk więźniów. Najświeższa relacja była małą kartką papieru wyrwaną z notesu, na której napisano: *Jacht Marita, zabitych 2, jeden wzięty żywy. Owoce, rum itd. Zatopiona.*

Maynard pogrzebał głębiej w skrzynce i wyciągnął coś, co wyglądało jak kilka większych fragmentów jakiejś książki — zniszczone, poplamione brudnymi palcami strony, związane paskami kruchej, łuskowatej skóry. Zdjął paski i odchylił wyblakłą okładkę: Korsarze Ameryki — głosił tytuł. — Prawdziwa relacja z najznacniejszych napaści, popełnionych w ostatnich latach u wybrzeży Indii Zachodnich, przez korsarzy Jamajki i Tortugi (zarówno Anglików jak i Francuzów), napisana przez Johna Esquemelinga (jednego z korsarzy, który był obecny przy tych tragediach).

Według prawie nieczytelnego znaku drukarza, książka ta była pierwszym wydaniem angielskojęzycznym, tłumaczona z flamandzkiego i wydana w 1684 roku.

Maynard przed laty czytał tę książkę w wydaniu broszurowym. Jego przyjaciel, historyk, polecił mu ją jako jedyną wyczerpującą i wiarygodną relacją, opisującą wydarzenia z tamtych czasów, na obszarze tak zwanego Morza Hiszpańskiego. To, że książka istniała, że w ogóle została napisana, było świadectwem wielkiej odporności i niesłychanego szczęścia jej autora.

Esquemeling pożegłował do Nowego Świata w 1666 roku jako chłopiec okrętowy, ale kiedy tylko statek wpłynął do portu na Tortudze, sprzedano go jako niewolnika. Kupił go generał porucznik Tortugi, człowiek, którego Esquemeling opisał później jako „najokrutniejszego i najbardziej perfidnego tyrana, jaki kiedykolwiek został zrodzony z kobiety”. Esquemeling był katowany i głodzony, a jedyną rzeczą, która ocaliła go od śmierci, było skapstwo jego pana, który zdawał sobie sprawę, że gdyby chłopiec umarł, to inwestycja trzydziestu reali (pensja każdego zdolnego do służby marynarza wynosiła dwa reale miesięcznie) poszłaby na marne. Esquemeling został ponownie sprzedany chirurgowi, który go żywił i traktował dobrze, uczył podstaw chirurgii i ostatecznie uwolnił w zamian za obietnicę, że jeśli Esquemelingowi kiedykolwiek się powiedzie, to zapłaci mu za to sto srebrnych reali.

Esquemeling zdecydował się zostać korsarzem i przez kilka kolejnych lat służył na różnych okrętach jako chirurg — pozycja, której autorytet i pensja były proporcjonalne do stanu ówczesnej wiedzy medycznej, to znaczy, że nie płacono mu prawie nic, a usługiwać musiał prawie każdemu. Miał jednak bystre ucho i lekką rękę, wziął więc na siebie brzemię kronikarza epoki korsarzy. Przetrwiał choroby, bitwy, zdrady, okrucieństwa i zasadzki, by w 1672 roku wrócić do Francji i napisać książkę.

Książka odniosła natychmiastowy sukces, krążyła po całym znanym wówczas świecie, przynosząc Esquemelingowi sławę, a jednocześnie pociągając za sobą procesy sądowe ze strony ludzi pokroju Sir Henry Morgana, który oskarżył Esquemelinga o przedstawienie go jako brutala, oportunisty i drapieżcy.

Tym, co najbardziej pociągało Maynarda w korsarzach i powodowało, że śledził ich historię, był fakt, że ci ludzie, bez żadnych większych talentów i aspiracji, potrafili poradzić sobie nawet na jałowej pustyni (metafora, myślał Maynard, pouczająca dla wielu z nas). Stali się plagą trapiącą najpotężniejsze nacje. Wielu zmogły choroby, wielu poległo w bitwach albo zostało skazanych na śmierć przez wrogów, a nielicznym udało się dożyć starości, zdobyć bogactwo, szacunek, a nawet sławę.

Zaczynali jako zbiegli niewolnicy, poniewierani chłopcy okrętowi, rozbitkowie i zbiegli skazańcy, wszyscy wypędzeni, celowo lub przez przypadek, z cywilizowanego świata. W połowie siedemnastego wieku tworzyli niewielkie społeczności na Hispanioli i Tortudze, żyjące z myślistwa. Zabijali dzikie bydło, potem suszyli i wędzili mięso na specjalnych rusztach zwanych boncas. Znani byli pod nazwą boucaniera, później nazwa ta została zangielszczona do bucaniers — korsarze. Nikomu nie przeszkadzali i de facto przyczynili się do przeżycia niezliczonych załóg statków, które zaopatrywali w niezbędne do życia artykuły: mięso, skóry i łój, w zamian za ubrania, proch,



muszkiety i alkohol.

Kiedy mężczyzna zostawał korsarzem, jego przeszłość ulegała wymazaniu. Przybierał sobie nowe imię, które zazwyczaj miało swoje źródło albo w kraju pochodzenia, jak Bartholomew Portugues czy Roche Brasiliano, albo w fizycznych ułomnościach, jak Louis-Krzywa Dupa, który stracił w bitwie jeden pośladek, albo Lewy Hals, którego nos został przekrzywiony na jedną stronę. Nie zadawali sobie żadnych zbędnych pytań, a od świata oczekiwali tylko tego, by pozostawiono ich w spokoju.

Jednakże król Hiszpanii wydał dekret głoszący, że tylko hiszpańskim statkom wolno prowadzić handel z Nowym Światem. Nie ważne, że statki floty hiszpańskiej zawijały tylko raz lub dwa razy do roku i że kiedy już w końcu przypląły, to miały załóżnie mało towaru. Nie ważne, że chcąc przestrzegać litery prawa, koloniści musieli skazać się na życie bez materiałów budowlanych, ubrań i żywności, bowiem formalnie nie wolno im było uprawiać roli, wyrabiać butów ani też czymkolwiek z kimkolwiek handlować.

Korsarze stali się wyjętymi spod prawa przedmiotami częstych napaści ze strony Hiszpanów, którzy wyrzynali w pień tych, których udało im się złapać i przepędzali tych, których złapać nie mogli.

Przez pozbawienie swoich kolonistów źródła niezbędnych do życia artykułów, Hiszpanie wzbudzili w tych twardych, rozumiejących morze, zahartowanych i przystosowanych do życia w pionierskich warunkach ludziach, głęboko zakorzenioną nienawiść do Hiszpanii. Niezdolni już do wyzycia z myślistwa, korsarze stali się łupieżcami hiszpańskiej floty. Żeglowali małymi, szybkimi statkami, które mogły wymanewrować większe i wolniejsze hiszpańskie galeony. Częściej posługując się podstępem niż siłą, używali łatwo dostępnej, obliczonej na szybkość i skuteczność broni: noży, krótkich szpad i ręcznych siekier, z pomocą których mogli dopaść i rozczłonkować hiszpańskiego żołnierza, zanim on zdążył wycelować ze swojego podręcznego arkebuz.

Zła sława piratów rozprzestrzeniała się wśród hiszpańskiej floty jak wirus, początkowo proporcjonalnie do popełnianych przez nich okrucieństw, w końcu w oderwaniu od rzeczywistości. Tak jak pewien hiszpański żeglarz, który krzyknął na widok swojego statku pustoszonego przez oszalałą, pijaną tłuszcę napastników: „Jezu, błogosław nas! Jeśli to nie diabły, to kim oni są?!”

Ze wszystkich relacji, które przeczytał Maynard, wynikało, że najokrutniejszym z korsarzy był Jean-David Nau, który wziął swoje imię od miejsca urodzenia, Les Sables d'Ollone we Francji. Dla Hiszpanów był postacią z koszmarów sennych, daleko gorszą niż Henry Morgan. U Morgana zawsze była szansa na łaskawość; miewał różne zachcianki. Hiszpan w rękach l'Ollonoisa posiadał już tylko przeszłość.

Maynard przekartkował fragmenty książki Esquemelinga. *Zwyczajem l'Ollonoisa — przeczytał — było, że kiedy torturował ludzi, a oni nie chcieli nic wyznać, potrafił zagnać ich swoim kordelasem na kawałki i wyrwać im język; pragnąc zrobić to samo, jeśli tylko będzie to możliwe, z każdym Hiszpanem na świecie.*

Nieco dalej, w tym samym pliku stron, Maynard znalazł wzmiankę o wydarzeniu, które uczyniło z l'Ollonoisa postać wręcz mityczną. Któregoś dnia Nau schwytał kilku Hiszpanów i próbował wydobyć z nich jakieś informacje, których oni nie posiadali. *I wtedy — przeczytał Maynard — l'Ollonois wpadał w coraz większą pasję; wreszcie wyciągnął swój kord i jednym cięciem otworzył pierś jednego z nieszczęsnych Hiszpanów, a wyrwawszy jego serce swymi świętokradczymi rękami, począł gryść i żuć je zębami jak drapieżny wilk, mówiąc do pozostałych: Was obsłużę tak samo...*

Na nieszczęście dla Hiszpanów, l'Ollonois był wśród swoich piratów bardzo popularny. Uchodził za nieustraszonego i sprawiedliwego. Ścisłe przestrzegał kodeksu rządzącego podziałem łupów, a zdobywał ich wiele. Wyprawa z l'Ollonoisem była pewną gwarancją obfitej zdobyczy,

przeznaczonej następnie na niezapomniane orgie w szynkwasach i domach publicznych Port Royal na Jamajce.

Maynard domyślał się, że w swojej kronice Esquemeling z konieczności opierał się na pogłoskach; jego atut bezpośredniego uczestnictwa skończył się z wyjazdem do Europy w 1672 roku. A inni pisali o tamtych czasach z jeszcze większego dystansu, byli bardziej arbitralni, i mniej wiarygodni. Według historyków era korsarzy zakończyła się przed nastaniem osiemnastego stulecia. Do tego czasu Hiszpania przestała być groźną potęgą w Nowym Świecie, stała się ginącym dinozaurem nękanym przez szpiclów różnych narodowości. Hiszpańska wojna sukcesyjna, która trwała do 1714 roku, sprawiła, że korsarstwo straciło rację bytu: zamiast być wyjętym spod prawa wyrzutkiem, każdy kapitan wolał sprzymierzyć się z jedną bądź drugą stroną i grabić statki „wroga” pod egidą wybranego przez siebie suwerena.

Po 1714 roku zaprowadzono wystarczający porządek, by ktoś, kto napada na czyjś statek, nie mógł usprawiedliwić swojego czynu szlachetnymi lub politycznymi pobudkami: był po prostu piratem. Nawet bajeczny Złoty Wiek piractwa, wokół którego narosło tyle romantycznych i górnołotnych opowieści, skrócono do jednej dekady. Do końca 1724 roku Edward Teach (Czarnobrody), Calico Jack Rackham, Samuel Bellamy i inni albo już nie żyli, albo odeszli do bardziej przyziemnych zajęć.

Teraz jednak, siedzący nago na brudnej podłodze i przyczepiony łańcuchem do dachu szałas, redaktor Trendów z tygodnika Today zdał sobie sprawę, że większość historyków mocno zbagatelizowała cały problem.

Odłożył strony z książki Esquemelinga na bok, ułożył w stertę pozostałe dokumenty według dat i kontynuował czytanie. Znalezienie brakującego fragmentu nie zajęło mu wiele czasu; był nim dziennik okrętowy prowadzony przez pierwszego l'Ollonoisa, aż do jego ostatniej podróży.

Z początkiem roku 1670 piraci zaczęli atakować hiszpańskie osady w centralnej i południowej Ameryce. Przetrzytywali ludność albo zajmowali całe miasto, wymuszali okup, a potem uciekali do swoich azyli na wyspach. W tym czasie l'Ollonois nie był już mile widziany w większości pirackich schronień. Poszukiwano go i samo obcowanie z nim było już dostateczną zbrodnią, by zagwarantować sobie pół tony kamieni na piersi, bambusowy pręt przeciągnięty na wylot przez bębenki uszne, bądź zawieszenie na szubienicy. Nawet według przeciętnej miary jego pobratymców, psychopatyczna żądza krwi l'Ollonoisa była uważana za skrajność. Jeden azyl był dla niego całkowicie zamknięty, po tym, jak w pijanej furii odciął ręce prostytutce, która odmówiła wypicia wina z pokrytej pleśnią beczułki.

To co oni nazywają społecznością — zanotował w swoim dzienniku — dla mnie jest zbyt ładne. Ja będę miał swoją wolność. Nie zostanę sklepikarzem.

Pożegłował w stronę bezludnego łańcucha wysp, znanych jako Caicos.

*Bóg nie kocha tego miejsca — napisał — więc ja będę. To co Bóg każe kochać, mnie przynosi nieszczęście; a to co ja Kocham, jest grzechem dla Boga. Hiszpanie twierdzą, że Bóg ich kocha; jeśli rzeczywiście tak jest, to Bóg jest głupcem.*

Maynard pomyślał, że istniało wiele powodów, aby właśnie te wyspy polecieć na miejsce ucieczki od społeczeństwa. Były pozbawione żywności, wody, drewna i zwierzyny, więc nie zachęcały statków do zatrzymywania się. Odwiedzane były tylko przez rozbitków, których mienie można było skonfiskować, których kobiety (jeśli akurat jakieś były) można było prostytuować i których można było albo zachować przy życiu (jeśli posiadali jakieś przydatne umiejętności) albo zgładzić bez obaw o konsekwencje.

Niegościnnie wyspy obiecywały nie kończące się dostawy rozbitków, jako że były usytuowane

między dwoma najbardziej uczęszczanymi szlakami wodnymi, prowadzącymi z Kuby, Puerto Rico i Ameryki Południowej na Atlantyk.

*Będziemy mieć gości — napisał l'Ollonois — a tych, których nie zaaresztuje Natura, aresztuję ja.*

Zabrał ze sobą dwudziestu mężczyzn: morderców, których wolność kupił w przeddzień ich egzekucji, opłacając władze i obiecując, że nikt nigdy więcej ich nie zobaczy; pijaków, których uprowadził z portu; nastolatków, których zwiódł obietnicami romansów i bogactwa; oraz sześć prostytutek, z których dwie były ciężarne, a wszystkie okazały się zarażone. Prostytutki uważał za tak samo ważne dla swojej misji, jak żywność czy proch: chciał utrzymać społeczność heteroseksualną. Twierdził, że homoseksualizm jest jak szkorbut. Wybucha w czasie długich rejsów i niszczy sprawność załogi.

*Jeśli Bóg i ja zgadzamy się w jakiejś sprawie — zapisał w dzienniku — to w tym, że obaj brzydzimy się pederastią. Sodomita jest gorszy niż zaraza. Tworzy dziwne związki, podżega mężczyzn do bójek, żąda dla siebie adoracji. Takiego zachowania oczekuje się od kobiet, w każdym innym przypadku burzy ono normalny porządek rzeczy.*

Drugiego lipca 1671 roku l'Ollonois znalazł wyspę, która mu odpowiadała: Leży w połowie drogi w górę archipelagu, licha wysepka, na trzy mile długa i półtorej mili szeroka, porośnięta zaroślami, które mogłyby wyżywić odporną rasę bydła. Na wschodzie są niezeglowne płycizny, przez które nie przepłynie żaden statek; na zachodzie błękitne wody i rybne zatoczki, dla nas schronienie, dla innych pułapka. Wszędzie słone bagna i zagłębienia, z których można zrobić cysterny. To może być całkiem szczęśliwe życie, jeśli tylko dziwki przestaną się awanturować.

L'Ollonois narysował w swoim dzienniku prostą mapę okolicy i Maynard próbował porównać ją z tym, co widział na mapach morskich. Navidad była pominięta (Maynard domyślił się, że l'Ollonois nigdy jej nie widział), West Caicos i South Caicos były nieregularnymi bryłami graniczącymi z Caicos Banks (polem krzyżyków, którymi oznaczył płycizny). Wyspa l'Ollonoisa miała kształt nerki. Położona była z dala od szlaków powietrznych i morskich, (obramowana na współczesnych mapach) ostrzeżeniami dla marynarzy.

Przez ponad trzysta lat wyspa była niewidoczna, a jej mieszkańców pozostawiono w spokoju. Nikt nigdy nie przybył na nią z własnej woli i oczywiście nikt, kto tu przybył, nie odpłynął stąd żywy.

Jeśli życie l'Ollonoisa na wyspie miało swoje radości, a nie było w dzienniku żadnej wzmianki o tym, że istotnie miało, to były one krótkotrwałe. Ostatni wpis nosił datę 6 stycznia 1673 roku: *O świcie wypływam pinasą z tuzinem młodych. Myślałem, że życie w tej piekielnej dziurze ułoży się samo, ale wciąż brakuje paru przeklętych rzeczy; rtęci — wszystkie dziwki — niech będą przeklęte — są zarażone; cytrusów — zęby Hizzonera są luźne i grzechotają jak kości w kubku; także muskietów, żeby zastąpić te z zepsutymi zamkami; i rumu; i nawet złota, bo są statki, których nie mogę wziąć z moją niewielką kompanią, z tymi muszę handlować; i wreszcie kilku młodych chłopaków i zdrowej dziewczyny, albo dwóch, jeśli w ogóle są takie na Ziemi! Zbyt wiele dzieci umiera w łonie, albo wkrótce po urodzeniu, przez syfilis, czy co.*

*Przekazałem dowództwo mojemu nieletniemu synowi; to znaczy, to ta cętkowana ladacznica twierdzi, że to mój syn, chociaż jej pochwa pasowała do każdego miecza w kompanii, ale potrzebuję syna, więc się nie sprzeciwiłem. To skrofuliczny karzeł, może nie pożyć długo. Szamana Hizzonera mianowałem regentem. Świetny koncept — jakbym był królem. Cóż, jestem księciem, tak samo jak każdy wolny człowiek. Jeśli mój syn umrze, Hizzoner będzie rządził do czasu, gdy wrócę i szturchnę inną dziwkę. Ufam mu, bo on się bardzo mnie boi. Będzie zabijał, żeby przestrzegali moich rozkazów, bo wie, że doścignę go nawet w piekle i obedrę ze skóry. Strach jest potęgą.*

Według dokumentów, Hizzoner czekał rok, zanim ogłosił śmierć l'Ollonoisa. Potem przejął całkowite, tyrańskie panowanie, składając tylko symboliczne hołdy tępemu synowi l'Ollonoisa, który w spadku po matce odziedziczył również syfilis. Hizzoner napisał Pakt i rządził zgodnie z nim.

W 1680 na przybrzeżnych rafach rozbił się statek. Wśród rozbitków była córka gubernatora Puerto Rico, mała dziewczynka, za młoda, żeby być narażona na choroby weneryczne. Hizzoner oświadczył, że dziewczynka jest pod jego opieką i strzegł jej przed zakusami reszty korsarzy. Pozostałym postępowanie Hizzonera wydawało się głęboko egoistyczne. Jednak wcale takie nie było.

Gdy dziewczynka ukończyła czternaście lat, Hizzoner zapłodnił ją. Kiedy tylko urodziła zdrowego chłopca, przeprowadził cichą dymisję syna l'Ollonoisa. W wyszukanej ceremonii, obfitującej w religijne i mistyczne nonsensy (biegły w Biblii Hizzoner potrafił znaleźć teksty usprawiedliwiające wszystkie potencjalne czyny, nawet barbarzyńskie i niemoralne), ogłosił, że nowo narodzone dziecko jest prawowitym spadkobiercą władzy. On będzie sprawował funkcje regenta do czasu, gdy chłopiec dorośnie do przejęcia rządów na wyspie. Uroczystości były zakropione taką ilością rumu, że nikomu nie przyszło do głowy, by zaprotestować.

Dla zabezpieczenia Hizzoner miał z dziewczyną jeszcze troje dzieci. Potem, znudzony nią i zmęczony natarczywymi prośbami pozostałych mężczyzn, oddał ją kompanii.

Hizzoner rządził do 1690 roku. W tym czasie jego pierworodny syn, nazwany l'Ollonois II i uznawany za potomka w prostej linii l'Ollonoisa I, skończył piętnaście lat.

Ostatni miesiąc życia spędził Hizzoner na zapoznawaniu chłopca z napisanym przez siebie Paktem. Kiedy stwierdził, że nie może uczynić już nic więcej (w końcu dał społeczności nowe pokolenie zdrowych przywódców, a także kodeks, według którego mieli żyć), pewnej nocy zdjął swoją szatę, wszedł do morza i już nigdy nie wrócił.

Maynard przeglądał dokumenty w poszukiwaniu kopii Paktu. Była tak dobrze widoczna, że przeoczył ją dwa razy; nie był to żaden pojedynczy dokument, tylko zwój pergaminu zabezpieczony przed rozkładem grubą, lśniącą warstwą lakieru.

Zważywszy, że jesteśmy wolnymi ludźmi — głosiła preambuła Paktu — z prawem do zawarcia pokoju lub wszczęcia wojny z wszystkimi innymi ludźmi, ale zważywszy również, że jesteśmy społecznością ludzi, którzy muszą mieć porządek w swoim życiu, z tego powodu teraz ustanawiamy następujący Pakt i przysięgamy na Wszechmogącego Boga żyć zgodnie z nim, pod karą sankcji ustalonych w każdym z jego punktów.

Tu następowały poszczególne punkty:

1.

*Każdy mężczyzna powinien być posłuszny l'Ollonoisowi, lub, pod jego nieobecność, Hizzonerowi. Nieposłuszeństwo jest najwyższym wykroczeniem.*

2.

*Ten, kto ucieknie, lub będzie próbował uciekać, albo zatai wiadomość o ucieczce przed innymi, będzie zastrzelony. Próba ucieczki jest najwyższym wykroczeniem.*

3.

*Ten, kto zaatakuje innego członka kompanii bez ostrzeżenia, zasługuje na chłostę (trzydzieści batów). Jeśli jego ofiara umrze, napastnik winien być zabicowany na śmierć.*

4.

*Ten, kto straci w bitwie jakiś członek ciała, otrzyma 500 złotych monet. Jeśli straci życie, jego*

*spadkobiercy winni otrzymać dziesiątą część następnego bogatego łupu.*

5.

*Ten, kto prawą kobietę bez jej zgody pozbawi skarbu cnoty, będzie zastrzelony. Cnotliwa kobieta jest rzadkim zjawiskiem i jej zhańbienie jest najwyższym wykroczeniem.*

Hizzoner pierwszy przewidział, że w miarę upływu czasu będą się zmieniały potrzeby wspólnoty, i do powyższych punktów dodał następującą uwagę: *Zważywszy, że żaden człowiek nie potrafi przewidzieć przyszłości, może będzie koniecznym dodać coś do Paktu. Nic jednak nie może być wykreślone: wszystkie punkty są nietykalne po wsze czasy. Wszystkie dodatkowe przypisy winny być nazywane poprawkami i załączane poniżej.*

U dołu pergaminu umocowany był plik papierów — poprawek. W sumie było ich dwanaście. Zbiór kilku kolejnych kar za przewinienia, które nie mogły mieć miejsca w czasach, kiedy został spisany Pakt. Na przykład uwaga, że nikt nie może posiadać własnego radia. Cała wspólnota ma jedno (wszystkie inne zniszczono) i używane jest ono tylko jako odbiornik. Nadawanie jakichkolwiek sygnałów jest najwyższym wykroczeniem.

Nikt nie może ani posiadać, ani zażywać żadnych medykamentów, żeby szaleństwo nie ogarnęło kompanii. Wszystkie lekarstwa i surowice były niszczone, za wyjątkiem penicyliny, którą l'Ollonois trzymał u siebie i podawał każdemu, kto ma w sobie ogień.

Rozpalanie ognia lub robienie dymu, który mógłby być zauważony przez mijający wyspę statek lub samolot, pociągało za sobą kary cielesne (za ogień w ciągu dnia) i kary cielesne połączone z torturami (za ogień w nocy).

Homoseksualizm, aczkolwiek niechętnie, dopuszczono w połowie dziewiętnastego wieku. Młoda kobieta przyniosła ze sobą na wyspę żółtą febrę i zaraziła nią wszystkie pozostałe prostytutki. W przeciągu miesiąca populacja kobiet spadła z dwudziestu sześciu do pięciu i bez żadnych prawnych regulacji tych pięć pozostałych wkrótce umarłoby z przemęczenia.

Zważywszy, że wszyscy mężczyźni są teraz pozbawieni swoich naturalnych funkcji — głosiła poprawka numer sześć — i zważywszy, że ich żywotność i męskość cierpią na skutek tego braku, wprowadza się poprawkę, na mocy której będzie utworzona grupa sodomitów, złożona z najbardziej udanych chłopców pojmanyh w najbliższej przyszłości. Będą mieli takie same prawa i ograniczenia jak prostytutki, bo będą tutaj zamiast nich.

O tym, że poprawka ta została wprowadzona z niechęcią, świadczyła następna poprawka do poprawki: Ta poprawka winna być wykreślona, kiedy odrodzi się wspólnota kobiet. Od tego czasu sodomici będą sodomitami i niczym więcej. Ten, kto będzie się mieszał do nie swoich spraw, będzie zastrzelony. Zuchwały sodomita jest najgorszym przestępcą.

Jedna z ważniejszych poprawek potwierdzała bezużyteczność pieniędzy w codziennym życiu mieszkańców wyspy. Zamiast monet, rekompensatą za okaleczenie lub nagrodą za bohaterskie czyny, była żywność i alkohol. prostytutkom pozwolono ustalić swoją własną walutę za świadczone usługi, a one wybrały przysmaki (orzechy, oliwki i słodyczne) oraz bieliznę i perfumy. Różne zmiany w sposobie wypłaty były wyszczególnione na długiej liście dodatkowej. Obecnie, zgodnie z ostatnimi, ręcznymi zapiskami obecnego l'Ollonoisa, najcenniejsze były w kolejności:

1. Strzelby myśliwskie 2. Repelenty 3. Noże i inne narzędzia 4. Amunicja 5. Rum haitański 6. Nowoczesne karabiny.

Dlaczego, dziwił się Maynard, tak niską pozycję miała nowoczesna broń? I, jeśli nie używali pieniędzy przez ostatnie kilkaset lat, to co z nimi robili?

Ale znacznie bardziej interesująca dla Maynarda była poprawka napisana w 1900 roku.

Niewątpliwie treść tej poprawki była dla niego rzeczą najwyższej wagi, ponieważ nosiła tytuł:

O DZIECIACH. Zważywszy, że stan niewinności zostaje zepsuty u rodzaju ludzkiego w wieku młodzieńczym i zważywszy, że utrata niewinności rodzi przywiązanie do ziemskich rozkoszy, i zważywszy, że osoba przywiązana do świata doczesnego jest groźbą dla naszej społeczności, ponieważ ma wyobrażenia i wiedzę, które prowadzą do kwestionowania życia, które my tutaj prowadzimy, tak więc od tej chwili społeczność nie będzie przyjmować osób powyżej lat trzynastu. Wszyscy inni będą straceni zaraz po zatrzymaniu, ponieważ można powiedzieć, że przeżyli już swoje życie i nie mogą dać naszej społeczności niczego ponad rozdział i niezgodę, podburzając do ucieczki i nowych odkryć. Dziecko jest jak ubogi obiad, jego talerz może być napełniony odpowiednim pokarmem dla myśli; talerz dorosłego jest już wypełniony niezdrowym pożywieniem.

Jakiś cień pojawił się w wejściu do szałas, zasłaniając światło. Kobieta, Beth, otworzyła zamek łączący końce łańcucha. Zdjęła jeden koniec z belki w dachu, zostawiając drugi owinięty dookoła szyi Maynarda.

— Wstań.

Maynard wstał. Podniosła z podłogi skórzane spodnie i pomogła mu je włożyć. Wewnętrzna strona spodni, nadal pokryta warstwą krwi i tłuszczu, natychmiast przykleiła się Maynardowi do ciała. Włókna oślizgłego mięsa ocierały mu się o kolana, a w nozdrza buchał zgniły odór.

Rozsmarowała mu świński tłuszcz na piersiach i plecach, gestem ręki wskazała drzwi i powiedziała:

— Wychodź.

— Dokąd idziemy?

— Tue-Barbe zgodził się porozmawiać z tobą.

— Kto to jest Tue-Barbe? — Jego zmysły były przytępione bólem. To imię było jak ćma przelatująca przez mroczne zakamarki pamięci.

— Maynard Tue-Barbe, który był twoim synem.

Maynard spojrzał na nią.

— Zgodził się? To ładnie z jego strony.

— Pamiętaj — powiedziała, potrząsając łańcuchem, żeby przynaglić go do wyjścia — młodzi są tutaj szanowani, bo są naszą przyszłością. Podobni tobie są przeszłością. Są martwi.

Prowadziła go na łańcuchu, ścieżką wijącą się wśród zarośli. Kiedy zbliżyli się do zakrętu, Maynard usłyszał śmiech.

Ścieżka wychodziła na polanę. Po prawej stronie stała prostokątna, podobna do chlewu budowla, osiem albo dziesięć razy większa niż szałas Beth. Niska, plastikowa choinka stała wbita w piasek z jednej strony drzwi, udekorowana świecidełkami, łupinkami owoców i strzępami kolorowych szmat.

— Skąd się to tutaj wzięło? — zapytał Maynard.

— Łup. — Beth przyspieszyła kroku, by szybciej dostać się na drugą stronę polany.

Nastąpił kolejny wybuch śmiechu i dwóch młodych mężczyzn wyszło z budynku, popychając się i poklepując nawzajem. Maynard zatrzymał się i wlepił w nich wzrok. Łańcuch szarpnął go za szyję.

Jeden z mężczyzn miał na sobie jaskrawą, drukowaną w kwiaty przepaskę, pół tuzina bransoletek na każdym przegubie i pierścionek na każdym palcu. Drugi był prawie nagi. Miał jasne, ostrzyżone tuż przy skórze włosy. Jego smukłe, gibkie ciało było opalone, nasmarowane olejkami i bezwłose. Jedyne ubranie stanowił woreczek na genitalia z czarnej skóry, nabrzmiały do granic możliwości.

Zobaczywszy Beth i Maynarda, porzucili barsztkowanie.

Beth spojrzała na ich, splunęła w piasek i mocniej szarpnęła łańcuch.

Pociągnięty do przodu Maynard odwrócił głowę i zobaczył, jak mężczyźni oddają Beth jej pogardliwe pozdrowienie.

Zbliżali się do następnej polany i Beth stanęła kilka metrów przed końcem ścieżki.

— Nie zatrzymuj się tutaj — powiedziała — albo skręcę ci kark. — Spuściła głowę, przygarbiła plecy i weszła na polanę.

Stało tam osiem małych chat. Każdą z nich zajmowała jedna kobieta. Maynard zobaczył dwie kobiety ubrane w lekkie, przezroczyste koszule, przez które widać było każdy szczegół ich ciała. Trzecia miała na sobie długą, poplamioną, jedwabną spódnicę, a powyżej pasa nic poza szminką, którą wymalowała sobie na piersiach koła tak, że sutki stanowiły cel. Czwarta nosiła pełen zestaw długiej bielizny i kiedy zobaczyła przechodzących, odwróciła się, pochyliła i odpiąwszy klapę z tyłu pantalonów, zaprezentowała swój goły tyłek, dodając do tego przeciągłe pierdnięcie.

Jedna z nich roześmiała się głośno i zawołała do Beth:

— To twój wybawca, Goody? Chudzielec z niego.

— Znajdę ci psa, z lepszą bronią niż jego! — krzyknęła inna.

— Nawet trup Rocheego sprawiłby się lepiej niż on! — zarechotała trzecia.

— Twoje wyrko już na ciebie czeka.

— Zobaczymy cię tu przed następnym nowiem.

Maynard zaczerwienił się. Wbił oczy w piasek. Nie zauważył, że Beth zatrzymała się, dopóki na nią nie wpadł. Patrzyła na prostytutki, czerwona ze złości.

— Wy krowy! — wrzasnęła. — Prędzej zdechnę, niż mnie tu zobaczycie! — Włożyła rękę w spodnie Maynarda i złapała jego jądra. — Jeśli to jest dla was nic, to dlatego, że nie wiecie, do czego to służy!

Cofnęła rękę i pociągnęła go za sobą. Biegąc truchtem obok niej, Maynard zapytał:

— Ile jest tutaj kobiet, które nie są prostytutkami?

- Dwanaście, wszystkie zamężne.
- A ilu mężczyzn nie jest żonaty?
- Może ze dwa tuziny.
- Czemu więc nie wyjdiesz za któregoś z nich?
- Raz zamężna kobieta ma tylko dwa wyjścia: macierzyństwo albo prostytutka.
- Nawet jeśli rzeczywiście będziesz miała dziecko... ze mną, to przecież ono kiedyś dorośnie.

Nie możesz zawsze być matką.

- Macierzyństwo trwa trzynaście lat.
- Więc potem i tak będziesz musiała zostać prostytutką.
- Myślisz, że znasz wszystkie odpowiedzi — roześmiała się. — Ale to ja je znam.
- Nie będziesz prostytutką?
- Po tylu latach? Nigdy. Kto chciałby parzyć się ze staruchą?
- Więc co wtedy?

Zatrzymała się, spojrzała na niego i powiedziała poważnie:

— Będę sędziwą kobietą. Mądrą, udzielającą rad, szanowaną. Żywioną aż do czasu, gdy przyjdzie mi umrzeć. Tak chcę i to — wskazała palcem jego genitalia — może mi to dać.

Ścieżka kończyła się w zatoczce, całkowicie osłoniętej przez strome, wapienne urwisko. Była to, jak to opisywał dziennik, łowna zatoczka: żeby wypłynąć na głęboką wodę, łódź musiała płynąć na południe kanałem wzdłuż naturalnego falochronu, potem skręcić i posuwać się na północ wzdłuż następnej ściany skalnej, a potem skręcić na wschód, żeby wypłynąć na pełne morze.

Na plaży leżało kilka łodzi: dwie pirogi, wrak statku wielorybniczego i cztery pinasy ze zwiniętymi żaglami.

W pierwszej chwili Maynard nie rozpoznał Justina, który stał nad brzegiem wody pomiędzy Nau a Manuelem. Miał na sobie nowe ubranie, białą bawełnianą koszulę i skórzane spodnie do kolan, takie same jak Nau, a na jego ramieniu wisiał walter.

Kiedy Beth i Maynard pojawili się na końcu ścieżki, Nau i Manuel przybrali władcze pozy — nogi szeroko rozstawione, ręce oparte na biodrach. Nau powiedział coś ostrym tonem do Justina, który niezdarnie próbował ich naśladować.

Maynard chciał podbiec do syna, ale Beth powściągnęła go łańcuchem i poprowadziła wolno przez plażę.

Kiedy znaleźli się w miejscu oddalonym o kilka metrów od Nau, Beth zatrzymała się i szarpnęła za łańcuch, pociągając w dół. Maynard nie wiedział, czego od niego oczekują, więc się przeciwstawił. Szarpnęła mocniej i zmusiła go, by uklęknął.

Przyglądał się ich twarzom: twarzy Nau, na której odbijało się przekonanie jego przodka, że strach daje władzę; twarzy Manuela, która jaśniała stanowczo zbyt wielką jak na jego wiek arogancją; i twarzy Justina, nerwowej, nieswojej, zbolącej na widok ojca korzącego się przed nim.

Wydawało się, że żaden z nich nie ma zamiaru się odezwać, więc w końcu Maynard zapytał miękko:

- Jak się masz, kolego?
  - Dobrze. — Słowo ugrzęzło mu w gardle. Powtórzył głośniejszym głosem: — Dobrze. A ty?
- Maynard kiwnął głową, nie mogąc oderwać oczu od swojego syna.
- Nau trącił Justina łokciem; Justin jękając się zapytał:
- Gdzie jest reszta naboju do niego? — Klepnął ręką w dół.
  - W pokoju w zajeździe. Przecież wiesz o tym.
- Justin popatrzył na Nau i w odpowiedzi na kolejne szturchnięcie zapytał:



— Gdzie?

— W komodzie. W górnej szufladzie.

Justin zwrócił się do Nau:

— Wiedziałem, że nie wziął ich na łódkę.

— Dostanę je. — Odparł Nau. Potem powiedział do Beth: — To wszystko.

Łańcuchem postawiła Maynarda na nogi.

— Nie! — krzyknął. — Pozwól mi z nim porozmawiać.

— Porozmawiać? O czym? — zapytał Nau.

— Jestem jego ojcem!

— Już ci mówiłem...

Bez chwili zastanowienia Maynard wpadł mu w słowo:

— Odchrzań się ze swoimi mądrościami! On jest moim dzieckiem i chcę z nim porozmawiać.

Nau zawahał się. Odwrócił się do Beth i powiedział dobitnie:

— Uważaj na niego albo go zabiję. Przysięgam. — Potem popatrzył na Justina: — Tue-Barbe?

Minęła dłuższa chwila, zanim Justin zrozumiał, że Nau pyta go, czy chce rozmawiać ze swoim ojcem. Skinął głową speszony. Nau powiedział do Maynarda:

— Czytałeś Pakt. Ty jesteś człowiekiem ze świata, dla którego nie ma miejsca wśród nas. Jego my będziemy kształtować, nie ty. Tym razem możesz z nim porozmawiać. Ale już nigdy więcej.

Nau ruszył w górę plaży, Manuel za nim. Beth stała, nie wiedząc, czy zostać, czy też iść za nimi. Nau gestem pokazał jej, by rzuciła łańcuch i odeszła.

Maynard usiadł. Poklepał piasek naprzeciwko siebie przynaglając Justina, by zrobił to samo. Justin nie wiedział, jak się zachować, popatrzył za Nau. Potem ostrożnie usiadł.

— Dobrze się czujesz? Nic ci nie zrobili? — zapytał spokojnie Maynard.

— Nie. Wszystko w porządku.

— Musimy sobie jakoś poradzić, rób wszystko, co ci każą. Dopóki żyjemy, mamy jakieś szanse. Nie ma znaczenia, czego będą chcieli, ważne, żeby przeżyć. Czy wiesz, kim oni są?

— Tak jakoś śmiesznie mówią. Chyba nie pochodzą z Ameryki.

Maynard pokrótce streścił Justinowi, czego się dowiedział. Gdy skończył, zapytał:

— Mówili ci coś?

— Mówili, że nigdy stąd nie odejdę. Czy to prawda?

— Nie. Znajdę jakiś sposób, żeby nas stąd wydostać.

— Mówili, że cię zabijają. Zrobią tak?

— Zrobią, jeśli w porę się stąd nie wydostaniemy. Cokolwiek usłyszysz, pomyśl o tym pod kątem ucieczki. Każdy fakt, wszystko. Pomyśl sobie: czy możemy to wykorzystać? Co nam to może dać?

— Powiedzieli mi, że stąd nie ma ucieczki.

— Co ci jeszcze powiedzieli?

— Że tutaj nie ma łodzi motorowych. Powiedzieli, że nie mają ani jednej — jak oni to nazwali?

— aha, dalekomorskiej łodzi. — Justin kiwnął głową w kierunku pinas: — To jedyne łódki, jakie są na wyspie.

— Gdybyśmy tak mogli wypłynąć jedną z nich na szlaki żeglugi... — Maynard spojrzał na pinasy.

— Są strzeżone, nawet w nocy.

— Jak długo już tutaj jesteście? — Maynard spostrzegł, że to pytanie zaskoczyło Justina. —

Spałem. Nie wiem, jak długo.

— Dzisiaj jest czwarty dzień.

— Nie słyszałeś nic więcej? Nic, co mogłoby nam pomóc? Pomyśl.

— Nic z tego, o czym mówiłeś. Ćwiczyli mnie.

— Jak to ćwiczyli?

— Żebym stał się mężczyzną. — Justin popatrzył na stojącego po drugiej stronie plaży Nau i wyszeptał: — Jak ja mogę być mężczyzną? Mam dopiero dwanaście lat! Oni są chyba nienormalni! Maynard uśmiechnął się. Sięgnął po dłoń Justina i poklepał ją łagodnie.

— Jakie to są ćwiczenia?

— Oni chcą, żebym się znał na broni jak prawdziwy rusznikarz. Dlatego pozwolili mi go nosić.

— Dotknął pistoletu.

W oczach Justina Maynard dostrzegł przeblysk dumy, jak gdyby chłopiec mimo wszystko był zadowolony, że potraktowano go jak dorosłego mężczyznę. Oczy Maynarda musiały patrzeć z wyrzutem, bo Justin odwrócił wzrok.

— Czy on jest naładowany?

— Musi być. L'Ollonois mówi, że pusty karabin jest jak eunuch, tylko na pokaz. Co to jest eunuch?

— Weź kilka nabojów i schowaj je gdzieś.

— Po co?

— Na wszelki wypadek. Mogą się nam przydać.

— L'Ollonois mówi, że musimy oszczędzać każdą kulę.

— Justin... jeśli będziesz go słuchał, to zostaniesz tutaj na zawsze. On nie jest twoim przyjacielem.

— On mówi, że jeśli ktoś nie jest jego przyjacielem, to jest jego wrogiem. A jeśli jest jego wrogiem, to trzeba go zabić. Ja nie chcę, żeby mnie zabił.

— Nie zabije. Jesteś dla niego zbyt ważny.

— Ja? Dlaczego?

— Nie wiem dokładnie. Myślę, że on martwi się o przyszłość. Mniejsza o to... powiedz mi, gdzie oni trzymają broń?

— Każdy ma jedną strzelbę, a l'Ollonois ma u siebie wszystkie zapasowe.

— Jakie to strzelby?

— Głównie skałkówki. L'Ollonois ma jeden stary M-16, ale jest całkiem zardzewiały i nie działa.

— Nie mają żadnej nowoczesnej broni?

— Nie, z wyjątkiem tego. — Justin dotknął waltera. — Oni nie lubią nowoczesnych karabinów, bo nie mogą ich używać, kiedy skończą się naboje. Nie mają skąd wziąć nowych, więc wyrzucają karabiny. Dlatego on chciał wiedzieć, ile nabojów mamy do waltera.

— A co powinien umieć rusznikarz?

— Dużo rzeczy. Odlewać kule ołowiane. Są trzy rodzaje: do pistoletów, do muszkietów i na ptaki. Trzymać wszystkie strzelby wyczyszczone i nasmarowane — na cacy, jak oni mówią. Sam je naprawić; uczyć mnie, jak wyjąć zamek i założyć nową sprężynkę. To jest fajne! — Justin uśmiechnął się radośnie, dzieląc się tymi rewelacjami z Maynardem. — Jeśli tylko o nie dbać, to takie strzelby są wieczne. Wiesz, że one mają tylko trzy ruchome części! Maynard nie potrafił odwzajemnić uśmiechu.

— Ciekaw jestem, co się dzieje z mamą — powiedział.

— Taak. — Justin wzdrygnął się.

— Nie interesuje cię to?

— Tak, tylko... nie myślałem o tym.

— To pomyśl.

Nau zawołał:

— Tue-Barbe!

Justin poderwał się na nogi.

— Czy twój prapradziadek naprawdę zabił Czarnobrodego?

— Nie sądzę. To musiał być jakiś inny Maynard.

— A oni mówią, że to był on. Dlatego mam takie imię „Zabójca Brody”.

— Cóż... Nie kłóć się z nimi. I nie martw się. Coś wymyślimy, zaufaj mi.

— Dobrze. — Justin kręcił się nerwowo. — Muszę już iść.

Odwrócił się na pięcie i już go nie było. Maynard patrzył, jak galopem pędzi przez plażę.

Wróciła Beth i podniosła z piasku łańcuch. Maynard nie zwrócił na nią uwagi; spoglądał za Justinem do chwili, gdy razem z Nau i Manuelem zniknęli w oddali.

— Odszedł — powiedziała Beth.

— Nie jest daleko.

— Miałam na myśli, że odszedł od ciebie.

— Wiem, co miałaś na myśli, ale...

— Im wcześniej się z tym pogodzisz, tym krócej będziesz cierpieć.

— Wytrzymam.

Delikatnie pociągnęła łańcuch i Maynard ruszył za nią.

— Mam dla ciebie pióro.

— Po co?

— On chciałby, żebyś w czasie, który ci zostaje... — urwała, niespodziewanie zażenowana swoją otwartością — ...żebyś się zajął pisaniem kroniki. Jak Esquemeling.

— Pisaniem kroniki? Chciałaś chyba powiedzieć — przepisywaniem. Tu nie ma przecież o czym pisać.

— Wkrótce będzie.

— Skąd wiesz?

— Dużo rzeczy się kończy: rum, spray na owady i cytrusy. Bardzo dużo rzeczy. Mówi się już o jedzeniu skór. Trzeba jak najszybciej wziąć jakiś łup. Bogaty łup.

Minęli obozowisko prostytutek i ponownie wymienili uprzejmości; przechodząc obok pederastów, splunęli na przywitanie. Kiedy zbliżali się do szałas Beth, Maynard zapytał:

— Jak myślisz, ile mam jeszcze czasu?

— Och, dużo — powiedziała pocieszająco. — Teraz czuję lekkie bóle, które mówią mi, że właśnie zaczyna się mój cykl. Masz jeszcze dużo czasu.

— Doprawdy? — mruknął Maynard, robiąc w myślach obliczenia. — Wychodzi na to, że mam jeszcze coś koło tygodnia.

\*

Zaczekał, aż jej oddech stanie się spokojny i głęboki. Potem jeszcze dla pewności odczekał pięć minut. Zaczęła chrapać. Poruszała ustami i marszczyła czoło, jakby sprzecząc się z kimś we śnie.

Przesuwał ręce wzdłuż łańcucha, aż trafił na kłódkę. Nie mógł dojrzeć cyfr, więc podpełznął do wyjścia, odchylił skórę i przyjrzał się zamkowi w świetle księżyca. Nakręcił 0.0.0 i otworzył kłódkę.

Starał się dostosowywać poruszenia łańcucha do odgłosów jej chrapania. Uwolnił się, a potem połączył z powrotem końce łańcucha, zatrzasnął kabłąk kłódki i przekręcił kółka. Miał słabą

nadzieję, że to ochroni Beth przed posądzeniem, że pomagała mu w ucieczce. Gdyby rano znaleźli zamek otwarty, mogliby oskarżyć ją o uwolnienie go; jeśli zamek będzie zamknięty, może przypiszą jego ucieczkę siłom nadprzyrodzonym albo przynajmniej jakiejś jego sztuczce i poczują się szczęśliwi, że się go pozbyli.

Wyczołgał się z szałas i palcem sprawdził kierunek wiatru. Wiał łagodny wiatr z północy, więc postanowił skierować się na południe. Nie wiedział nic na temat lokalnych przyływów, odpływów i prądów, ale pomyślał, że wiatr od lądu może mu pomóc odpłynąć dalej od wyspy.

Nie próbował znaleźć i uwolnić Justina. Pewien był, że chłopiec jest trzymany w zamknięciu, pod strażą. Nawet gdyby udało mu się go uwolnić, to i tak nie chciał narażać chłopca na ryzyko, jakie sam zamierzał podjąć: płynąć samotnie przez otwarte wody oceanu, aż natknie się na jakiś ląd albo łódź. Tutaj Justin będzie bezpieczniejszy, do czasu, gdy Maynard przybędzie z uzbrojoną odsieczą. Przekonywał sam siebie, że bez względu na to, co zrobi, Nau nie wyrządzi chłopcu krzywdy. Przemyślał sobie wszystkie możliwe podstawy, które mogłyby skłonić Nau do ukarania chłopca za ucieczkę jego ojca; żadna nie miała praktycznego sensu.

Na południowym krańcu wyspy znalazł na plaży wyrzuconą na brzeg kłodę. Nie miał ani czasu, ani środków na to, by budować tratwę, ale pragnął mieć przy sobie coś, co by pływało i na czym mógłby odpocząć. Zepchnął kłodę do wody i sprawdził, czy nie jest przegniła albo tak nasiąknięta, że mogłaby pójść na dno. Była sucha, zdrowa i żwawo podskakiwała na wodzie.

Szedł tak długo, aż woda sięgała mu po piersi, potem oparł ramiona na kłodzie i popłynął, sprawdzając kierunek wiatru i prąd. Jeśli w ogóle był jakiś prąd, to bardzo słaby; wiatr wiał mu w plecy i popychał go do przodu, wolno, ale wyraźnie, coraz dalej od wyspy.

Znajdował się mniej więcej pięćdziesiąt metrów od brzegu, kiedy poczuł ukłucie i piekący ból w udach. Zaskoczony, w pierwszym odruchu chciał krzyknąć i kląć, ale zaraz zacisnął zęby. Meduza, pomyślał. Albo jakieś małe kłujące stworzenia morskie. Nie był ani pogryziony, ani ranny, nie krwawił.

Włożył rękę do wody, pomacał udo i nagle jego ręka zapłonęła. Jęknął w szoku, wyszarpnął rękę z powrotem i poczuł, jak to parzące coś przejechało mu po brzuchu, przyprowadzając go o straszliwy ból.

Odwrócił się gwałtownie i brodą natrafił na coś miękkiego i wiotkiego jak balon, mglisty, biały pęcherz, który kołysał się delikatnie od jego dotknięcia.

Ośmiornica.

Odruchowo zaczął młócić rękami wodę, żeby się od niej oddalić i wplątał się w pasmo jadowitych macek, które zwisały u dołu pęcherza. Chlapał, wierzgał i rozmazywał parzące biczki po twarzy i piersiach. Czuł się tak, jak gdyby ktoś zdierał z niego skórę rozpalonym nożem.

Uderzył ją kłodą i odepchnął od siebie. Przedzierał się na spokojną wodę, tłumiąc w gardle krzyk, który cisnął mu się na usta.

Był wolny i przez chwilę myślał, że zdoła nad sobą zapanować i płynąć dalej. Nagle poczuł, jak kolejne smagnięcia spadły na jego plecy i ześliznęły w dół między nogami, parząc wnętrza ud.

Odwrócił się ponownie, oszalały z bólu i ujrzał przed sobą całą armadę mętnych, białych pęcherzy. Ławica ośmiornic.

Nie wytrzymał dłużej i krzyknął. Ramiona młóciły wodę, stopy kopały, a każdy ruch przynosił coraz większy ból.

Parł w stronę brzegu krzycząc i rżąc spazmatycznie. Gdy stopy dotknęły dna, spróbował biec. Paznokcie wbijał w piersi, jakby usiłując zedrzeć z siebie ból.

Rzucił się na ziemię i tarzał w wilgotnym piasku. Nie przynosiło mu to ulgi, ale nie mógł uleżeć

spokojnie. Wierzgał, zwijał się i miotał na wszystkie strony jak oszalała marionetka.

Nagle coś spadło na jego pierś i przygwoździło do ziemi.

Usłyszał głos mówiący:

— Ty cholerny durniu!

Poderwał się.

— Leż spokojnie! — rozkazał głos. — Ty ośle!

Czyżby padało? Jakiś płyn lał się na niego, ciepły, cierpki, o drażniącym zapachu. To było dobre.

Gdziekolwiek spadł płyn, ból ustępował.

Próbował coś powiedzieć, ale język miał tak spuchnięty, że nie mógł nim poruszać. Ciężka mgła ogarnęła jego umysł.

Usłyszał nowy głos, sprzeczący się z pierwszym. Mężczyzna i kobieta.

— Ostrzegałem cię.

— Ale on nie...

— Musiał...

— Ale...

Głosy ucichły. Był otępiały, wydawało mu się, że śpi.

Krzyk. To nie on krzyczy. To ktoś inny. Kobieta. Dlaczego kobieta krzyczy? Krzyk nasila się.

Usiadł i potrząsnął głową. Jeszcze bolało, ale teraz już ból był tępy, znośny. Krzyk nie ustępował.

Rozejrzał się i zobaczył Beth. Leżała na piasku, naga, jej rozłożone ręce i nogi przywiązane były do palików. W poprzek brzucha, piersi i nóg biegły pręgi. Po obu stronach jej ciała leżały białe pęcherze — ośmiornice. Ich macki były ułożone na jej ciele. Na jego widok krzyknęła:

— Obsikaj mnie!

— Co?

— Nasikaj na mnie! To jedyny sposób! Tyle dla ciebie zrobiłam!

Zrobił to, o co prosiła, i wkrótce jej krzyki przeszły w szloch i jęczenie.

\*

Leonard Hiller był święcie oburzony, jak zwykle, gdy ktoś odmawiał udzielenia wywiadu — szczególnie, gdy ten ktoś wywodził się ze środowiska dziennikarskiego.

— Co to znaczy, że Trask powiedział: nie? Za kogo on się uważa?

— Nie użył słowa nie — stwierdziła Dena, zaglądając w swoje notatki. — Powiedział, że jeśli o niego chodzi, to Today może się pocałować w dupę. I nie on to powiedział, tylko jego rzecznik prasowy.

— Co mu odpowiedziałaś?

— Powiedziałam, że jak się zdaje, rajcuje go mówienie świństw kobietom. — Dena zaczerwieniła się.

— Gdzie teraz jest Trask?

— W Nassau. Wyruszy najprawdopodobniej za dzień lub dwa. Płynie na wyspy.

— Połącz się z Miami i powiedz, żeby wysłali tam kogoś. Chcę, żeby się dostał na pokład łodzi. Chcę, żeby go dopadł i nie obchodzi mnie, czy będzie musiał do tego celu wynająć inną łódź. Chcę mieć wywiad z Traskiem i nie zamierzam zrezygnować tylko dlatego, że jest skryty. Przecież to ojciec środków masowego przekazu! Nagle postanowił zakończyć swoją karierę. Człowiek cieszący się największym zaufaniem w całej Ameryce, stwierdza, że już nie wierzy telewizji. Dwieście trzydzieści milionów ludzi ślepo wierzyło w każde słowo wychodzące z jego ust, a on nagle

oświadcza, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. To jest bomba!

— Bomba to to, że on już nie chce się prostytuować. W dzisiejszych czasach to czyni go Mesjaszem.

— Miami może wynająć samolot, jeśli będzie trzeba.

— Ten człowiek ze Straży Wybrzeża znowu dzwonił.

— Jaki człowiek?

— Ten od Maynarda.

— O Jezu...

— Mówił, że rozmawiał z pilotem, który zawiózł Maynarda i chłopca na jakąś wyspę.

Następnego dnia zniknęli.

— Mówiłem ci, że pewno zmienił styl życia i przystał do miejscowych.

— Kłopot w tym, że zabrał ze sobą dziecko.

— I co z tego?

— Jego matka dzwoniła do szefa biura.

— Skąd wiesz?

— Oni dzwoniли do mnie. Chcieli dowiedzieć się, co ja o tym wiem.

— No dobrze, jeśli spółka wydawnicza Today chce zorganizować powietrzno—morską akcję ratunkową, to już ich sprawa.

— Właściwie to nie chcą. Ale eks-zona Blaira pracuje w reklamie. Ma sporo klientów ogłaszających się w Today, i w takich szmatławcach jak TV—Week, Health and Happiness, sam wiesz.

— Czy ona nam grozi?

— Nie wyraziła się w ten sposób, ale jest, jakby to powiedzieć... gotowa na wszystko, żeby odnaleźć swoje dziecko. Już próbowała wciągnąć w to FBI.

— Na jakiej podstawie?

— Porwanie.

— O mój Boże...

— Ma zamiar go szukać i chce, byśmy jej w tym pomogli. Nie mogę mieć do niej pretensji.

— Ja też nie mam do niej pretensji. Ale co wobec tego mam zrobić?

— Wspomniałeś coś o wynajęciu samolotu...

— Tak, ale... no dobrze — Hiller westchnął. — Zadzwoń do niej.

Każdego dnia o świcie pinasy opuszczały zatoczkę i co wieczór o zachodzie słońca wracały puste. Dwa razy zdarzyło się, że zdesperowani mężczyźni zaatakowali i zatopili małe, miejscowe łodzie rybackie, zabijając rybaków, ale ich zwycięstwo było tak niewiele warte, a nagroda tak mizerna — trochę małży i parę tuzinów homarów — że przestali naprzykrzać się miejscowym łodziom i omijali je z daleka.

Mężczyźni stawali się coraz bardziej znudzeni, zniecierpliwieni i spragnieni smaczniejszego pożywienia niż suszone ryby i kleik z kasawy. Kilka krów jeszcze się nie ocieliło, więc z wołowiną było na razie krucho, a parę pozostałych przy życiu świń, chudych i łykowatych nawet w najlepszych czasach, zostało dotkniętych chorobą, od której puchły im oczy, marszczyła się skóra i chwiały się na nogach przy każdym kroku. Pamięć o niedawnej epidemii biegunki była jeszcze dość świeża w umyśle Nau, żeby zakazać spożywania jakiegokolwiek podejrzanego pokarmu.

Alkohol był racjonowany. Krok ten Nau przedsięwziął niechętnie, dlatego że pijaństwo najskuteczniej tłumilo niezadowolenie. Nad pijanym buntownikiem potrafił zapanować i mógł spać spokojnie; trzeźwy, myślał zbyt jasno, knuł przebiegłe intrygi i był nieobliczalny. Lecz zapasy alkoholu były na wyczerpaniu. Nau zdecydował, że woli mieć połowę kompanii przez połowę czasu połowicznie pijaną, niż ryzykować okresy jej całkowitej trzeźwości.

Ten sposób podziału alkoholu wkrótce zakwestionowały w swej petycji prostytutki. Przy całkowitej abstynencji społeczność mogłaby ucierpieć politycznie, argumentowały, ale tymczasem one cierpią fizycznie z rąk niezadowolonych mężczyzn. Pijani klienci byli dość ulegli; trzeźwi są po prostu nie do wytrzymania. Tak więc prostytutki zrzekają się na ich korzyść swojej części alkoholu i żądają takiego samego zobowiązania od mężatek, które są w o tyle lepszej sytuacji, że wyżywa się na nich tylko jeden mężczyzna. Nau zgodził się na tę propozycję i przywrócił mężczyznom tradycyjną jedną butelkę dziennie.

Dni Maynarda ciągnęły się jednostajnie. Rano Beth budziła go, nakłaniając, by ją obsłużył, bez względu na to, jak był niechętny, a rozumowo zawsze był niechętny. W końcu każdy akt płciowy był potencjalnie tym jednym, który da jej ciało nowe życie i w konsekwencji zabierze życie jemu; stosowała groźby, pochlebstwa, łaskotała, ugniatała i masowała go tak długo, aż w końcu osiągała nieunikniony sukces.

Jego uczucia wobec niej były dwojakie: uratowała mu życie; czuł się winny, że odpłacił jej za to próbując uciec i narażając ją na cierpienia. Z drugiej strony jej wstawiennictwo wyniknęło z pobudek czysto egoistycznych, a on przez zaspokajanie jej potrzeb spłacał swój dług wdzięczności wobec niej i czuł się ucziwy. Zażyłość seksualna zrodziła w niej cieplejsze uczucia do Maynarda: była wymagająca, ale troskliwa, niewyczerpana, ale delikatna. Była prosta, szcera i całkowicie pochłonięta walką o zdobycie idealnej dla siebie pozycji wśród społeczności.

Albo była do tego niezdolna, albo też celowo nie chciała brać pod uwagę życia poza wyspą. Twierdziła, że nic nie wie o swoim życiu przed przybyciem tutaj, ale Maynard był pewien, że ta utrata pamięci była bezpośrednim skutkiem żelaznej konsekwencji w blokowaniu wszystkiego, co mogłoby przeszkodzić w przetrwaniu z powodzeniem wśród miejscowych praw i obyczajów. Wspomnienia mogłyby wyzwolić tęsknoty, które z kolei zrodziłyby bezowocne pragnienia. Lepiej

było nie mieć wspomnień.

Nie pozwalała Maynardowi opowiadać o życiu w innym świecie, z wyjątkiem tego, co dotyczyło jego rodziny. Była spragniona wieści o jego żonie; nie o tym, co robiła, co nosiła i gdzie chodziła, ale jaka była w istocie: kochająca czy oziębła, szorstka czy łagodna. Poza tym chciała, żeby jej opowiadał o wychowaniu dzieci. Za każdym razem rozmowa schodziła w końcu na problem: jak osiągnąć sukces w macierzyństwie. Wyglądało na to, że naprawdę zależy jej na przyszłym dziecku i to pragnienie wzruszało Maynarda.

Pewnego razu poprosił ją, by pomogła mu uciec, żeby nocą razem z nim pracowała przy budowie tratwy lub łodzi. Obiecał zabrać ją ze sobą i Justinem, zapewnić urodzenie dziecka w najlepszym szpitalu i zająć się nią na stałe.

Rozgniewała się na tę propozycję, zarzucając mu pogwałcenie kodeksu. Nie potrafił powiedzieć, czy był to szczerzy odruch, czy też objaw zmieszania spowodowanego zasianiem przez Maynarda nieproszonego ziarna w uporządkowanym ogrodzie jej umysłu. Próbował wyjaśnić, że z jego punktu widzenia dozwolone były wszystkie chwyt, które mogłyby ocalić mu życie. Nie mogła mieć do niego pretensji o to, że chce żyć. Odpowiedziała, że na próżno miele jęzorem i zabrania mu poruszania tego tematu.

Doszedł do wniosku, że jej niechęć była oparta, przynajmniej częściowo, na głęboko zakorzenionej obawie przed nieznanym. Zanim będzie mógł mieć nadzieję, że Beth wysłucha kolejnej propozycji, będzie musiał jakoś delikatnie przekonać ją, że równie dobrze mogłaby żyć poza wyspą.

Po tym, co nazywała „porannym rozplodem”, zwykle dawała mu coś do jedzenia. Maynard nauczył się nie patrzeć na to, co je, wstrzymywać oddech przed każdym kęsem (żeby nie czuć smaku) i mrużyć w czasie przeżuwania, żeby nie słyszeć, jak to mu się już kiedyś zdarzyło, chrzęstu owadnich pancerzy między zębami. Jeśli Beth nie patrzyła na niego, kiedy jadł, Maynard wyrzucał owady i ślimaki ze swojej miski, zwykle jednak kontrolowała każdy jego kęs. Była jak nadopiekuńczy właściciel kota, zdecydowany utrzymać swego pieszczołka w szczytowej formie.

Zawsze rankiem szli na spacer, mijając po drodze cieśli, uszczelniających kadłuby łodzi, kobiety robiące pranie w morskiej wodzie i zbierające korzonki i ptasie jaja, pastucha, do obowiązków którego należało podawanie zwierzętom odpowiednich ziół i masaże, pomagające w porodzie, oraz świniopasowi — młodemu mężczyźnie, oślepijonemu, jak się dowiedział Maynard, przez wybuch akumulatora, który prysnął mu w oczy kwasem. Siedział on zazwyczaj skulony w zagrodzie dla świń i ubolewał nad nieszczęsnym stanem swoich podopiecznych. Często widzieli też Nau i Hizzonera, siedzących ze skrzyżowanymi nogami na szczycie pagórka wychodzącego na morze i czekających na jakąś pomyślną wiadomość od zwiadowców.

Beth zabierała go w pobliże zbrojowni, zawsze strzeżonego szałas tuż obok szałas Nau, tylko wtedy, gdy dzieci były akurat gdzie indziej. Błagał ją, żeby pozwoliła mu zobaczyć Justina, chociaż z daleka albo z ukrycia, ale ona zawsze łagodnie odmawiała. On odszedł — mówiła — jest teraz kimś innym. Wyszukane argumenty Maynarda (jeden z nich brzmiał: jeśli ja jestem martwy, a on jest kimś innym, to on mnie nie zobaczy, a ja go nie rozpoznam, więc w czym problem?) spotykały się zawsze z pobłażliwym uśmiechem.

Większość dnia spędzał przywiązany łańcuchem do dachu szałas (zamek cyfrowy został zastąpiony zwykłą kłódką) i pisał, zanurzając zaostrzone gęsie pióro w misce z rybnią krwią (dająca kolor) zmieszaną z sokiem z jagód (dającym trwałość). Spisywał sagę l'Ollonoisów na rolce brązowego papieru pakowego, przywłaszczonego, jak przypuszczał, z którejs z pechowych łodzi. Pisanie było ciężką pracą, ale przynajmniej odrywało go od nieustannych myśli o ucieczce.

Wydawało mu się, że rozważył już wszystko, a wszystko co rozważył było mrzonką albo



samobójstwem. Należałoby zacząć od sposobu uwolnienia się z łańcucha. Na razie mógł albo rozerwać zamek, albo zdemontować szalasy i zabrać łańcuch ze sobą. Było mało prawdopodobne, że uda mu się ukraść łódź, a nawet gdyby mu się udało, to wciąż nie wiedział, jak uwolnić Justina. Gdyby udało się zdobyć łódź, trochę wody pitnej i porwać Justina, mógłby podziurawić inne łodzie, żeby nie mogły od razu ruszyć za nimi w pościg. Widział jednak, jak szybko ci ludzie potrafią naprawić uszkodzoną łódź i jakimi znawcami są w odczytywaniu wiatrów i prądów. Zostałby schwyty, nim odpłynąłby na milę od wyspy.

Jego plan musiał być doskonały, nie mógł ryzykować porażki. Nie dano by mu już następnej szansy, zostałby zabity natychmiast. Perspektywa swojej własnej śmierci coraz mniej go przerażała; nieomal pogodził się już ze zbliżającym się końcem. Ale jego koniec będzie oznaczał również koniec Justina; nie zgon fizyczny, ale koniec wszelkich szans, skazanie na życie bez żadnej nadziei. Maynard nie pragnął dla siebie nieśmiertelności i nie martwił się zbytnio perspektywą opuszczenia tego świata, wcale nie lepszego od miejsca, w którym się znalazł. Ale nie podobały mu się te uczucia: chciał pragnąć nieśmiertelności, chciał pragnąć zmienić świat, a przede wszystkim chciał, by Justin też miał tę szansę. Chwilami przychodziło mu do głowy, by się modlić, ale wtedy czuł się jak podły hipokryta. Takie pomysły miewał będąc dzieckiem: „Panie Boże, jeśli sprawisz, że zdam ten egzamin albo umówię się na randkę z Susie, albo coś innego), to przysięgam, że będę...” Kiedy tylko kryzys mijał, modlitwa szła w zapomnienie.

Co by zrobił, gdyby udało mu się uciec? Jak odmieniłby swoje życie? Nie wiedział. Na pewno bardziej by je doceniał, każdą minutę traktowałby jak coś niesłychanie cennego, nie jak coś, co chciałby zachować wyłącznie dla samego siebie, ale jak chwile, które powinny być wypełnione zdobywaniem nowych doświadczeń i nauką. Zatracił ciekawość życia; spróbowałby odzyskać ją na nowo i podtrzymywać żywą u Justina. Jednakże wszystkie te myśli nie będą miały żadnych szans na spełnienie, dopóki nie upora się z jedną, najtrudniejszą: jak, do diabła, wydostać się z tej wyspy?!

Rozważał możliwość dostania się do radia w szalasy Nau. Jeśli, jak głosił Pakt, była wyznaczona kara za nadawanie sygnałów, to znaczy, że radio musi być zdolne do ich emitowania. Jednak nawet zakładając, że zdołałby jakoś przekabacić strażnika (nie wiadomo tylko, pomyślał z rozbawieniem, co mógłby mu zaoferować) to kogo właściwie miałby wzywać? Co powiedzieć? Jedną z możliwości był sygnał SOS do wszystkich statków, z podaniem długości i szerokości geograficznej (które mógłby jakoś wyliczyć). Inną możliwością było wywołanie operatora w Miami albo Nassau. Ale na to, żeby uzyskać połączenie przez pięćset albo nawet tysiąc mil otwartego oceanu, przy zmiennej pogodzie, trzeba by mieć cholernie dobre radio, zasilane przez cały zestaw akumulatorów.

Rozmyślania Maynarda zawsze kończyły się słabą nadzieją, że może ktoś ich szuka. Kiedy dochodził do tego momentu, wiedział, że nadszedł czas, aby dać mózgowi wytchnienie. Nikt nie będzie go szukał, bo nikogo nie obchodzi, co się z nim stało. Była to myśl przygnębiająca, ale bynajmniej nie zaskakująca. Nie był przecież z nikim bliżej związany i nikt nie był związany z nim. Jego zniknięcie mogło co najwyżej rozgniewać Hillera, dla którego było to niewygodne, i zirytować paru wydawców innych pism, którzy zamówili u Maynarda artykuły. Gdyby nie to, nikt by za nim nie tęsknił, co zresztą wcale go nie martwiło. I to ostatnie właściwie zaczęło go martwić. Doszedł do wniosku, że dzięki Bogu życie jest czymś więcej niż tylko walką o przetrwanie i zabawne wydało mu się, iż zrozumiał to właśnie teraz.

Jedyną ich szansą była Devon. Musiała teraz szaleć z niepokoju. Na pewno zażądała mobilizacji całej policji, postara się o zawiadomienie Białego Domu i zamęczy Hillera na śmierć. Obawiał się tylko, że zanim jej wysiłki zdołają kogoś poruszyć, może być już za późno.

\*

Pod koniec dnia Beth kąpała Maynarda w morzu, karmiła i zabierała na kolejny spacer.

Pewnego wieczora natknęła się na Nau, siedzącego samotnie na stromym brzegu nad zatoczką i obserwującego, jak dwie płynące do brzegu pinasy walczą o podmuchy wiatru, które mogłyby sprowadzić ich do domu. Beth szarpnęła łańcuchem dając Maynardowi do zrozumienia, by przyspieszył kroku, ale jej nie posłuchał. Nau usłyszał brzęk łańcucha i odwrócił się.

— Tylko przechodziliśmy — przepraszająco wyjaśniła Beth. — Już nas nie ma.

Maynard spodziewał się, że Nau skinie głową i skieruje wzrok z powrotem na morze. Zapytał jednak:

— Jak ci idzie pisanie?

— Codziennie trochę przybywa.

— Teraz już wiesz o nas wszystko.

— Wcale nie. Wiem trochę na temat „jak”: jak się tu znaleźliście, jak żyjecie, ale wciąż niewiele wiem na temat „dlaczego”: na przykład, dlaczego ciągle tu jesteście, dlaczego robicie to, co robicie, i dlaczego nikt was nie znalazł.

— Zbyt wiele pytań naraz. Zacznę od środkowego. Robimy to, co robimy, po to, by przeżyć. Życie jest walką o byt. Dlaczego nikt nas nie znalazł? Bo jesteśmy ostrożni. Nikt tu do nas nie przyjeżdża; to my składamy wizyty.

Maynard gestem wskazał na dwie pinasy.

— Nigdy żaden z nich nie próbował uciekać?

— Zdarzyło się, ale bez powodzenia. Tutaj każdy mężczyzna jest pilnowany przez innego, a poza tym, na każdej łodzi jest co najmniej jeden mój zaufany człowiek. Ale nie to jest najważniejsze. Dokąd mieliby uciekać?

— W nieznanie. Mają podstawy sądzić, że jest lepsze.

— Nie ma nieznanego. Oni wiedzą, co tam jest. Uczyli się tego. Niektórzy, na przykład Tue-Barbe, mają jeszcze wspomnienia, ale czas pozwoli na ukazanie ich w prawdziwym świetle.

— Ciekaw jestem, co oni wiedzą? Co tam jest?

— Rządy przebiegłych łajdaków i przeklętych nikczemników, z których jedna połowa troszczy się tylko o swoją sakiewkę, a druga połowa intryguje, by wprowadzić własne łajdactwa. Nędza, głód, trutnie, służące królowych, których nie znają. Tak było od samego początku i zawsze tak będzie.

— A co macie tutaj? Nędza, choroby, ciężka harówka...

— ...wolność...

— W czym? W bezkarnym mordowaniu ludzi?

— Zabijanie, zabijanie, zabijanie... dlaczego śmierć tak cię obchodzi? Wulkan wybucha i giną setki ludzi, rzeka wylewa i giną tysiące. Narody toczą przeciw sobie wojny i giną miliony. Wszystkie te sposoby uznawane są za naturalne. Ale śmierć z wyroku — Nau przejechał palcem w poprzek gardła — budzi gniew sprawiedliwych, chociaż w istocie jest tak naturalna jak inne; czysty, szybki i pewny sposób na usunięcie wrzodu, życiowa chirurgia. Ten, kto ignoruje gnijące rany i wierzy, że same się zagoją, zatruwa cały organizm. Wyciąć i spalić, i mieć to z głowy.

— Nie mogę tego zaakceptować — stwierdził Maynard.

Nau roześmiał się w głos.

— Jak powiedział wrzód do chirurga: „Nie mogę tego zaakceptować. To najokrutniejsze cięcie ze wszystkich”. To, co ty możesz zaakceptować lub nie, to nie moja sprawa. Ani twoja. Co ma być, i

tak będzie.

— I co wam z tego przyjdzie?

— Pozbędziemy się ciebie, siewcy niepokoju, albo co gorsza agitatora.

— I kronikarza — dodał Maynard z nadzieją. — Potrzebujesz kronikarza.

— Ale nie takiego, który ma zatruty umysł. Jeśli będę potrzebował kronikarza, to go sobie wyuczę.

— Jak sądzisz, czy długo to wszystko będzie jeszcze trwać?

— Dzień, rok, wiek. Kto wie? Mówiono, że się kończy już trzysta lat temu i się nie skończyło. —

Nau wzruszył ramionami.

— Ale się skończy.

— Oczywiście. A kiedy się skończy, to się skończy. Jestem prostym człowiekiem i mam do spełnienia prosty obowiązek, taki, jaki miał mój ojciec i jaki będzie miał mój syn: utrzymać przy życiu jedno pokolenie.

— Ile lat ma twój syn?

— Ja nie mam syna.

— Więc jak...? — Słowa Maynarda zostały zdławione przez szarpnięcie łańcucha.

Nau uśmiechnął się do Beth.

— To nie ma znaczenia, Goody. — Zwrócił się do Maynarda: — Miałem syna. Jego matka umarła w czasie porodu. Był to najlepszy ze wszystkich znaków, bo mówił, że wszystkie swoje siły, a nie tylko część, przekazała dziecku. Zginął w bitwie.

— Ile miał lat?

— Dziesięć. Uczyłem go, jak...

— Dziesięć? Walczył mając dziesięć lat?

— Oczywiście. Mając trzynaście byłby mężczyzną. Walczył dobrze, ale nie dość rozważnie. Był zbyt zapalczywy i dlatego zginął.

Pinasy, jedna za drugą, wślizgnęły się do zatoki. Nau podniósł się i rozprostował nogi.

— Ostatnio myślałem nad czymś — powiedział. — Nie muszę cię o nic pytać i nie muszę ci o tym mówić. Ale sądzę, że sprawi ci to przyjemność, więc powiem.

Odroczenie wyroku, pomyślał Maynard i rzucił:

— Mów.

— Kiedy już zrobisz swoją robotę dla Goody i zostaniesz wysłany w swoją drogę, sądzę, że adoptuję Tue-Barbe. Myślę, że w jego żyłach płynie krew wodza.

Maynard stał oszołomiony, niezdolny wypowiedzieć jednego słowa.

— Wiedziałem, że będziesz zadowolony — powiedział i zaczął schodzić w dół, do zatoczki.

\*

W środku nocy obudził Maynarda hałas. Był to dźwięk rogu, głuchy, żałobny i jednostajny. Wydał mu się podobny do tego, który wzywał do bitwy biblijne armie.

Beth była już na nogach. Pośpiesznie owinęła łańcuch dookoła jego szyi i pociągnęła w stronę drzwi.

— Co...?

— Wyływamy! Chodź!

— Teraz? W nocy?

— No idź! — Przynagliła go kopniakiem. — Dziesiąta część łupu należy do mnie. Nie mam

zamiaru się spóźnić!

Biegła truchtem przez kręte ścieżki, a on podążał za nią.

Noc już prawie się skończyła i między drzewami prześwitywały pasma brzasku. Słyszał kaszel, sapanie, stłumione przekleństwa i trzask łamanych gałęzi, kiedy reszta zbiegała się innymi ścieżkami.

Dotarli na polanę i Beth zwolniła kroku. Inne kobiety zatrzymały się na skraju, ale Beth, widocznie dlatego, że miała swój udział w zyskach, śmiało ruszyła naprzód ciągnąc za sobą Maynarda.

Nau stał przed swoim szałasem, z bandolierami na pistolety skrzyżowanymi na piersiach i kordem oraz sztyletem za paskiem. Obok niego stał Hizzoner, a przed nimi Manuel i Justin. W piasek była wbita latarka, skierowana do góry, i w jej świetle widać było podniecenie i strach w oczach Justina.

W centrum polany, na piasku, stał ogromny garnek i kiedy wszyscy uzbrojeni mężczyźni zebrali się dookoła niego, Hizzoner wystąpił i nasypał do środka prochu z rożka.

— Pijcie — powiedział mieszając odwar — tak, żeby każdy z was miał siły za dziesięciu, żebyście przynieśli honor kompanii i sobie, i żeby wasze serca nie znały co to strach. Amen.

Uroczyście, każdy po kolei zanurzał w garnku kubek, kapelusz albo garść. Mężczyźni krztusili się, bełkotali, śmiali i poklepywali po plecach, a potem znowu pili.

Nau popchnął do przodu chłopców. Maynard spostrzegł, że Manuel wiedział już, czego się spodziewać: wstrzymał oddech i wlał sobie płyn do gardła. Zakrztusił się, a z oczu popłynęły mu łzy. Ku zdziwieniu Maynarda, wypił po raz drugi, jak gdyby spodziewał się, że będzie mu potrzebna odwaga, którą dawał napój.

Maynard miał nadzieję, że Justin popatrzy na niego, zanim wypije, chciał posłać mu uśmiech albo mrugnięcie. Chciał dodać chłopcu otuchy; przede wszystkim jednak pragnął upewnić się, że więź, która ich łączyła, istnieje nadal.

Justin jednak nie spojrzał na niego. Złożył dłonie, zanurzył je w garnku i przełknął ile zdążył, nim odruch wykształony wziętą górę i płyn rozprysnął się jak fontanna. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, ale Justin nie spieszył się wcale. Wypił jeszcze raz i tym razem się udało.

Rozległ się radosny okrzyk. Nau poklepał Justina po plecach, a Justin uśmiechnął się dumnie.

Maynard poczuł, że pałą go uszy i coś ściska w żołądku.

— Goody — Nau zwrócił się do Beth — to będzie twój spadek po Rochem. Oby był bogaty.

Każdy łup będzie bogatszy niż był Roche, l'Ollonois. — Beth roześmiała się i napiła z garnka. Dreszcz wstrząsnął jej ramionami, zakaszła. — Niech Bóg ma w opiece oberżystów! Moje wnętrzności domagają się siarki! — Roześmiała się i wypila jeszcze raz.

— Teraz ty, skrybo! — powiedział Nau do Maynarda. — Na pewno nie chcesz powitać dzisiejszego dnia bez ognia w brzuchu.

Maynard pochylił się nad garnkiem i spojrzał na Justina. Chłopiec uśmiechał się do niego. Maynard odpowiedział uśmiechem i mrugnął. Nagle zauważył, że oczy Justina były nieruchome, a uśmiech nieobecny. Nie patrzył na ojca, tylko gdzieś w dal, wpatrzony w swoje wizje.

Maynard wypił. Przelykał pomału, sącząc płyn wąskim strumieniem do przelyku. Alkohol palił mu gardło, rozlewał się kałużą ciepła w piersiach i lądował na samym dnie pustego żołądka jak strumień gorącej lawy. Miał posmak rumu, spirytusu i siarki.

Nau podniósł ręce nakazując ciszę. Kilku mężczyzn przepchnęło się jeszcze do garnka po drugą kolejkę i wróciło do szeregu.

— Mamy wieści o dużym, ładownym statku — poinformował Nau — idącym pod żaglami z południowego zachodu. Ładunek łądzi jest nieznanym, trzynaście osób załogi. Na pewno są uzbrojeni.

Niech się odezwie ten spośród was, kto chce się wycofać.

Zgodny chór zakrzyknął: nie, a potem nastąpiły śmiechy i szybkie przepychanie się do garnka z alkoholem.

— Podział będzie taki jak zawsze, z jednym wyjątkiem: Goody Sansdents weźmie dziesiątą część łupu wedle swojego uznania, zanim zdobycz zostanie podzielona. Każdego, kto odłączy się od kompanii, spotka śmierć. — Nau położył ręce na ramionach obu chłopców. — Jedną część podzielimy po połowie dla nich, bo oni też wezmą udział w bitwie.

Manuel wyszczerzył zęby, a bezmyślny uśmiech Justina nie zmienił się.

— Nie zabierzesz go chyba! — krzyknął Maynard, wskazując na Justina.

— Tak, skrybo, i ciebie też! — Nau uśmiechnął się. — On musi nauczyć się swojego fachu, a ty musisz to opisać. Goody i ty, skrybo, popłyniecie w pinasie Hizzonera. Chłopcy będą ze mną. A teraz — podniósł głos i zwrócił się do pozostałych — przygotujmy się. Jest nas niewielu, ale mamy wielkie serca i im mniej nas będzie, tym więcej łupów przypadnie każdemu.

Ostatnie zdanie Nau wypowiedział ze śpiewną intonacją, co zasugerowało Maynardowi, że należy ono do rytuału. Po Nau wystąpił Hizzoner i rozpoczął modlitwę.

— Pochylcie swoje nieszczęsne głowy — powiedział. — O Panie, żegluj razem z nami, bowiem czekają nas dzisiaj niewiadome próby. Spraw, by nasze serca były czyste, a nasze ramiona silne, albowiem co czynimy, czynimy w Twoim imieniu, przez Jezusa Chrystusa Zbawiciela naszego. Amen.

— Błogosławieństwo zakończone — ogłosił Nau. — Rozgrzejcie się, chłopcy, rozpalcie do czerwoności, bo będzie to dzień, jak za dawnych lat.

\*

Załogę każdej z pinas stanowiło sześciu mężczyzn. Chłopcy byli dodatkowymi pasażerami, tak samo jak Beth i Maynard. Siedzieli na śródokręciu, pod masztem, gdzie mogli być obserwowani zarówno z dzioba jak i z rufy i gdzie żaden ich nieopatrzny ruch nie narażał łodzi na utratę stabilności.

Kapitan łodzi siedział na rufie, przy rumplu. Jego zastępca — na łodzi Maynarda był to młody mężczyzna ze szczeciniastym zarostem i spiłowanymi prawie do samych korzeni włosami, którego nazywano Jack-Bat — przykucnął między ławkami dla wioślarzy i klarował żagiel. Na ławce dziobowej siedział strzelec. Obok niego, na wspornikach, leżała strzelba skałkowa z długą lufą. W schowku wydrążonym na dziobie trzymał rozek z prochem, kule i zapasowe krzemienie. Pozostali mężczyźni siedzieli przy wiosłach. Każdy z nich miał przy sobie pistolet, ręczną siekierkę, kord i sztylet. Wszyscy byli podpici, ale spokojni; dość zdyscyplinowani, by wiedzieć, kiedy zatankowali już właściwą ilość.

Wyłynęli z zatoczki. Na pełnym morzu postawiono żagle i przy łagodnym wietrze pinasy bezszelestnie sunęły naprzód. Za ich plecami weszło słońce; złote plamki upstrzyły szarą powierzchnię wody.

Łódź Nau płynęła pierwsza. Maynard widział przed sobą plecy siedzących mężczyzn i rozpoznał te sztywno wyprostowane, które należały do Justina, po skórzanym pasie kabury, biegnącym w poprzek koszuli.

Kiedy wyspa za nimi zmałała do rozmiarów szarozielonej plamy na horyzoncie, rozległ się gwizd Nau. Jego zastępca zrzucił żagiel i wszyscy zastępcy na pozostałych łodziach zrobili to samo. W polu widzenia nie było żadnych obcych łodzi.

Czekali, przyczajeni w swoich pinasach, słuchając chlapania wody pod drewnianymi kadłubami łodzi i plusków ryb wyskakujących niekiedy ponad powierzchnię wody w ucieczce lub pościgu. Słońce wschodziło coraz wyżej, grzało coraz mocniej i Maynard poczuł, że skóra na plecach zaczyna go piec.

— Masz przy sobie jakiś tłuszcz? — spytał Beth.

— Nie. — Beth nacisnęła palcem szczyt ramienia Maynarda. Na skórze pojawiła się biała plama, potem zaczerwieniła się znowu. — Jack-Bat — powiedziała — podaj mi grogu.

Mamrocząc coś pod nosem, Jack-Bat wyciągnął z zęzy gliniany dzbanek. Zanim podał go Beth, wyjął korek, pociągnął spory łyk, a potem zapytał:

— Kiedy wreszcie będziesz przy nadziei, Beth? Diabelna strata grogu.

— Wkrótce, Jack-Bat, wkrótce. — Polała grogiem plecy Maynarda i wtarła mu płyn w skórę.

— Daj mu się napić, Goody — rozkazał Hizzoner. — Ogień w środku powstrzyma ogień na zewnątrz.

Maynard pociągnął prosto z dzbanka. Plecy ciągle go piekły, skóra była gorąca i ściągnięta, ale teraz miał jeszcze coś, na czym mógł skupić uwagę: rozżarzone węgle w żołądku.

Dzbanek zrobił rundę wokół pinasy i wrócił do zęzy.

Nau gwizdnął, wskazał coś i wszystkie głowy odwróciły się na południowy zachód.

— Dzięki ci, Panie Jezu — powiedział Hizzoner. — To zacy statek.

W pierwszej chwili Maynard niczego nie dostrzegł. Potem na linii horyzontu ukazał się mały punkcik, który stopniowo, tak wolno jak wskazówka zegara przesuwająca się z jednej minuty na drugą, powiększył się do rozmiarów plamki.

— Szkuner! — zawołał Nau. — Świetna, krzepka suka!

Maynard zmrużył oczy, lecz ciągle łódź była tylko niewyraźnym punktem.

— Wieczorem będziemy ucztować, chłopcy — stwierdził Nau. — jakie macie życzenia?

— Wołowina! — zawołał ktoś.

— Rum! — krzyknął inny.

— Dla mnie brzoskwinie!

— Solomon Grundy!

— Tak, to jest to — powiedział, śmiejąc się Nau. — Talerz Salomona Grundy smakowałyby każdemu. Zagrzejcie się, chłopcy, napełnijcie wasze dzbanki, oddajcie sobie honory i sprawdźcie broń. Są tu tacy, którzy będą ucztować z nami, i tacy, którzy będą ucztować z diabłem, ale nikogo pośrodku.

Dzbanek ponownie zrobił rundę dookoła pinasy. Strzelec na dziobie załadował strzelbę i położył ją sobie na kolanach. Siedzący na rufie Hizzoner przewlekał kawałki nasmołowanego sznurka przez swój warkoczyk. Widząc, że Maynard patrzy na niego ze zdziwieniem, zapytał:

— Przypomina ci to coś, skrybo?

— A co miałyby przypominać?

— To sztuczka Teacha. Zbijają z tropu wszystkich, oprócz twojego przodka.

— Co on robił?

— Zobaczysz.

Żagle zostały wciągnięte i wszystkie łódki pływały w kółko, oczekując na przybycie szkunera. Płynął dobrą milę od nich, ale był już całkiem dobrze widoczny: miał dwa maszty, pełny komplet żagli i lśniący, czarny kadłub. Płynął szybko, wykorzystując każdy powiew wiatru, jego dziób pruć powierzchnię wody. Miał przynajmniej trzydzieści metrów długości. Maynard nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób pinasy zamierzały pokonać lub choćby tylko doścignąć takiego molocha.

Hizzoner zawołał do Nau:

— Kto będzie lisem?

— Ty. Ja będę biednym rybakiem, za głupim, żeby zobaczyć zbliżające się przeznaczenie. Ty będziesz mądrzejszy, więc się uratujesz. On będzie myślał tylko o tobie, do chwili, gdy wsiądziesz mu na kark.

Hizzoner pchnął rumpel w prawo, odpadając od reszty pinas, które posuwały się wolno w kierunku napływającego szkunera.

Był już teraz tak blisko, że Maynard słyszał pęd wody wzdłuż jego kadłuba, widział też nazwę Brygadier, wymalowaną złotymi literami na dziobie. Przy relingu na nadburciu stali mężczyźni; dwaj na dziobie krzyczeli i machali w stronę pinas, żeby usunęły się z drogi szkunera. Na rufie widać było sternika siedzącego za kołem sterowym. Rozległ się sygnał ostrzegawczy, ale pinasy nie rozproszyły się: trzymały się w ciasnym kręgu, mimo sunącego na nich szkunera.

Pinasa Hizzonera trzymała się na uboczu. Dziób szkunera minął ją w odległości dwudziestu metrów, niczym masywna, czarna ściana, odpychająca od siebie góry wody.

— Teraz! — krzyknął Hizzoner.

Wiosła uderzyły wodę z obu stron pinasy. Żagiel opadł w dół i Jack-Bat prędko przywiązał go do bomu. Wioślarze pracowali z całych sił i pinasa dość szybko posuwała się do przodu. Strzelec stał na dziobie.

Szkuner już ich minął; nie było sposobu, żeby go doścignąć.

Nagle Maynard zobaczył, że szkuner gwałtownie odpada od wiatru. Żeby ominąć trzy inne pinasy, sternik musiał w ostatniej chwili skrócić ostro na sterburtę. Rytm żeglowania wielkiej łodzi został zakłócony i przez chwilę bezradnie kołysała się na falach.

Mężczyzna za strzelcem wsadził głowę między jego nogi i objął je mocno ramionami. Strzelec uniósł w górę strzelbę, odciągnął kurek i wycelował. Pinasa podskakiwała na kilwatterze szkunera, dziób na przemian wznosił się i opadał w dolinę fali. Strzelec wstrzymał oddech i na samym szczycie fali, gdy na ułamek sekundy dziób pinasy zawisł nieruchomo w powietrzu, pociągnął spust. Rozległ się trzask, gdy krzemienista iglica uderzyła o stal, syk, gdy pod wpływem iskry proch w panewce zapalił się, wreszcie huk, błysk i obłok dymu, gdy strzelba wypaliła. Strzelec zachwiał się, lecz zaraz odzyskał równowagę i wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, czy strzał był celny.

\*

Na pokładzie szkunera sternik wyrzucił w górę ręce, jak gdyby chcąc pochwycić odłamki kości, które prysnęły z jego czaszki. Zniknął z pola widzenia, a koło sterowe zaczęło kręcić się jak oszalałe w prawo. Kołysząc się na boki, szkuner odpadał coraz bardziej od linii wiatru. Żagle łopotały.

— Naprzód, chłopcy! — zawołał Hizzoner, a wioślarze zanurzyli pióra wiosel głębiej w wodę.

— Patrz, skrybo! — krzyknął Hizzoner.

Maynard odwrócił się. Hizzoner przytknął płomyk zardzewiałej zapalniczki do nasiąkniętych smołą kawałków sznurka w swoim warkoczyku. Każdy kawałek po kolei zapalał się tłustym dymiącym płomieniem, otaczając jego głowę aureolą ognia. Hizzoner wyszczerzył zęby.

— Prawdziwie diabelska istota, co?

Maynard spojrział w kierunku pinasy Nau, która podpływała właśnie do zawietrznej burty szkunera, a wioślarze pracowali zapamiętale, by nie dać się zgnieść przez sunący na nich czarny kadłub. Na maszcie łódki Nau powiewał mały, czerwony proporzec.

Hizzoner również dostrzegł proporzec i krzyknął:

— Nasz Wesoły Roger jest w górze, chłopcy! Naprzód, jest trochę flaków do wyprucia!

— Co znaczy ta flaga? — Maynard zapytał Beth.

— Wesoły Roger? Żadnej litości.

— Myślałem, że Nau nigdy się nie lituje.

— Ale to dodaje chłopcom animuszu.

Pinasa znajdowała się około metra od rufy szkunera, gdy pierwszy z wioślarzy wyciągnął swoje wiosło i bez słowa podał je strzelcowi. Ten podniósł je w górę niczym harpun i wbił pomiędzy stewę a płetwę sterową. Ster znieruchomiał i szkuner zaczął się powoli i łagodnie obracać.

Teraz wszyscy mężczyźni podnieśli wrzask, wykrzykując dzikie, chaotyczne przekleństwa pod adresem wroga, boskości, morza i siebie nawzajem. Rzucili się na płetwę sterową i jak pająki wdrapywali się na rufę, i przelazili przez reling.

Z płonącymi włosami, błyszczącymi oczyma, ze sztyletem w zębach i siekierą w dłoni, Hizzoner wspiął się po Maynardzie i wyskoczył z pinasy, wyjąc dziko:

— Zawarliśmy pakt ze śmiercią, przychodzimy do was z samego dna piekieł!

Ze szkunera dobiegł Maynarda wrzask, okrzyki przerażenia, odgłosy biegnących stóp i kilka strzałów.

— Chodź! — rozkazała Beth.

Rzuciła mu wolny koniec łańcucha, zakasała spódnicę i wskoczyła na płetwę.

— Ja?

— Chodź, bo inaczej zginiesz na miejscu. — Machnęła ręką za rufę pinasy. Następna łódź miała zablokowany dostęp do szkunera. Z tłumu wrzeszczących i miotających przekleństwa mężczyzn wyleciał nóż. Maynard uchylił się i drgający nóż utkwiał w sterze.

Maynard owinał sobie resztę łańcucha dookoła szyi, wskoczył na ster i zaczął się wspinać. Ręce i stopy ślizgały się, palcami czepiał się wystających sworzni, wypukłości i szczelin w kadłubie. Centymetr po centymetrze piał się do góry.

Achterdek szkunera był sceną dla biegających i krzyczących mężczyzn. U stóp Maynarda leżał sternik; tył jego głowy był szaroczerwoną miazgą.

Dwóch innych członków załogi szkunera leżało na pokładzie, jeden z prawie do końca obciętą głową, drugi, oparty o nadburcie, jakby ze zdziwieniem wpatrywał się w swoje odsłonięte trzewia.

Uchylając się przed zabłąkaną kulą, Beth pociągnęła Maynarda naprzód.

Nau wdrapał się na śródokręcie, zatrzymał przy relingu i pomógł wejść obu chłopcom. Manuel, gdy tylko jego stopy dotknęły pokładu, pomknął klucząc, przystając, uchylając się i obserwując — jak łasica, pomyślał Maynard, szukająca ofiary.

Justin był sztywny ze strachu. Nau pochylił się i przemówił do niego. Justin wyjął z kabury waltera, załadował i dziarsko ruszył do przodu.

Maynard zobaczył, jak Manuel rozpląszczył się na nadbudówce. Powoli, z wielką ostrożnością i cierpliwością, jego palce wyciągały z kieszeni garotę: dwa drewniane uchwyty połączone półmetrowym, cienkim drutem. Zaczął podchodzić kogoś — Maynard nie mógł dojrzeć kogo — a jego zmysły ignorowały wszelkie dźwięki i ruchy. Jego ciało poruszało się płynnie i cicho, a stopy zdawały się nie dotykać pokładu.

Róg nadbudówki okrążała kobieta. Spoglądając za siebie, uciekała ogarnięta paniką. Nie widziała Manuela do chwili, gdy wskoczył na nią i ścisnął nogami w pasie. A nawet wtedy też prawdopodobnie go nie zobaczyła, gdyż zanim odwróciła głowę, Manuel owinał garotę dookoła jej szyi i zacisnął.

Maynard zobaczył, jak jej oczy i język wychodzą na wierzch, a potem jak pada, wraz z wbitym w



nią jak pijawka Manuelem.

Zastępca Nau krzyknął i wskazał ręką w górę. Długowłosey, młody mężczyzna, w obszarpanych krótkich spodenkach wspinał się po olinowaniu szkunera w beznadziejnej próbie ucieczki. Zastępca Nau wyciągnął pistolet i wycelował w niego, ale Nau potrącił jego rękę. Przyklęknął obok Justina.

— Neeee! — wrzasnął Maynard. Beth pociągnęła za łańcuch, żeby go uciszyć.

Nau uśmiechnął się i powiedział:

— Chirurgia, skrybo.

Maynard przyglądał się bezradnie, jak Justin, stosując się do wskazówek Nau, celuje z waltera do wspinającego się człowieka.

— Przyciskaj powoli — powiedział Nau.

Justin skinął głową, zamknął jedno oko i nacisnął spust. Walter podskoczył w jego dłoni. Kula świstnęła w olinowaniu szkunera i człowiek się uchylił.

Nau mruknął coś do Justina i położył swoje dłonie na jego. Maynard usłyszał, jak mówi: Kiedy będziesz gotów.

Tym razem nie było świstu, tylko pyknięcie kuli wbijającej się w ciało. Mężczyzna złapał się ręką za pierś, a krew pociekła spomiędzy jego palców. Przechylił się do przodu, wyprostowany i pełen gracji. Podbródek zaczepiony o wantę, huśtające się nogi; wyglądał jak akrobata, na moment przed wykonaniem trudnego salta. Po chwili broda zsunęła się z wanty i ciało zaczęło spadać poziomo, jakby gotowe do pochówku, by z głuchym łoskotem zwalić się na dach nadbudówki.

— Tue-Barbe! — wykrzyknął Nau.

— Tue-Barbe! — powtórzył jego zastępca.

Klepali Justina po plecach, chwalili go, wykrzykiwali jego imię. Chłopiec poczerwieniał, potem uśmiechnął się, w końcu wybuchnął radością. Przeskakiwał z nogi na nogę i wymachiwał ramionami owładnięty euforią.

Maynard patrzył i robiło mu się słabo. Przypomniawszy sobie, że ostatni raz widział swojego syna tak ucieszonego, gdy Święty Mikołaj przyniósł mu pod choinkę małego kociaka.

Spod przedniego pokładu ciągle jeszcze dochodził hałas i Nau, wraz ze swoim zastępcą i kilkoma innymi mężczyznami, pobiegł w kierunku włazu na dziobie, zostawiając Justina samego.

Justin podszedł do nadbudówki, wspiął się na dach i spojrzał na ciało człowieka, którego przed chwilą zabił.

— Chodź! — Beth pociągnęła łańcuch. Śpieszyło jej się do podziału łupów.

— Za chwilę — powiedział Maynard. — Proszę. Zawahała się, a potem wręczyła mu łańcuch i poszła sama. Maynard zbliżył się do nadbudówki.

— Justin...

Chłopiec nie odwrócił się.

Maynard usłyszał przed sobą czyjeś kroki. Zatrzymały się, potem ruszyły na nowo, ale nie zwrócił na nie uwagi.

— Justin...

Drzwi nadbudówki otworzyły się wprost na Maynarda i jakiś mężczyzna — zdyszany, ranny i zakrwawiony — wybiegł na pokład. Miał przy sobie karabin. Spojrzał w górę na Justina i przystawił mu lufę do piersi..

Maynard pchnął ramieniem drzwi. Uderzyły mężczyznę w plecy, wytrącając go z równowagi. Karabin wystrzelił.

Justin odwrócił się i przycałował, unosząc waltera. Mężczyzna potknął się, odzyskał równowagę i wycelował ponownie.

Maynard skoczył na niego. Zawinał swój łańcuch dookoła jego szyi, ostatnie ogniwa przycisnął mocno stopą do pokładu i szarpnął z całej siły. Mężczyzna wypuścił karabin. Paznokciami drapał stalowe ogniwa, które zdążyły już strzaskać mu tchawicę. Zsiniął. Maynard ciągnął do bólu w ramionach i pulsowania w skroniach, aż źrenice mężczyzny rozszerzyły się, a gałki oczne zadrgały i obróciły się do wewnątrz. Wtedy rozluźnił łańcuch na szyi mężczyzny i oparł się wyczerpany o nadbudówkę.

Justin śmiał się cicho.

Wciąż dysząc i patrząc na martwego człowieka, Maynard zapytał szorstko:

— Z czego się tak cieszysz? — Justin popatrzył tylko. — Daj mi pistolet, stary. Co za dużo, to niezdrowo. — Nie spojrzawszy nawet na Justina, wyciągnął rękę, spodziewając się, że dostanie pistolet.

— Justin... — zaczął gniewnie — powiedziałem.. — Podniósł oczy i zobaczył przed sobą mały, czarny otwór, obwiedziony otoczką ciemnego metalu.

Justin trzymał lufę waltera nie więcej niż dziesięć centymetrów od głowy ojca, celując dokładnie między oczy.

Za lufą pistoletu Maynard jak przez mgłę widział wykrzywioną w złośliwym uśmiechu twarz swojego syna.

Starał się, by jego głos zabrzmiał normalnie.

— Justin...

— Ja jestem Tue-Barbe!

Maynard spojrzał uważnie w oczy Justina — błyszczące, butne, dzikie, ze źrenicami wielkimi jak rodzynki. Chłopiec był pijany.

— W porządku. Tue...

— Oni mówią, że ty już jesteś martwy.

— Jeszcze nie, ale...

Błysk wybuchu oślepił Maynarda, huk bolesnym echem odbił się w uszach. Kiedy znów był w stanie cokolwiek dojrzeć, zobaczył lufę waltera przesuniętą o kilka centymetrów w prawo, ponad swoim ramieniem.

Justin wybuchnął śmiechem: cienkim, piskliwym rechotem, ześlizgnął się z dachu nadbudówki i uciekł. Jego śmiech wisiał w powietrzu jak trująca melodia.

Maynard został sam. Hałasy uspokajały się; teraz słyhać było już tylko głosy mężczyzn z załogi Nau, odgłosy przesuwania ładunku, otwierania skrzynek i dziwne, niewyraźne brzęczenie, którego Maynard w pierwszej chwili nie potrafił zidentyfikować.

Jego umysł rozdzielał dźwięki, wyławiając znajome i izolując ten obcy: był to warkot silnika, bardzo odległy, ledwie słyszalny, zagłuszany przez bliższe dźwięki. Osłonił oczy i przeszukał wzrokiem horyzont, ale nie dostrzegł żadnej łodzi. Brzęczenie zdawało się być coraz bliżej, ale nie był tego pewien.

Mrużąc oczy, przepatrywał niebo, unikając oślepiającego spoglądania w słońce. Niebo było puste. Nagle coś błysnęło, jak iskra. Spojrzał znowu, osłaniając oczy zwiniętymi na kształt lornetki dłońmi, co pozwalało mu penetrować poblizsze słońca.

Jeszcze jeden błysk i tym razem Maynard dostrzegł srebrnego komara na tle żółto-niebieskiego dywanu nieba: samolot.

Zaczął szukać czegoś, czym mógłby nadać sygnał, kawałka lustra albo wypolerowanej stali. Jego stopy trąciły ciało uduszonego mężczyzny. Łańcuch. Podniósł go do słońca, ale stal, matowa i pordzewiała, nie odbijała światła. Zegarek. Rzucił się na kolana, przewrócił ciało i odwinął rękawy

koszuli. Mężczyzna miał zegarek, ale z plastikowym paskiem, a szkiełko było pokryte wodoodporną, gumową osłonką. Penetrował kieszenie w poszukiwaniu monety, scyzoryka albo zapalniczki. Rozdarł koszulę, w nadziei że znajdzie medalion albo znaczek identyfikacyjny, i zobaczył połączoną żyłkę na cienkim łańcuszku, jeden z rytualnych przyborów kokainowego bractwa. Odpiął łańcuszek i podniósł żyłkę do słońca.

\*

Już od prawie pięciu godzin Devon siedziała na miejscu drugiego pilota. Bolało ją siedzenie i przy każdym podskoku samolotu czuła, że jej pęcherz zaraz eksploduje. Przelecieli już ponad łańcuchem Wysp Bahama, schodząc niżej nad każdą słabo zaludnioną wyspą, zrobili dwa lub trzy okrążenia nad Wyspami Turks i Caicos i nie zobaczyli niczego, co by zwróciło ich uwagę. Została im do sprawdzenia tylko jedna wyspa, Great Inagua, a potem zamierzali wrócić do Miami.

Nie bardzo wiedziała, czego właściwie szuka, co byłoby warte wylądowania i zbadania: mogło to być jakieś odosobnione obozowisko albo samotna łódź zakotwiczona w ukrytej zatoczce. Nie miała pojęcia, o co chodziło Blairowi, kiedy razem z Justinem nagle opuścił Nowy Jork. Mogli być teraz na Tahiti. Od czegoś jednak musiała zacząć swe poszukiwania i kiedy ludzie z Today zaproponowali jej przejażdżkę swoim wynajętym samolotem, przyjęła to bez zastrzeżeń.

Poza tym była prawie pewna, że siedzący za nią wysłannik Today równie mało wierzył w odnalezienie Brendana Traska. Nie bardzo знаła się na żeglarstwie, orientowała się jednak na tyle, by zdawać sobie sprawę, że poszukiwanie Traska tak daleko na południu było stratą czasu: mało prawdopodobne, by Trask mógł pokonać tak wielką odległość w ciągu zaledwie kilku dni. Przypuśćmy jednak, że jakimś cudem odnaleźliby go: co wtedy? Niewątpliwie, Trask był uprzejmym facetem i z pewnością cenił dziennikarską inicjatywę, ale dlaczego miałyby znosić naloty bombowców nurkujących z Miami? Ten cyrk nie był godny Today; były to zagrania w stylu National Enquirer i nie mogła mieć pretensji do Traska o to, że kazał się wypchać ich reporterce.

Pilot obniżył prawe skrzydło, rozpoczynając skręt w prawo i pośród rozległej połaci błękitu Devon dostrzegła nagle jakiś błysk.

— Tam, w dole — powiedziała do pilota.

— Co pani tam widzi?

— Nie wiem. Wygląda, jakby ktoś sygnalizował.

Pilot skrzył w prawo, a potem obniżył lewe skrzydło tak, żeby móc patrzeć w dół ze swojego miejsca.

— Wygląda na łódź turystyczną. Pewnie jakaś dama poprawia w lusterku makijaż.

— Zejdźmy niżej — poprosiła Devon. — Chciałabym przyjrzeć się jej z bliska.

— To nie jest łódź Traska — odezwał się wysłannik Today. — Wracajmy do domu.

— Zejdź niżej! — powtórzyła Devon. Pilot wzruszył ramionami.

— Cokolwiek pani rozkaże.

\*

Samolot nadlatywał. Wciąż jeszcze był daleko i bardzo wysoko, ale zbliżał się. Zauważyli jego sygnały. Nadawał je dalej na przemian cofając i wystawiając żyłkę na promienie słoneczne, kierując błyski w stronę nadlatującego samolotu.

Coś uderzyło go w plecy i przewróciło na pokład. Leżał i czekał z zamkniętymi oczyma na cios,

który zakończy jego życie.

— Wstawaj, skrybo! — zawołał Jack-Bat machając ręką w kierunku samolotu. — Mamy gości!

Maynarda powaliły drzwi nadbudówki, otworzone gwałtownie przez Jack-Bata wracającego spod pokładu. Wstał i zobaczył, jak Jack-Bat wciąga ciało uduszonego mężczyzny na nadburcie, sadza i kładzie mu na kolanach karabin. Nadając ostatni kosmetyczny szlif, uniósł kolano trupa i ułożył na nim jedną ze sztywniejących już dłoni.

Podszedł do ciała mężczyzny na dachu nadbudówki. Chociaż krew w ciele zaczynała już stygnąć, a skóra zrobiła się sina, z daleka mężczyzna wyglądał, jakby odpoczywał. Jack-Bat podniósł leżący na pokładzie kapelusz i przykrył nim twarz trupa.

— Miłych snów — powiedział zginając mu rękę i układając ją na wlocie kuli na piersiach.

— Przykryj tego. — Wskazał na sternika.

Zadaszenie przeznaczone do ochrony sternika przed słońcem było odgięte za rufę. Maynard wyciągnął je i osłonił ciało, starając się pozostawić na wierzchu skurczoną dłoń.

— Teraz chodź. — Jack-Bat wcisnął ostatniego nieboszczyka pod lewą okrzężnicę i obłożył go zmywakami i czerpakami. Potem usiadł na dachu nadbudówki i klepnął miejsce obok siebie. — Siadaj na swoim łańcuchu, skrybo.

Maynard zwinął luźny koniec łańcucha i usiadł na nim.

Jack-Bat objął go ramieniem. Mógłby to być przyjacielski gest, gdyby jego ręka nie trzymała łańcucha na szyi Maynarda i gdyby nie powiedział:

— Spróbuj tylko kiwnąć głową, a będzie po tobie.

Wskazówka wysokościomierza pokazywała trzydzieści metrów i wciąż opadała niżej. Czarny kadłub szkunera pędził ku nim i rósł w oczach.

— Wystarczy tak nisko? — zapytał pilot z uśmiechem na ustach.

— Świetnie — odparła Devon.

— Rany boskie, przecież zaraz wyrzniemy w tę przeklętą łódź! — wrzasnął reporter.

Pilot wybuchnął śmiechem.

Devon pochyliła się do przodu i, usiłując nie mrugać, lustrowała pokład szkunera. Dwaj mężczyźni siedzieli na dachu nadbudówki objęci w pijanym uścisku, a pozostali leżeli wyciągnięci na pokładzie.

— Piękna służba — powiedział pilot, gdy z rykiem przelecieli nad pokładem łodzi. — Przez cały dzień nic, tylko siedzisz na dupie i pijesz rum.

— Co oni tutaj robią? — zastanawiała się Devon. — Przecież to sam koniec końca świata.

— Może łowią homary? W tych rejonach pływają chyba tylko miejscowe łodzie.

— Widzieliście tego śpiącego faceta? Miał karabin na kolanach. — Reporter obejrzał się za siebie.

— Tutaj nigdy za wiele ostrożności. Chłopcy mogą wypruć z ciebie bebechy za błysk twoich butów.

Pilot pociągnął drążek sterowniczy, samolot wzniósł się w górę i zawrócił w kierunku Great Inagua.

— Zadowolona? — zapytał Devon.

— Nie, ale nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

Z załogi szkunera ocalało pięć osób — czterech mężczyzn i kobieta, wszyscy młodzi i wszyscy ubrani w wyblakłe dżinsowe szorty. Zastępca Nau, długobrody mężczyzna imieniem Basco Tom, spędził ich na rufę. Basco był wściekły. Przykładał do policzka poplamioną krwią szmatę i spoglądał jadowitym wzrokiem na kobietę.

Ocaleni byli przerażeni i dezorientowani, ale nie wiedzieli jeszcze, że rzeczywiście mają powód do rozpacz.

Nau stał na rufie z chłopcami i Hizzonerem u boku. Beth ulokowała Maynarda na uboczu i przeglądała towar wyniesiony na pokład z ładowni.

Mężczyźni ładowali do pinas skrzynki z żywnością i alkoholem, narzędzia, ubrania, przybory kuchenne, broń i latarki. To, czego nie znali: różne urządzenia i maszyny oraz lekarstwa, zostawiali na pokładzie do dyspozycji Nau. Te rzeczy, o których z doświadczenia wiedzieli, że są bezużyteczne: produkty w proszku wymagające jajek albo mleka, farby, środki czyszczące i mrożona żywność, wrzucali z powrotem do ładowni.

Beth nadzorowała załadunek niczym komendant portu. Pilnowała, by jej część ładowano do pinasy Hizzonera, sprawdzała, czy repelent jest właściwej marki, obmacywała melony, obwąchiwała mięso, wahała się między brzoskwiniami a gruszkami, i w końcu rozpustnie zdecydowała się na skrzynkę jednych i drugich. Wybrała dla siebie nawet trochę błyskotek.

— Jesteś ranny, Basco? — zapytał Nau.

Basco przycisnął szmatę do policzka.

— Ugryzła mnie, jędra.

— Napastowałeś ją?

Basco uśmiechnął się i uniósł w górę środkowy palec prawej ręki. — Wziąłem z niej miarę, l'Ollonois.

— Wiesz, co cię czeka za zbeszczenie cnotliwej kobiety.

— Jak ona jest cnotliwa, to ja jestem papież.

— Dlaczego nas zabraliście? — zapytał jeden z ocalonych.

Nau spojrział na niego i odpowiedział spokojnie: — Jedzicie do domu, chłopcze.

Ocaleni poczuli ulgę. Wymienili spojrzenia i ukradkowe uśmiechy. — Skąd jesteście, chłopcy? — zapytał jeden z nich. Patrzył na Nau, Hizzonera i Maynarda. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, zapytał znowu: — Nieźle zrobiliście nas w jajo, trzeba wam przyznać?

Oni nie rozumieją, pomyślał Maynard. To miejsce cuchnie śmiercią, wszędzie leżą trupy, a oni wciąż nic nie rozumieją.

— Który z was jest kapitanem? — zapytał Nau.

— Ja. — Do przodu wystąpił młody chłopak.

— Co wieźliście?

Młodzieniec wykonał gest ręką w kierunku skrzynek na rufie.

— Macie to, człowieku.

— To jest wasz prowiant, nie ładunek.

— Co to jest prowiant? — Ośmielony pewnością, że po otrzymaniu jakiejś niewielkiej reprimendy, doznaniu drobnego upokorzenia będą wolni, młody człowiek zrobił się nieco zuchwały.

Uśmiechnął się do przyjaciół.

— Jesteście gliny?

— Wasz ładunek.

— Masz go przed nosem, szefie.

Nau głową dał znak Basco, który złapał rękę mężczyzny, położył ją na burcie i jednym cięciem kordu amputował mu mały palec.

— Hej, co ty... — Młody człowiek wyszarpnął rękę i spojrzał na nią. Ręka wyglądała jak przedtem, z wyjątkiem tego, że zamiast pięciu palców były teraz cztery, a w miejscu piątego sterczał tylko kawałek kości. — Ty gnoju...

Maynard zobaczył, że twarz Nau zbladła i stężała, jak gdyby nagle zadziałał ostatni, niepotrzebnie wypity kieliszek.

— Ładunek — powtórzył Nau.

— Zaraz wykrwawię się na śmierć!

— Zanim to nastąpi, będziesz już w domu. Nie nadużywaj mojej cierpliwości, bo twoja droga będzie wybrukowana cierpieniem. — Nau ponownie skinął głową na Basco.

Tym razem Basco chwycił dziewczynę, ale ona wyrwała mu się, a zanim zdołał ją ponownie złapać, krzyknęła:

— Nie!

— Gdzie wasz ładunek, łaskawa pani?

— Na dole! — Wskazała ładownię. — Pod kupą różnych rzeczy.

— Co to jest?

— Koka, hasz...

Nau nie rozumiał. Popatrzył pytająco na Hizzonera i Basco, ale oni też nie wiedzieli.

— Prochy — odezwał się Maynard, potrząsając przy tym głową.

— Lekarstwa, skrybo?

— Nie, prochy. No wiesz, prochy to... narkotyki. — Maynard sięgnął pamięcią wstecz i znalazł słowo użyte w Pakcie: — Medykamenty.

— Obejrzymy je. — Nau wysłał dwóch swoich ludzi do ładowni.

— Sakiewka Doktora... — powiedział Hizzoner.

— A, tak. — Nau zwrócił się do kobiety: — Powiedz mi, łaskawa pani, gdzie na statku trzymacie sakiewkę?

— Co?

— Forse — wyjaśnił Maynard.

— Nie wiem. — Trąciła łokciem okaleczonego chłopaka, który wpatrywał się w swoją krwawiącą rękę. — Dingo, gdzie są pieniądze?

— Co? — Młodzieniec wydawał się mieć jej za złe, że przerywa mu kontemplację kikuta. — Chcesz trochę szmalu?

— Człowieku, on chce naszą pieprzoną forse! — Potrząsnęła go za ramiona. — Gdzie ona jest?

— Mam tylko parę dolców — powiedział bezbarwnym głosem. — Są w mojej koi.

— Jeszcze nie zrobiliśmy zrzutu. — Przepraszającym tonem zwróciła się do Maynarda.

Maynard czuł się dziwnie. Kobieta używała go jako tłumacza. Chciał jej powiedzieć, że też jest więźniem, ostrzec ją. Ale taka informacja byłaby bezużyteczna, a ostrzeżenie bezcelowe.

— Ładunek był przeznaczony na sprzedaż — powiedział do Nau. — Dopiero wtedy dostaliby pieniądze.

To Nau rozumiał. Skinął głową na Hizzonera. Hizzoner wziął głęboki wdech, przygotowując się

do wygłoszenia mowy, ale kobieta mu przerwała.

— Możemy ubić interes. Ta koka jest warta kupę szmalu.

— Ta kobieta ma haniebny język — powiedział Nau do Maynarda.

— Ona chce dobić z tobą targu. — Maynard nie widział niczego złego w mówieniu za kobietę.

Wyczuł, że ona jedna spośród pozostałej przy życiu piątki rozpoznała zbliżającą się śmierć.

Pomaganie jej było tylko niewielką przysługą. — Ich wolność w zamian za ich ładunek.

— Rzeczywiście! — roześmiał się Nau. — Świetny interes. Mam ich statek, ich ładunek i ich osoby. Cóż oni jeszcze mogą mi zaoferować?

Nie było odpowiedzi. Justin przerwał ciszę:

— Skończmy z tym!

Nau uśmiechnął się:

— Tak, Tue-Barbe. Szkoda strzępić języka. — Skinął na Hizzonera.

Hizzoner zaczął mówić, wznosząc pełne szacunku spojrzenie do nieba, wymachując ramionami, pozornie zwracając się do pięciorga młodych ludzi, faktycznie jednak wyliczając litanie usprawiedliwień. Była to wyświechtana mowa i Maynard był pewien, że Hizzoner dostosowuje ją tylko z grubsza do okoliczności.

— Zbrodnie, które popełnialiście, znane są zarówno wam, jak i Bogu. Wiecie również, że ci, którzy popełniają zbrodnie, będą za karę pławić się w jeziorze gorejącym ogniem i siarką. To jest właśnie śmierć druga, Apokalipsa 21 ;8, patrz Rozdział 22; 15. — Wszystko to Hizzoner wypowiedział jednym tchem, zrobił przerwę na zaczerpnięcie oddechu i spojrzał na piątkę młodych ludzi, by zobaczyć, czy wykazują jakieś oznaki skruchy albo przynajmniej strachu. Zobaczył kompletne osłupienie.

Podczas gdy pierwsze plastikowe torby z kokainą lądowały na pokładzie, Hizzoner kontynuował:

— Słowa, które sięją grozę, które rozważają wasze położenie i waszą winę; drżycie z pewnością na ich dźwięk, bo któż z was może mieszkać wśród niegasnących płomieni? Rozdział 20,14. Kiedy przekonacie się według świadectwa swojego, jak wielkie było zło, którego się dopuściliście, jak bardzo obraziliście Boga i sprowadziliście na siebie jego sprawiedliwy gniew i oburzenie, nie będę musiał wam mówić, że jedyna droga do uzyskania przebaczenia i odpuszczenia grzechów, wiedzie poprzez szczerą i niekłamaną skruchę oraz wiarę w Chrystusa, przez którego chwalebna i męczeńska śmierć możecie mieć jedyną nadzieję na zbawienie.

Hizzoner ciągnął monotonnym głosem, a Nau wskazał na stos toreb z kokainą i zapytał Maynarda:

— Do czego to służy?

— Poprawia nastrój. Działa trochę jak... rum, coś w tym rodzaju.

— Czy to dodaje odwagi?

— Nie.

— Więc po co się tego używa?

— Sprawia, że dobrze się czujesz. Tak mówią.

— Piłeś to?

— Nie. To się wacha.

— Wacha? Jak tabakę? — Nau rozciął jedną z toreb, czubkiem noża nabrał trochę białego proszku i przystawił sobie do nosa. Wciągnął głęboko, czekając na efekt. Potrząsnął głową i splunął z pogardą. — Zatopić to! — rozkazał i mężczyźni zaczęli wyrzucać torby za burtę.

— Hej, człowieku! — zaprotestował jeden z ocalonych. — To tak, jakbyś wyrzucał cały pieprzony szmal!

— Cisza!

Hizzoner przerwał w pół słowa.

— Kontynuuj, Hizzoner — powiedział Nau — ale nabierz trochę wiatru w żagle. Zanudzisz tych nieszczęśników na śmierć.

— Zanudzę! — Hizzoner był urażony. — Przedstawiam im drogę do zbawienia. Czy to jest nudne?

— Robisz to bez końca. Kontynuuj.

— Miejcie upodobanie w prawie Pana i nad jego prawem rozmyślajcie dniem i nocą, Księga Psalmów 1;2, a jego słowo niech będzie lampą dla waszych stóp i światłem na waszej ścieżce, Księga Psalmów 119,105, bowiem wszystko to, co poczytujecie sobie za stratę, jest niczym wobec tego największego daru, jakim jest poznanie Jezusa Chrystusa, Listy do Filipian 3;8, bo dla tych, którzy są powołani, jest moc boża i mądrość boża, Listy do Koryntian 1;24, nawet ta ukryta mądrość, którą Bóg ustanowił przed stworzeniem świata, Rozdział 2;7. Docieńcie więc wagę Pisma Świętego, bowiem w nim jedynie możecie znaleźć wielką tajemnicę zbawienia upadłej ludzkości i tylko ono pouczy was, że grzech poniża naturę ludzką, jako że pochodzi ona od czystości, prostoty i świętości, w której Bóg powołał nas do życia, a przestrzeganie praw boskich przynosi większy pożytek aniżeli życie w grzechu, wedle praw Szatana; albowiem drogi cnoty są drogami miłymi, ku szczęściu wiodą wszystkie jej ścieżki, Księga Przysłów 3; 17.

Ostatnia torba kokainy wpadła do wody i wraz z pozostałymi popłynęła na południe, niesiona przez szybki prąd. Na przestrzeni stu metrów za rufą podskakiwał łańcuch białych klusek.

Nau niecierpliwie postukiwał nożem o reling. Hizzoner zauważył to i powiedział:

— Już kończę.

— Pospiesz się.

— Kto szczerze zwróci swe serce do Chrystusa — ciągnął dalej — dla tego nigdy nie będzie za późno, nawet gdy przyjdzie o jedenastej godzinie, Ewangelia według Św. Mateusza 20;6, On go przyjmie. Oczywiście, nie muszę wam mówić, że warunkami Jego łaski są wiara i żal za grzechy. I niech wasza skrucha nie będzie tylko ubolewaniem nad sobą, spowodowanym karą, jaka teraz na was spadła; powinniście żałować waszych grzechów dlatego, że ciężko nimi obraziliście łaskawego i miłosiernego Boga. Nie będę udawał, że daję wam jakiegokolwiek szczegółowe wskazówki co do natury waszej pokuty: myślę, że mówię do osób, których grzechy wywodzą się nie tyle z niewiedzy, co z niedopełniania swoich obowiązków. Ja tylko serdecznie wierzę, przez litość dla waszych dusz, że to, co wam powiedziałem przy tej smutnej, a zarazem uroczystej okazji, namawiając was do wiary i żalu za grzechy, wyrze na was odpowiedni skutek i w ten sposób staniecie się prawdziwymi pokutnikami.

— Na Judasza! — wybuchnął Nau. — Jak prosił chłopiec, skończ z tym wreszcie!

— Nie wyjdzie ci na zdrowie wzywanie na pomoc imienia zdrajcy. To właśnie on, w obliczu decyzji, kiedy potępienie i zbawienie toczyły wojnę o jego duszę, wybrał...

— Wiem, co zrobił Judasz! Kończ swoją mowę!

— Taak... więc... Hizzoner chrząknął. — A teraz, kiedy spełniłem wobec was swój chrześcijański obowiązek, udzielając wam najlepszej rady, jaką mogłem dać mając na względzie ocalenie waszych dusz, muszę spełnić swój obowiązek jako sędziego. A więc wyrokiem tego tu sądu, albowiem sąd jest tam, gdzie siedzi sędzia, nawet jeśli sędzia stoi, a nie siedzi, i nawet jeśli stoi na morzu, wy... — przerwał — jakie są wasze imiona?

— Kogo obchodzi, jakie są ich imiona?! — ryknął Nau. — Nazwij ich Willy, Billy i Milly!

— A więc wy, Willy, Billy i Milly... i jeszcze raz Willy i Billy, bo jest was pięcioro... zostaliście skazani na śmierć, śmierć, śmierć!



Maynard spojrział na nich. Okaleczony mężczyzna wydawał się nic nie słyszeć, a jeśli coś słyszał, to nie dbał o to; był zahipnotyzowany swoją ręką. Pozostali patrzyli z niedowierzaniem; szurali nogami, spoglądali na siebie i mamrotali rzeczy w stylu: No co wy... i: Słuchaj, szefie... i: Dajcie spokój...

Tylko kobieta uwierzyła. Wpadła w histerię i zaczęła krzyczeć.

— Basco... — powiedział Nau.

Basco zrobił krok do przodu, złapał kobietę za włosy i poderzwał jej gardło.

Nie czekając na rozkaz, Justin wyciągnął z kabury walera i strzelił do rannego mężczyzny, prosto w piersi. Mężczyzna upadł nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Kiedy zwalił się na pokład, Justin wycelował w niego ponownie, ale Nau złapał go za rękę.

— Nie dodawaj zniewagi do ran. On jest gotów. Poza tym kule są cenne.

Szybko, trzema cięciami swojego kordu, Basco załatwił trzech pozostałych.

Maynard stał na rufie trzęsąc się z przerażenia i odrazy. Powiedział do Nau:

— Zrobiłeś z niego potwora.

— Potwora? Ani trochę. Maszynę. Robota musi być zrobiona. Opłakujesz tych pięcioro? Tych?

— Palcem u nogi Nau szturchnął jedno z ciągle jeszcze drgających ciał. — Co za strata?

— Czy ich opłakuję? Nie, chociaż powinienem. Opłakuję mojego syna.

— Tak, to jest strata. Ale masz pociechę! Twoja strata jest naszym zyskiem. — Nau zwrócił się do Manuela: — Zatop łódź.

— Strzelać?

Nau zlustrował niebo, szukając samolotu.

— Nie, zatop ją po cichu. Pokaż Tue-Barbe, jak to się robi.

Obaj chłopcy pobiegli do przodu i zniknęli w otwartym włazie.

Pinasy były załadowane powyżej burt. Zostało zaledwie kilka centymetrów wolnej burty. Gdyby morze nie było spokojne, łodzie z pewnością pograżyłyby się w wodzie.

Trzy pinasy odplynęły. Czwarta, pinasa Nau, została przy szkunerze, oczekując na powrót chłopców.

Szkuner stał na wodzie absolutnie spokojnie. Z odległości pięćdziesięciu metrów Maynard obserwował, jak dziób zaczął tonąć — powoli, ledwo dostrzegalnie. Po kilku chwilach nieznacznie zanurzyła się również rufa. Na pokładzie pojawili się chłopcy. Wbiegli na rufę, zsunęli się w dół po płetwie sterowej i wskoczyli do obładowanej pinasy Nau.

Szkuner huśtał się, na przemian zanurzając dziób, potem rufę, potem znowu dziób, aż wreszcie, kiedy pokłady prawie zalewała woda, coś dużego przesunęło się na jego spodzie albo kabina odmówiła oddania zawartego w niej powietrza, w każdym razie równowaga kadłuba szkunera została zachwiana i rufa podniosła się do góry, a dziób z gładkim sykiem pograżył się w wodzie.

Szkunera nie było już widać, ale zostały jeszcze po nim dźwięki, albo może nie tyle dźwięki, co echo, odbijające się od powierzchni wody i drewnianych kadłubów pinas, echo trzaskania, kruszenia i pękania.

Tam, gdzie przedtem był szkuner, na wodzie urosły i pękły pęcherze powietrza. Morze połknęło i strawiło łódź, i wyglądało, jakby szkuner nigdy nie istniał.

— Podnieście żagle, chłopcy! — zawołał Nau. — I życcie sobie zachodniego wiatru! Rum i dziwki już na nas czekają!

O zmierzchu pinasy wpłynęły do zatoki. Połowa mężczyzn już w czasie podróży rozpoczęła libację. Jack-Bat wysączył cały dzbanek rumu z prochem i pracował właśnie nad butelką spirytusu pożyczoną (na rachunek, jak twierdził) z części łupu należącej do Beth. Podśpiewywał w kółko tę samą piosenkę, która składała się z dwóch linijek: Dalej chłopcy, dalej śmiało, nie zwlekajcie ani chwili, Molly wisi za spódnicę na gałęzi manzanilli.

Zastępca Nau wyleciał za burtę w czasie ściągania żagla przy wejściu do zatoki. Nie był w stanie płynąć, więc kopał i wymachiwał nogami, aż ktoś rzucił mu linę, a potem, ku ogólnej uciecze pozostałych, sikał na niego przez cały czas holowania do brzegu.

W zatoce stała szalupa, a obok niej czekał jakiś mężczyzna. W zapadających ciemnościach Maynard nie rozpoznał go, dostrzegł jedynie biały, płócienny garnitur, ze spodniami podwiniętymi do kolan. Chwilę potem usłyszał jego głos wołający:

— Dobra robota, Ekscelencjo. — Gdyby to zostało zrobione, a jest zrobione, byłoby dobrze, żeby było zrobione szybko.

Windsor.

— Witaj, Doktorze! — Nau podniósł rękę i wyrzucił coś na brzeg. — Twoja sakiewka. Trochę nędzna, ale to wszystko, co było. A co ty przyniosłeś dla mnie?

— Proch, dwa kilogramy, i lekarstwa na oczyszczenie tych nieszczęsnych osobników. —

Windsor podniósł portfel i włożył go do kieszeni.

Pinasy wciągano na brzeg i rozładowywano na plaży.

Justin i Manuel szli krok za Nau i razem podeszli do Windsora.

Windsor rozpoznał Justina i zawołał radośnie:

— No proszę, jaki z niego zuch! Powiedz mi, synku, jeszcze raz, jak masz na imię?

— On już nie jest tym, kim był — powiedział Nau. — Teraz nazywa się Tue-Barbe.

— Pięknie. Powiedz mi więc, Tue-Barbe, jak poszła bitwa?

— Świetnie, proszę pana.

— Był wspaniały — stwierdził Nau. — Przyjdzie czas, że on i Manuel będą współzawodniczyć o władzę.

— Najwyższa jakość. Przeżywa najlepiej przystosowany. Prowadzi selekcję.

Windsor zlustrował ładunek składowany na plaży.

— Bogaty łup. Tak też sądziłem. Ich rozmowy z łądem na to wskazywały.

— Tak, ale ładunek był nic nie wart. Narkotyki, jak je nazwał skryba.

— Kto?

Beth wyprowadziła Maynarda z pinasy i zostawiła go na plaży, podczas gdy sama nadzorowała wyładunek swojej części łupu.

— Skryba. — Nau wskazał na Maynarda.

Windsor przeszedł przez plażę do Maynarda i przyjrzał mu się z niedowierzaniem, jak gdyby podejrzewał, że jego istnienie jest tylko żartem. Zdołał zapytać:

— Dlaczego ty żyjesz?

— Witam cię również.

— Próbowałem cię ocalić, ale się uparłeś jak osioł. Teraz powinieneś już nie żyć.

— Cóż...

Windsor zapytał Nau:

— Dlaczego on żyje?

— To zagmatwana sprawa — odparł Nau. — Rozpłaczę ją dla ciebie przy szklaneczce.

— Powinniście byli go zabić! Tak każą wasze zwyczaje! — nalegał Windsor.

— I tak też się stanie, już wkrótce. On o tym wie i my o tym wiemy. Tymczasem pisze dla nas kronikę.

Windsor nie sprzeczał się z Nau. Wyszeptał do Maynarda:

— Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale cokolwiek by to było, koniec z tobą. Wierz mi.

— Grozisz mi? — Maynard uśmiechnął się. — Proszę cię... nie wysilaj się.

— Wierz mi — powtórzył Windsor i odwrócił się.

Maynard zapytał:

— Martwisz się, że skażę twoje laboratorium? — Windsor zatrzymał się. — To jest ta twoja idealna społeczność, prawda?

— Jeszcze nie. — Windsor nie mógł stłumić uśmiechu. — Jest więcej rzeczy na niebie i ziemi, niż się przyśniło twoim filozofom.

— Chodź, Doktorze! — zawołał Nau. — Twój dzbanek jest pełen, a twój kwiatusek samotny.

Beth wyciągnęła z krzaków stare taczki, z pomocą Maynarda załadowała swoje dobra i popchali je w stronę szałas. Powiewy świeżego wiatru niosły ze sobą odgłosy uroczystości: krzyki, śmiechy, piski i przekleństwa, dźwięki tłuczonego szkła i ludzi potykających się w zaroślach.

— Prawdziwa libacja — stwierdził Maynard.

Układali skrzynki, pudła i siatki w szałasie, a na koniec z trudem zmieścili się sami.

— Trzeba się rozgrzać przed radą.

— Radą?

— Pójdziemy niebawem, mamy do załatwienia jedną sprawę.

Popatrzył na nią, oczekując wyjaśnienia, ale zobaczył tylko dziwny, smutny uśmiech, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Kiedy wszystko zostało złożone, zapytała:

— Jaki lubisz rum?

— Nie znam się na rumach.

— Musisz mieć swój ulubiony. — Wskazała na skrzynki. — Wódka rum? Whisky rum? Dżin rum? Rum rum? — Zatoczyła dumnie ręką. — Mam je wszystkie. Jestem bogata. Roche umarłby po raz drugi, gdyby zobaczył, jaka jestem bogata.

— Whisky rum.

Zadowolona z roli szczodrej pani domu, Beth otworzyła skrzynkę ze szkocką i podała Maynardowi jedną. Dla siebie wzięła butelkę wódki. Otworzyła ją i gestem nakazała mu zrobić to samo. Potem powiedziała:

— Poczekaj. — Paznokciami zdrapała warstwą ziemi z podłogi i odkopała klucz. Otworzyła zamek, odwinęła łańcuch z szyi Maynarda i odrzuciła na bok. — Już — powiedziała.

Mięśnie na szyi i ramionach Maynarda nagle stały się elastyczne i żywe. Dotknął ręką skóry, którą łańcuch otarł do żywego mięsa.

— Dziękuję.

— Pij

— Dlaczego...?

— Dlaczego masz pić? Bo...

— Nie. Dlaczego... to zrobiłaś? — Wskazał ręką łańcuch.

— Bez powodu. — Potrząsnęła głową, ale cały czas unikała jego wzroku. Ufam ci.

— Tak nagle?

— Chcesz, żebym go założyła z powrotem? Nie? No to bądź cicho i pij.

Sączyli płyn z butelek. Alkohol przyjemnie palił w przełyku i rozlewał się ciepłem w żołądku.

— Przyniosłeś mi szczęście — odezwała się Beth.

— To jest coś, jak sądzę.

— Szkoda.

— Czego?

— Tak w ogóle. — Zrobiła nieokreślony gest. Pociągnęła duży łyk z butelki. — Ale... taki jest zwyczaj.

Maynard napił się i powiedział:

— Wiesz co? Zwyczaj to jak wrzód na tyłku.

— Cóż, może... — Beth roześmiała się.

— Przecież wiesz — zaczął Maynard ostrożnie, nie chcąc zepsuć jej nastroju — że moja propozycja jest ciągle aktualna.

— Jaka propozycja? — Wiedziała. — Nie. Już za późno.

— Dlaczego?

Beth potrząsnęła głową, odpędzając jakąś natrętną myśl, i postawiła butelkę na ziemi.

— Chodź.

— Dokąd?

— Chodź. Mówiłam ci, że mamy jeszcze sprawę.

Wzięła go za rękę i poprowadziła na plażę, gdzie wykapała go, z nadzwyczajną jak mu się zdawało, czułością.

Ruszyli w górę plaży, ale w połowie drogi do zarośli zatrzymała się i powiedziała:

— Tutaj. — Położyła się na piasku i pociągnęła go za sobą. Przyłgnęła ustami do jego ust, a potem kochała się z nim z dziką intensywnością. Na koniec, dysząc ciężko, dotknęła jego twarzy i powiedziała miękko: — Byłeś dla mnie dobry.

W jej głosie brzmiała jakaś nieuchronność i serce zaczęło mu bić szybciej.

Wędrowali ciemnymi ścieżkami, zdążając w kierunku odgłosów libacji. Doszli do skraju polany i Beth przystanęła. Wyjrzała ostrożnie zza krzaków, jakby w oczekiwaniu zasadzki.

— Czego się obawiasz? — zapytał Maynard.

Beth położyła palec na ustach i syknęła:

— Szsz!

Przebiegła pędem przez polanę i Maynard, biegnący za nią, zobaczył opustoszały dom pederastów.

Doszli do polany, na której mieszkały prostytutki i znowu Beth rozejrzała się ostrożnie, zanim przez nią przeszli.

Szli dalej w milczeniu. Nagle z zarośli wytoczył się na ścieżkę potężny mężczyzna i zagroził im drogę. Ryczał i plół coś po pijanemu. Zatoczył się, potknął, wpadł w krzaki, złapał równowagę i zamachnął się ręką, w której trzymał kord.

— Stać! — wrzasnął.

— Sam sobie stój, Rollo — powiedziała Beth — jeśli potrafisz. — Zdawało się, że nie jest przestraszona; raczej czekała z rezygnacją na coś niemiłego.

Olbrzym wymachiwał ramionami i spoglądał na nich z ukosa.

— Nie wiem ilu was jest, ale musicie się ze mną napić, bo jak nie, to was zadźgam! — Wciąż wymachiwał swoim kordem.

— Pozwól nam przejść, Rollo.

— Nie przejdziecie, zanim nie wypijecie za moje zdrowie. — Sięgnął w krzaki i wywlókł na ścieżkę skrzynkę kahlu'a. Pstryknął w szyjkę butelki i wyciągnął ją w stronę Maynarda. — Pij. Za moje zdrowie.

— Nie, dziękuję.

Rollo ryknął i ruszył na Maynarda. Maynard uskoczył, a kiedy Rollo przeleciał obok, rąbnął go w nerki, powalając na kolana.

— Piękny cios! — powiedział Rollo gramoląc się na nogi. — Aż mi flaki trzeszczą. A teraz — wytarł szyjkę butelki o spodnie — pij albo cię zaraz dopadnę.

Maynard spojrzał pytająco na Beth.

— Ułagodź go — powiedziała. Maynard pociągnął łyk i podał butelkę Beth. Napiła się i wymamrotała: — Twoje zdrowie. — Po czym oddała butelkę Rollowi.

Zadowolony Rollo powtórzył:

— Moje zdrowie! — Opróżnił butelkę do dna i pustą cisnął w krzaki. Potem chichocząc pod nosem usunął skrzynkę z drogi i pozełgował do swojej kryjówki, by czatować na następnych przechodzących.

— Jak długo będzie się w to bawił? — zapytał Maynard podążając dalej za Beth.

— Aż padnie. Ale on jest raczej nieszkodliwy.

— Nieszkodliwy! Żartował?

— O nie! Mógłby cię zabić, ale jeśli z nim pijesz, jest jak szczenię.

Szli dalej w kierunku odgłosów uczyty.

— Ciekaw jestem, czy kogoś już zabił — zastanawiał się Maynard.

— Rollo? Pewnie.

— I co?

— Co i co?

— Nie ma za to żadnej kary?

— Gdyby zabił dziecko, tak, to jest jatka. Ale dorosłego... to uczciwa walka.

— Przecież on napada na ludzi bez uprzedzenia.

— Taki, co nie potrafi obronić się przed byle chwiejącym się na nogach pijaczną, to żadna strata.

Całe towarzystwo zebrało się na polanie przed szałasem Nau. W środku na rozżarzonych węglach stał garnek wypełniony po brzegi rumem, otoczony otwartymi skrzynkami z alkoholem. Wokół leżeli porozwalani pijani mężczyźni i kobiety. Idąc za Beth, Maynard przestąpił spoconą, dyszącą, kopulującą parę.

Jack-Bat przyodziały tylko w parę gumowych butów siedział na piasku z półnągą prostytutką na kolanach. Jack-Bat szlochał rozdzierająco i Maynard przechodząc usłyszał, jak mówi do kobiety:

— Ależ, Lizze, zawsze cię kochałem! Jesteś pragnieniem mojego serca.

— Już dobrze, Jack — odpowiedziała kobieta głaszcząc go po szyi. — Nie mogę uciec razem z tobą. Dokąd byśmy poszli?

— Zbuduję dla ciebie domek na końcu wyspy. Uczyni mnie szczęśliwym! — beczał Jack-Bat. — Powiedz: tak!

— Dobrze, już dobrze, Jack. Napij się jeszcze, przejdziemy się i poczujesz się lepiej.

Hizzoner siedział oparty o pień drzewa, przyssany do butelki brandy i odpytywał z katechizmu śpiącą prostytutkę. Zadawał jej pytania, a otrzymując w zamian tylko donośne chrapanie, sam sobie udzielał odpowiedzi.

— Tak, mogłabyś stać się Magdaleną — mówił z głębokim przekonaniem — ale pozostaje nam kwestia natury teologicznej. Czy powinnaś przestać brać zapłatę za swoje usługi, czy też w ogóle zaprzestać usług? A jeśli z nich zrezygnujesz, to będziesz Magdaleną czy samarytanką? Czy rozpustnicą? Muszę poradzić się Pisma. — Tymczasem Hizzoner poradził się swojej brandy i zgubił

wątek.

Nau siedział przed szaląsem, samotny, popijając rum z cynowego kielicha. Obserwował zachowanie swoich kompanów, ale do niczego się nie wtrącał — nie reagował na podniesione głosy, obrzucanie się nawzajem przekleństwami, tłuczenie butelek. Najwyraźniej sama jego obecność wystarczyła do utrzymania pewnego porządku.

— A, to ty, skrybo, — powiedział na widok Beth i Maynarda. — Przybyłeś, by opisać upadek Rzymu? Rzadko zdarza się nam dzień wart takiej biesiady. — Dopiero teraz zauważył, że Maynard nie ma łańcucha. Zwrócił się ostro do Beth: — Gdzie jego smycz?

Beth pochyliliła się i wyszeptala mu coś do ucha, na co Nau uśmiechnął się, skinął głową i powiedział uprzejmie do Maynarda:

— Usiądź koło mnie, napijemy się.

Maynard położył rękę na ramieniu Beth.

— Co mu powiedziałaś?

— Tylko... — Beth odwróciła wzrok. — Tylko że już teraz możemy ci ufać.

Maynard usiadł. Nau napełnił i podsunął mu swój kielich.

— Mógłby być z ciebie pierwszorzędny kompan.

Maynard wypił. Za swoimi plecami, w szaląsie, usłyszał odgłosy klapsów, chichoty i wysoki głos piszczący:

— Ty hultaju!

Spojrzał pytająco na Nau.

— To Doktor się zabawia. — Nau zaśmiał się.

Usłyszeli rozdrażniony głos Windsora:

— Jesteś brzydkim złośliwcem i nie będę tego tolerował!

Z głębi szaląsu dobiegł kolejny odgłos klapsa, a potem głębokie westchnienie.

Nagle Nau poczuł coś złego wśród tłumu, jak gdyby przekroczona została niewidzialna linia. Ktoś wrzeszczał gniewnie. Rozlegały się odgłosy uderzeń i okrzyki bólu.

— Spokój! — rozkazał Nau.

Tłum uciszył się. Basco Tom stał i trzymał sztylet nad wystraszoną prostytutką.

— Zostaw ją, Basco!

— Zaraz ją potnę, l'Ollonois. Nie powstrzymasz mnie.

— Nie — powiedział Nau spokojnie. — Nie powstrzymam cię.

Tłum zamarł w oczekiwaniu.

Basco przygotował się do ciosu.

— Ale jeśli ją potniesz — kontynuował Nau — to pożegnasz się ze swoją ręką. Sam osobiście ją utnę. — Wstał i wyjął zza pasa nóż.

Basco zastygł w bezruchu.

— No, dalej — mówił Nau. — Potnij ją! Będzie cię to drogo kosztowało, ale jesteś człowiekiem, który zna wartość rzeczy. Jeśli pocięcie jest warte twojej ręki, to na co czekasz?

— Ona mnie obraziła — powiedział Basco.

Maynard zauważył, że napięte mięśnie pleców Nau rozluźniły się.

— Musiała to być wielka zniewaga.

— Tak było. — Basco oczekiwał od Nau zrozumienia. — Zaproponowałem dobrą cenę za oglądanie jej nago, a ona mi odmówiła.

Prostytutka również odczuła spadek napięcia, bo splunęła na piasek i krzyknęła:

— Dobrą cenę! Jeden śmierzący pocałunek i puszkę gruszek.

— To uczciwa cena! Nie miałem zamiaru cię dotykać!

— A co ja jestem? prostytutka czy obraz? Prawdziwy mężczyzna nie nasyci się patrzeniem!

— A co ty uważasz za uczciwą cenę? — zapytał Nau kobietę.

Podniosła się z ziemi i strzepnęła koszulę, gotowa do negocjacji.

— Cóż, zważywszy, że mój fach to nie jakieś tam pokazywanie, zaproponowałam mu zasnę ucztę.

A chciałam tylko...

— Tylko! — krzyknął Basco.

— Chciałam tylko jego ładniutki medalion — ciągnęła dalej prostytutka.

— Za dużo chcesz za samo patrzenie.

— Obiecałam ci więcej niż samo patrzenie.

— Jaki medalion? — zapytał Nau.

W jego głosie pojawił się nowy, ostry ton.

— Nic. To nic takiego. Nie miałem racji. — Basco przestraszył się. Głos mu drżał.

— Nie za wysoka cena — odezwała się prostytutka — taka mała, ładna rzecz...

— Jaki medalion? — Nau wyciągnął rękę.

Maynard zobaczył, że wytrącony z religijnej zadumy Hizzoner podnosi się na nogi.

— To taka błyskotka — powiedział Basco uśmiechając się blado. — Ozdóbka.

— Dasz mi to. — Ręka Nau ciągle była wyciągnięta.

— Oczywiście! — Basco zatrzymał się przy garnku z rumem i zanurzył w nim kubek. Ręka trzęsła mu się, gdy podnosił go do ust.

Staął przed Nau, sięgnął do kieszeni i zamarł.

Nau trzymał lufę pistoletu wycelowaną prosto w jego czoło.

— Nie ruszaj się. — Nau spojrział w bok. — Przeszukaj go, Hizzoner.

Hizzoner włożył rękę do kieszeni Basco i wyjął derringera z podwójną lufą.

— A więc to tak! — powiedział Nau.

— Medalion też tam jest! Przysięgam! — Teraz już Basco był przerażony.

— Jestem pewien. I to dobrze zabezpieczony.

Hizzoner znalazł błyskotkę i podał ją Nau. Nie był to medalion, tylko złoty egipski krzyżyk na złotym łańcuszku.

— Od jak dawna to masz?

— Od lat! To pamiątka. — Oczy Basco zezowały na lufę pistoletu.

— Od jak dawna to masz? — powtórzył Nau.

— Przysięgam..

— Od kiedy to masz? — Pytanie zadano po raz trzeci, jak nakazywała tradycja.

Basco dobrze wiedział, co teraz nastąpi. Pot zalał mu twarz.

Maynard przyglądał się Basco i wiedział, rzeczowo i beznamiętnie, bez szoku ani żalu, że ten człowiek już jest martwy. Cokolwiek Basco popełnił (Maynard typował kradzież), było haniebne samo w sobie, a Basco dodał jeszcze do swego występku kłamstwo i to trzykrotne. Maynard tak przywykł do rzezi, że ciekawiło go już tylko jak, a nie czy Basco zginie. Stwierdził też obojętnie, że kolejna część jego mózgu, albo jego człowieczeństwa, musiała zniknąć, bo nie dbał już nawet o własną obojętność.

— Wypijmy, l'Ollonois — powiedział Basco. — Bitwa...

— Zabrałeś to kobiecie — stwierdził Nau. — Dlatego cię ugryzła.

— Ja...

— Nie przyznał się nikomu — wtrącił Hizzoner.

— Zwykła błyskotka!

— Dorastaliśmy razem, Basco — powiedział Nau i nacisnął spust.

Szczyt głowy Basca eksplodował fontanną drobnych kawałków i ciało upadło na piasek jak odkorkowana butelka.

Nau zatknął pistolet za pas i rzucił krzyżyk prostytutce. Dwóch mężczyzn wywlekło ciało Basca z polany.

Powoli, mozolnie, jak lokomotywa parowa odjeżdżająca ze stacji, libacja nabierała z powrotem rozpędu.

Nau napełnił kielich, napił się i podał go Maynardowi.

— Co o tym napiszesz, skrybo?

— Jeszcze jedna śmierć. Za minutę może być następna. Tak właśnie to traktujesz, prawda? — Maynard wzruszył ramionami.

— Basco był moim przyjacielem.

— Przykro ci, że go zabiłeś?

— Będę za nim tęsknił, ale musiałem to zrobić.

— Tutaj nie ma przebaczenia, nawet dla przyjaciela.

— Nie ma. Wybaczenie jest słabością. Ze słabości powstaje rysa; rysa zmienia się w szczelinę, i wkrótce rodzi się bunt. Oczekiwali tego po mnie.

Maynard usłyszał kroki za plecami i głos Windsora mówiący:

— Słyszałem przenikliwe tony gniewu i śmiertelne ostrzeżenie.

Stał przed wejściem do szałasów i zapinał spodnie. Pod pachą trzymał opróżnioną do połowy butelkę szkockiej. Miał czerwoną twarz i błyszczące, szklane oczy. Tuż za nim wyszedł gibki, jasnowłosy pederasta. Upozował się w wejściu, zadowolony z siebie i narcystyczny.

— Basco odszedł do domu — powiedział Nau.

— Zbrodnia? — Windsor usiadł na piasku.

— Zgodnie z Paktem — wyjaśnił Hizzoner.

— Aha — kiwnął głową Windsor. — To nadzwyczaj poważne. — Pociągnął z butelki.

— Mógłbym się o niczym nie dowiedzieć — mówił Nau, a w jego głosie dźwięczała nuta żalu — gdyby nie ta przeklęta sprzeczka. — Machnął pogardliwie w stronę prostytutki, która zdjęła bluzkę i podziwiała, jak krzyżyk dokładnie mieści się między piersiami.

— Zginąć za takie coś? — Pederasta pociągnął nosem — O rany! Ten człowiek miał kiepski gust.

— Uspokój się, Nanny — rozkazał Windsor.

Prostyutka usłyszała, jeśli nie same słowa, to ton, oraz to, że były skierowane do niej.

— Powtórz to jeszcze raz, ty kapłonie — powiedziała wyzywająco.

— Słyszycie ją! — zareagował od razu. — Schowaj swoje smętne cycki, skarbie, zanim wykopią następny grób.

— Nanny... — ostrzegł Windsor.

— Hej, pulardo — zapięła prostytutka — czym wypchałeś sobie dziś woreczek? Mango?

Rozległy się śmiechy, głównie pozostałych prostitutek i pederasta spłonął rumieńcem.

— Patrzcie, jak to poczerwieniał — ciągnęła prostytutka. — Nadyma swój grzebień, ale taki z niego kogut jak zawsze.

— Założę się, że jego woreczek jest pełny jajek! — zawołała inna prostytutka.

— Tak, tak — zawtórowała trzecia — sam je znosi!



Przygnieciony zbiorowym atakiem, pederasta wybuchnął. Przeskoczył nad Windsorem, wrzeszcząc:

— Suko! — Wyprysnął na polanę i uderzył dziwkę Basco w twarz.

Zęby rozcięły wargę. Podniosła rękę, by zetrzeć krew z ust.

Pederasta śledził wzrokiem jej rękę, gotowy bronić się przed ciosem. Nie zwrócił jednak uwagi na drugą, zwiniętą w pięść z wyciągniętym kciukiem, którego długi paznokieć wbił mu się w pępek i drażył aż do kręgosłupa.

Krzyknął przeraźliwie i upadł na plecy, a ona rzuciła się na niego wbijając pozostałe paznokcie w jego wyskubane pachy.

Zamachnął się nogami. Kolanem uderzył ją w skroń i zrzucił z siebie. Teraz on był na niej i wgryzał się w piersi.

Tłum śmiał się i wiwatował. prostytutki były stronnice, ale pozostali neutralni; oklaskiwali każdy celny cios, każdą nową strużką krwi i przyjęli rykiem nieuprzedzonego entuzjazmu utratę zarówno sutka kobiety, jak i kawałka ucha pederasty.

— Martwisz się, Doktorze? — zapytał Nau. — Twój kwiatuszek traci swoje płatki.

— Jest dobrze rozwinięty — odparł Windsor. — Ona nie jest dla niego przeciwnikiem. — Z kieszeni marynarki wyjął pudełko z nabojami i położył je na piasku przed Nau. — Zakład?

Maynard rozpoznał pudełko: schował je w szufladzie komody w zajeździe.

Nau sięgnął do małego, skórzanego woreczka, który nosił na szyi, wyjął z niego kolczyk z szafirem i położył obok pudełka z nabojami.

Zauważywszy zdziwienie na twarzy Maynarda, Windsor wyjaśnił:

— Coś trzeba chować, inaczej nie byłoby gry. Ostatecznie i tak wszystko się wytrząsa.

Walka utknęła w martwym punkcie. Kończyny były splecione, zęby gryzły powietrze.

— Remis? — zapytał Hizzoner.

— Nie! — wykrzyknął głos z tłumu.

— Więc przerwicie to.

Jeden z mężczyzn chwiejnym krokiem wytoczył się na środek polany i wymierzył kopniaka w głowę pederasty.

Uchylając się przed ciosem, pederasta puścił jedną rękę prostytutki. Jej paznokcie podrapały mu twarz. Uwolnił się od niej, a ona skoczyła za nim. Odrzucił ją silnym ciosem w klatkę piersiową.

— Od jak dawna w tym uczestniczysz? — Maynard zapytał Windsora, podczas gdy dwa spocone, krwawiące ciała dalej tarzały się w piasku.

Windsor nie odrywał oczu od walczących.

— Od trzydziestu lat. Moja łódź zaczęła tonąć i przyplłynąłem do tego brzegu.

— Nie zabili cię?

— Nie złapali mnie. To ja zobaczyłem ich pierwszy. Już chciałem prosić ich o pomoc, ale coś, jakieś przecucie — myślę, że zawdzięczam to mojej wiedzy antropologicznej — powiedziało mi, że oni nie są z tych, co chętnie podejmują gości. Więc odpłynąłem.

— Jak to odpłynąłeś?

— Na świni. Zabiłem świnię, zatkałem zad i ryj i użyłem jako tratwy. Płynąłem na niej przez dwa dni, potem dopadły ją rekiny i przez następny dzień płynąłem wplaw. Wyłowili mnie miejscowa łódź.

— Ale kiedy tu przyplłynąłeś, jak to się stało, że nikt nie przyszedł?

— Zachowałem swoje opinie dla siebie; nie otwierałem ust.

— Co?

Walczący byli teraz na nogach. Krew spływała z ran na piersiach prostytutki i zadrapań na plecach i klatce piersiowej pederasty. prostytutka atakowała z krzykiem. Pederasta złapał ją za włosy, udaremniając atak. Szarpnęła się i pęk włosów został mu w ręku.

— Garść bólu, Nanny! — krzyknął Windsor. — Zuch z ciebie!

Prostytutka pochyliła się i zaatakowała znowu. Jej szpony zdarły z niego skórzaną przepaskę. Na piasek upadły dwie cytryny. Tłum wybuchnął rykiem śmiechu i gwizdami.

Rozwścieczony pederasta rzucił się dziko na prostytutkę, która tańczyła zwinnie dookoła niego, wskazując szyderczo jego małe, nie owłosione genitalia.

— Jest skończony — powiedział Nau.

— Nie. Patrz!

Trzymając się w bezpiecznej odległości od prostytutki, pederasta delikatnie wepchnął swoje jądra między pachwiny i ścisnął penis między nogami.

— Zniknęło! — Nau był zdumiony.

— Przyjrzyj się, jak Achilles ukrywa swoją piętę — roześmiał się Windsor.

Prostytutka przytrzymała pederastę, godząc w jego słabiznę. Windsor napił się i powiedział do Maynarda:

— Zafascynowali mnie. Mogli albo być jakąś egzotyczną sektą religijną i mieliby wtedy prawo do prywatności, albo, o czym nie śmiałem marzyć byli... no tym, czym są. Wiedziałem, co by się stało, gdybym powiadomił władze. W ciągu tygodnia przestaliby istnieć: żeby ocalić ich dla cywilizacji, trzeba by ich było całkowicie unicestwić, a oni by w tym czynnie pomagali, broniąc się do upadłego. Och, paru mogłoby przeżyć; dzieci do reedukcji. Byłyby teraz agentami ubezpieczeniowymi albo sprzedawcami, wolne jak wszyscy, wolne w kłopotach z pożyczką na samochód i paradentozą.

— Jak się do nich zbliżyłeś?

— Ostrożnie. Podchodziłem ich tak, jakbym podchodził Tasaday, Jirara lub jakąkolwiek inną anachroniczną społeczność. Stałem sobie na pełnym morzu i z przyływem przesyłałem im na brzeg różne rzeczy: rum, proch i — to było głupie z mojej strony, ale nie mogłem o tym wiedzieć — szklane koraliki i biżuterię. Zawsze wysyłałem również wiadomość, deklarując przyjaźń, wyjaśniając, że nie mam złych zamiarów i zapewniając, że nikt poza mną nie wie o ich istnieniu. Kiedy w końcu zgodzili się ze mną spotkać — Windsor ponownie się uśmiechnął — l'Ollonois powiedział mi, że przez ten rok doprowadziłem ich prawie do szaleństwa. Nigdy mnie nie widzieli, nie mogli mnie złapać. W końcu zgodzili się na rozmowę — uzbrojona łódź kontra druga uzbrojona łódź na pełnym morzu — tylko z obawy, że w końcu się zniechęcę i ich zdemaskuję.

Gwałtowna wściekłość wzbierała w piersi Maynarda. Było to silne i miłe dla niego uczucie.

— Czy wiesz, ile istnień ludzkich ten twój mały eksperyment, twoja fascynacja...

— E, tam! — Windsor zignorował zarzut. — Cywilizacja zagada się na śmierć, a ci ludzie będą żyć dalej. Wszystko tutaj jest zredukowane do najprostszej, podstawowej i niepodważalnej wartości: przeżyć. Moralność, polityka, filozofia, wszystko zmierza do tego jednego celu. Jest to więc jedyny cel, do którego warto dążyć.

— Przeżyć, żeby co?

— Przeżyć, żeby żyć. Nigdy nie zapominaj, pismaku, że pod tym wszystkim człowiek jest zwierzęciem. Cywilizacja jest jego futrem. Ci ludzie tutaj są nadzy; są prawdziwi w swojej prawdziwej naturze.

Spojrzał na Maynarda, ale zaraz odwrócił głowę w stronę dwojga walczących. Pederasta wydał z siebie przeciągły jęk bólu.

Leżał na plecach, zwinięty w kłębek, przyciskając dłonie do zakrwawionego krocza. prostytutka pochylała się nad nim. Paznokciami do żywego mięsa rozdrapywała mu gardło.

Popatrzył na Windsora i błagalnie wyciągnął rękę.

— Doktorze? — odezwał się Nau — On jest twój.

— Teraz już nie jest ładny. — Windsor skrzywił się na to dzieło zniszczenia. Pokręcił głową i odwrócił się.

Szpony prostytutki zdławiły rozpaczliwy krzyk pederasty.

Maynard poczuł kulę rosnącą mu w gardle.

Poraniona i zmaltretowana prostytutka paradowała triumfalnie naokoło polany, wymachując nad głową skórzaną przepaską pederasty, szczerząc zęby w podzięcie za uznanie tłumu.

Patrząc na odciągane na bok ciało pederasty, Maynard odezwał się do Nau.

— Kosztowne przyjęcie.

— Dwóch to kosztowne? — zdziwił się Nau. — Nie. Wiele bitew kosztuje więcej.

Maynard nie zauważył, kiedy Beth opuściła polanę, i teraz drgnął, ujrzawszy, jak wylania się z mroku i wychodzi na środek równym, odmierzonym krokiem. Przebrała się w czystą, białą, płócienną szatę, natarła tłuszczem skórę i włosy. Wyglądała dziewiczo i skromnie. Stała cicho obok garnka z rumem, ze złożonymi rękami i spuszczonej oczyma.

— Cisza! — zawołał Nau. — Uspokójcie się. prostytutka usiadła i hałasy w tłumie ustały.

— Goody Sansdents chce wam coś wyznać.

Beath podniosła oczy i powiedziała:

— Nie jestem już Goody Sansdents. Noszę w sobie dziecko Maynarda.

Tłum zawył z uznaniem.

— Wykonałeś swoje zadanie. — Nau skłonił się Maynardowi.

Palce Maynarda dotknęły poranionej skóry na szyi. Teraz już wiedział, skąd się wziął smutek i czułość w zachowaniu Beth, dlaczego Nau pozwolił na zdjęcie łańcucha i z jakiego powodu nagle stał się godny zaufania.

— Twoja podróż dobiegła końca. Teraz odpocznij. Jedz, pij i używaj sobie! — Hizzoner poklepał go po ramieniu. Z przyzwyczajenia dodał: — Łukasz 12,19.

Windsor podjął wątek:

— Nierozumny człowieku, jeszcze tej nocy życie będzie ci zabrane! Łukasz 12;20.

— Bóg jest w niebie — odpowiedział Hizzoner — a ty na ziemi: przeto niech słów twoich będzie niewiele, Księga Eklezjasty 5;2.

— Kiedy? — zapytał Maynard obojętnie.

— Jutro — odparł Nau.

— Dzień Pański — Hizzoner kiwnął głową — to dobry dzień na śmierć, bowiem On odpoczywa i czeka, by cię przywitać.

— Jak?

— Szybko — wyjaśnił Nau. — Wedle twego wyboru, bo to zabieg chirurgiczny, a nie kara. Ale na razie — podał Maynardowi kielich — świętuj razem z nami.

Maynard umoczył usta, ale nie mógł pić. Wizje pomysłowych, nieprawdopodobnych sposobów ucieczki przelatywały mu przez głowę i chociaż wiedział, że realnie nie ma dla niego żadnej nadziei, to nie miał ochoty ogłaszać całkowitej kapitulacji upijając się do nieprzytomności, którą śmierć tylko by pogłębiła. Poza tym, w jednej rzeczy przyznawał im rację: śmierć mogła być przygodą i nie było sensu zaczynać jej od upadku.

Napełniono garnek z rumem, podgrzano i całe towarzystwo zabrało się do picia tak ochoczo,

jakby odznaczenie czekało na tego, który pierwszy straci przytomność.

Hizzoner otworzył nową butelkę brandy i udał się pod swój pień, siarczystym kłapsem w siedzenie obudził śpiącą prostytutkę i wdał się w kolejny dyskurs na tematy religijne.

Windsor leżał na plecach przyssany do swojej butelki szkockiej i kontemplował gwiazdy.

Beth napełniła gliniany dzbanek rumem i usiadła na ziemi, od czasu do czasu głaszcząc się po brzuchu i uśmiechając pod nosem. Unikała wzroku Maynarda, być może nie chcąc psuć sobie marzeń o przyszłości przypomnieniem, że Maynard, który jej tę przyszłość dał, sam nie ma przed sobą żadnej.

Nau pił nieco mniej pośpiesznie niż pozostali i co chwila spoglądał w ciemność.

— Czekasz na kogoś? — zapytał Maynard.

— Tak. Na uwieńczenie szczęśliwego dnia.

W chwilę później na ścieżce rozległy się kroki stóp. Odwrócili głowy i zobaczyli wchodzących na polanę chłopców.

Pierwszy szedł Manuel. Miał na sobie białą koszulę i czyste, białe spodnie, a na szyi złotą monetę na złotym łańcuchu.

Idący za Manuelem Justin wyglądał jak królewicz. Ubrany był w lawendowy aksamitny kubrak, białe, satynowe spodnie do kolan, jedwabne rajtuzy i czarne, skórzane buty ze srebrnymi sprzączkami. Za pasem miał zatknięty sztylet z rękojeścią z kości słoniowej. Na małym palcu każdej ręki błyszczał pierścień ze szmaragdem. Wyglądałby bardzo stylowo, gdyby nie futerał z rewolwerem zwisający pod lewą ręką. Włosy miał gładko zaczesane i związane w kitkę, do której przyczepiony był warkoczyk ze wstążką. Poruszał się również z królewską godnością: niósł głowę wysoko, a kiedy przechodził przez polanę, nie patrzył na nikogo prócz Nau.

— Słuchajcie! — odezwał się Nau. Ucichły rozmowy, słysząc było tylko odgłosy chrapania i kogoś wymiotującego w pobliskich krzakach. — Miałem kiedyś syna, ale on zginął. — Nau był bardziej pijany niż przypuszczał Maynard: głowę miał ciężką i chwiał się za każdym razem, gdy ją pochylał, nie mogąc ustać w miejscu. — Wziąłbym za syna tego — klepnął ręką ramię Manuela — ale on ma w sobie mieszaninę krwi portugalskiej i kto wie, jakiej jeszcze, więc, jeśli to on miałby rządzić, osiągnie to przez zwycięstwo nad tym — drugą ręką klepnął ramię Justina — którego teraz biorę za syna, by dzielił ze mną brzemień obowiązków, korzyści i... — zapomniał, co chciał powiedzieć — i resztę. — Zatoczył się i oparł na chłopcach. — Przepowiadam wam dzień, w którym ten oto Manuel i ten oto Tue-Barbe zmierzą się w walce o władzę. Który zwycięży? Lepszy, i tak być powinno, bowiem panować musi silniejszy.

Hizzoner, nieproszony, przemówił ze swojego miejsca przy pniu drzewa:

— Jedno pokolenie przeminie, następne nastanie, ale ziemia trwać będzie wiecznie.

— Dobrze powiedziane. — Nau wyjął ze swojego woreczka wisior na złotym łańcuchu, grubszym niż ten, który nosił Manuel, i zawiesił Justinowi na szyi.

Zadufany uśmiezek Justina wyrażał kabotyńskie noblesse oblige.

Ty nieznośny mały szyderco — pomyślał Maynard i musiał powstrzymać się, by nie skoczyć na nogi i w ostatnim przedśmiertelnym geście nie dać swemu dziecku w twarz.

— Poza tym już najwyższy czas — powiedział Nau, biorąc Justina za rękę — żebyś stał się mężczyzną. — Poprowadził chłopca wśród drzemiących na ziemi ciał, zatrzymując się co chwilę to tu, to tam, żeby sprawdzić fizjonomię lub pomacać uda którejś z prostitutek. — Tutaj — powiedział w końcu i szturchnął nogą śpiącą kobietę. — Wstawaj, damo. Mam dla ciebie robotę.

Prostytutka poruszyła się i zakaszła.

— Weź tego chłopca i naucz go używać jego oręza.

— Jutro rano byłabym bardziej rześka. — Prychając, plując i utyskując pod nosem, kobieta z wysiłkiem gramoliła się na nogi.

— A ja ci mówię, że masz być rześka teraz.

— Chodź, mały. — prostytutka wzięła Justina za rękę.

— Pamiętaj, masz zrobić z niego mężczyznę. — Nau zwrócił się do Manuela: — Idź z nimi. Ta locha jeszcze gotowa usnąć, zanim spełni swój obowiązek.

Mijając Maynarda, Manuel rzucił mu spojrzenie, z którego wynikało, że dopóki on, Manuel, żyje, Justin nigdy nie zdobędzie władzy.

\*

Jedni po drugich zapadali w sen. Najpierw Beth, która padła po wysuszeniu ostatnich kropli ze swojego glinianego dzbanka. Potem Windsor, któremu pusta butelka wyslizgnęła się z rąk i teraz leżała na piersi. Hizzoner po raz kolejny rozpoczął swe rozważania na temat Królestwa Niebieskiego, które po chwili utonęły w głośnym chrapaniu. I w końcu sam Nau, który usiłował wczłogać się do szałas, ale usnął w trakcie i leżał z nogami na zewnątrz.

Maynard nasłuchiwał, czy ktoś się nie budzi, ale wszyscy spali głęboko.

Był sam, wolny. Mógłby opuścić polanę, udać się do zatoczki, wziąć łódź i odpłynąć. Nie. Przy łodziach na pewno jest straż. Mógłby więc zrobić tratwę i na niej odpłynąć. Coś jednak nie grało; to było zbyt proste. A może oni chcieli, żeby odpłynął, może myśleli, w jakiejś przewrotnej troskliwości, że będzie to uprzejmość z ich strony, jeśli pozwolą mu odpłynąć i utonąć. Przecież powiedzieli, że będzie mógł wybrać rodzaj śmierci. Nie. Nie mogli sobie pozwolić na ryzyko, że przeżyje. To było możliwe. Windsor przeżył.

I jeszcze coś. Może wiedzieli, że nie odpłynąłby bez Justina. Ale co mogłoby go powstrzymać przed zabranie Justina? Nie prostytutka. Manuel? Może, ale Manuela mógłby zaskoczyć i szybko uciszyć. A może sądzili, że nie mógłby zabić Manuela? Liczyli na to, że powstrzymają go jego zasady etyczne? Miał nadzieję, że tak było. Przyjemnie byłoby pokazać, jak dobrze go tutaj zepsuli.

Wzięłby Justina i poszliby do zatoczki. Gdyby udało mu się zabić strażnika i wziąć łódź, odpłynęliby; jeśli nie, poszliby na najdalszy koniec wyspy i zrobili tratwę, nieważne z czego, i popłynęliby z prądem. Maynard żałował, że nie potrafi odczytywać czasu z gwiazd; warto by było wiedzieć, ile czasu zostało jeszcze do świtu, zanim odkryją zniknięcie i ruszą w pościg.

Podczołgał się na skraj polany, pod krzak, na którym wisiały spodnie Jack—Bata. Wyjął nóż z futerału przymocowanego do pasa.

Starał się iść po cichu, ostrożnie omijając suche, trzeszczące gałęzie. Zmierzał w kierunku polany prostytutek. Po drodze przystanął na chwilę i uciął długie pnącze winorośli, żeby móc użyć go jako garoty (jeśli nie da się w inny sposób ujarzmić Manuela) albo do związania, bądź Manuela, bądź strażnika przy pinasach.

Minął zakręt na ścieżce i ujrzał chaty prostytutek. Zatrzymał się i wstrzymał oddech, wypatrując w ciemnościach sylwetki Manuela. Polana była pusta, a chaty ciche i ciemne.

Podbiegł do najbliższej i przystanął na zewnątrz, nasłuchując. Była pusta, tak samo jak druga i trzecia. Podkradł się do czwartej. Za ścianą usłyszał ciężki oddech i rozniewany głos Justina:

— No co? I co teraz? W odpowiedzi rozległo się chrapanie.

Maynard usłyszał trzask ładowanej broni i głos Justina, grożący:

— No, obudź się, do diabła! Bo ci łeb odstrzelę!

Maynarda zaszokowała zimna stanowczość brzmiąca w głosie syna, ale nie miał czasu na

kontemplację: nie mógł pozwolić, by w nocnej ciszy eksplodował nabój. Szarpnął zasłonę w drzwiach i wpadł do środka, sięgając do ręki Justina.

Kiedy rzucił się i wytrącał pistolet, zarejestrował niewyraźny kontur nagiego tyłka syna umieszczony między jędrnymi udami chrapiącej, nieruchomej prostytutki.

— Co?! — wrzasnął Justin. — Kto...?!

— Cśś! To ja! — Maynard położył palec na ustach.

— Co ty tu robisz? — Justin nawet nie próbował ściszyć głosu. W głosie chłopca Maynard odczytał zmieszanie, ale i obrazę. prostytutka poruszyła się.

— Cśś! Chodźmy!

— Co takiego? Jeśli myślisz...

W wejściu stanęła jakaś postać, pograżając wewnątrz chaty w całkowitej ciemności. Ktoś odepchnął Maynarda i wydarł mu z ręki pnącze winorośli. Usłyszał, że Justin próbuje krzyczeć, ale coś go zatyka i dławi, a potem ciało chłopca osunęło się na ziemię.

Manuel, ciężko dysząc, uklęknął obok Justina i usunął winorośl z jego szyi.

— Co...?

— Podnieś go — rozkazał Maynardowi — i idź za mną.

— Co mu zrobiłeś?

— Będzie spał, ale niedługo.

— Przeraziłeś go.

— Robił za dużo hałasu.

Manuel znalazł płócienną bieliznę prostytutki, oddarł lamówkę i przewiązał Justinowi usta.

— Nie musisz tego robić — powiedział Maynard — przecież on...

— Mów sobie, co chcesz. Ja nie będę ryzykował. Weź go!

Maynard posłuchał. Justin był ciężki i bezwładny niczym worek pomarańcz, ale dość lekki na to, by bez trudu nieść go na ramieniu.

— Chodźmy stąd, kolego — wymruczał Maynard. — Tatuś zabierze cię do domu.

Maynard podążał za Manuelem ciemnymi, krętymi ścieżkami, ufając mu, głównie dlatego, że nie miał wyboru, a poza tym motyw Manuela był oczywisty, egoistyczny i przez to wiarygodny: czysta ambicja, pozbawiona wszelkich zahamowań. Im wcześniej i prościej zostanie wyeliminowane współzawodnictwo, tym łatwiej Manuel zdobędzie przywództwo po l'Ollonoisie.

Kiedy znaleźli się na plaży, Manuel bez wahania ruszył prosto w stronę pinas. Kazał Maynardowi włożyć Justina do najbliższej łodzi.

Justin miał zamknięte oczy, ale oddychał regularnie.

— Nie ma nikogo na straży? — wyszeptał Maynard.

Manuel wskazał na ciemny kształt, leżący z rozłożonymi rękami na piasku.

— Zabiłeś go?

— Ty go zabiłeś — powiedział Manuel. — Jeśli coś pójdzie nie tak, wszystko będzie na ciebie. Ty zabiłeś strażnika, wykradłeś Justina i walnąłeś mnie w głowę. Znajdą mnie w chacie prostytutki. Będę się skręcał z bólu.

— Nieźle. — Maynard zaparł się nogami, żeby zepchnąć pinasę na wodę. Wtedy stwierdził, że choć była otaklowana i ożaglowana, to brakowało w niej wiosła. — Będę potrzebował wiosła. Bez nich nie wydam się stąd aż do świtu.

— Dobrze — zgodził się Manuel i pobiegł w kierunku szałas, w którym przechowywano wiosła.

Maynard odszedł kilka kroków od łodzi, chcąc wyjść naprzeciw Manuelowi.

W jednej chwili Justin był na nogach i puścił się pędem w stronę zarośli.

Usłyszawszy hałas, Maynard odwrócił się i krzyknął rozpaczliwie:

— Justin! — Wykonał kilka dzikich susów i nagle stanął.

Zobaczył zerwaną z ust szmatę i usłyszał krzyk Tue-Barbe:

— Alarm! Alarm! Alarm! Alarm!

Krzyk odbijał się echem w zatoczce.

Manuel, tak jak uprzedzał, rzucił się szukać schronienia. Mijając Maynarda zatrzymał się, by powiedzieć:

— Ty durniu!

— Myślałem... — z rozpaczyny nie mógł znaleźć słów.

— Płyn sam.

Maynard spojrział w niebo i nic nie odpowiedział.

— Jeśli zostajesz, to lepiej weź nóż i wbij go sobie w brzuch. Cokolwiek ze sobą zrobisz, będzie lepsze, niż kiedy my się do ciebie dobierzemy.

Maynard stał i patrzył za Manuelem, dopóki chłopiec nie zniknął w ciemnościach. Potem, wciąż niepewny i zmieszany, ale nagle pełen lęku o własne życie, podniósł parę wiosł, wrzucił je do pinasy i zepchnął łódź na wodę. Kiedy wziął pierwszy zakręt w zatoczce i schował się za falochronem, usłyszał dalekie głosy. Pochylił się nad wiosłami, ciągnąc je z desperacką siłą.

Wyłynął na otwarte morze i zauważył światło latarki, tańczące ponad jego głową, na zewnętrznym falochronie. Wiosłował jeszcze około pięćdziesięciu metrów na północ, a potem wziął drugi zakręt, kryjąc się przed szukającymi go światłami.

Głosy stały się donośniejsze, bardziej wyraźne. Byli już w zatoczce.

Podniósł żagiel. Wiał rzeński, południowo-wschodni wiatr, pchając łódź na północny zachód, na głębokie wody. Tak długo, jak by się on utrzymał, mógł mieć nadzieję na utrzymanie swojej przewagi.

Mała pinasa sunęła szybko po wodzie; niewielkie fale uderzały o drewniane płamki dziobu. Wybrał żagiel. Łódź przechyliła się i uderzenia fal o dziób stały się ostrzejsze, bardziej natarczywe.

Nagle łódź zaczęła ryc dziobem w wodę. Jakby utraciła swą lekkość. Fale nie odbijały się już od dziobu; rozchlapywały się leniwie. Z ciemności dobiegło bulgotanie.

Maynard zaknagował szot i użył jego końca do przywiązania rumpla. Na kolanach posuwał się w stronę dziobu, czuł, że łódź bierze wodę. Po omacku szukał przecieku; gdyby dziura nie była zbyt duża, mógłby ją zatkać, wybrać wodę i żeglować dalej.

Spróbował pomacać pod ławką dziobową i poczuł przyływ wody. Między płamkami były szpary, wszędzie. Cofnął rękę. Palce miał lepkie. Przytknął rękę do nosa: melasa.

Manuel pomyślał o wszystkim. Usunął uszczelnienie z dziobu i zastąpił je melasą. Nawet gdyby Justin nie uciekł i nie podniósł alarmu, nawet gdyby Maynard nie był ścigany, pinasa z pewnością zatonełaby, z wiatrem i pływem pchającymi ją na otwarty ocean.

Maynard spojrział w stronę wyspy: pośród bezksiężycowej nocy mógł dojrzeć jedynie blade pasmo plaży. Wyskoczył za burtę i popłynął w kierunku brzegu.

Michael Florio stał na mostku kutra New Hope, będącego własnością Straży Wybrzeża, piastując w ręku filiżankę kawy spoglądał ze znużeniem na dzieci tłoczące się w porcie już od świtu, żeby gapić się na tę wielką maszynę wojenną, która nocą przyплыła do South Caicos.

Florio był zmęczony i rozdrażniony; zmęczony, ponieważ prawie nie spał od czasu opuszczenia Florydy przed dwoma dniami; rozdrażniony, bo był przekonany, że całe ich zadanie to robota głupiego.

Nie było powodu przypuszczać, że Brendan Trask jest w niebezpieczeństwie. Co prawda od kilku dni nie było od niego żadnych wiadomości, ale jego milczenie nie było jeszcze powodem do wszczynania alarmu: znajdował się na pokładzie potężnego, nowoczesnie wyposażonego, pełnomorskiego żaglowca z doświadczoną załogą, a poza tym sam podał do wiadomości publicznej, że nie ma zamiaru z nikim się kontaktować. Nie trzymał się pierwotnego planu żeglugi, ale tę zasadę z reguły częściej łamano, niż przestrzegano.

Pogoda była ładna. Nie sygnalizowano żadnych większych sztormów, ani nawet częstych tutaj, krótkotrwałych, lecz gwałtownych burz, które mogły ewentualnie zagłuszyć lub zniekształcić sygnały alarmowe nadawane przez radio. A nawet gdyby łódź zatonała, to do tej pory na pewno mieliby o niej wieści, ponieważ, nie licząc pontonu, ciągnęła za rufą szalupę i miała zamocowane na pokładzie automatycznie spuszczone samonadmuchujące tratwy

ratunkowe. Wszystkie łodzie pomocnicze wyposażone były w nadajniki dużej mocy, które emitowały jednoznaczne pulsujące sygnały na morskich i lotniczych częstotliwościach ratowniczych.

Świat jednak najwyraźniej nie miał ochoty uwierzyć w odejście Traska. To, co mówił w telewizji dotychczas, było powszechnie akceptowane, lecz kiedy oświadczył, że nie chce w niej już więcej występować, dopatrywano się jakiegoś ukrytego motywu. Nie można było przecież pozwolić mu na ucieczkę bez wyjaśnienia albo przynajmniej bez świadków, chwytających jego słowa i opisujących zmiernych jego nadzwyczajnej kariery. Tak jakby publiczność i środki masowego przekazu uważały, że ponieważ to one zrobiły z niego gwiazdę, tylko one mają prawo decydować, kiedy Trask może zniknąć z firmamentu.

Tak więc gdy mijały dni bez znaku życia od Najbardziej Wiarygodnego Człowieka w Ameryce, zakochana w intrygach i spragniona melodramatów publika domagała się dowodów na to, że Trask żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Jedna nie potwierdzona pogłoska zmieniła stosunek opinii publicznej do jego podróży: to co zaczęło się jako rejs morski, teraz stało się katastrofą.

Chcą przeciwnych wieści, pomyślał Florio. Pragną nagłówek informujących: Trask ma się dobrze. To tak jakby nagłówki mówiły: Dziś żadnej katastrofy lotniczej albo Tiffany nie obrabowany.

Ktoś z wydawnictwa Today zawiadomił kongresmanów, że jeden z ich wysłanników widział z pokładu samolotu dużą łódź żaglową i nie mógł stwierdzić z całą pewnością, że nie była to łódź Traska. Kongresmani powiadomili Pentagon. Potem ktoś z sieci telewizyjnej, kto ciągle miał nadzieję, że uda się wynegocjować powrót Traska na antenę, zawiadomił Ministerstwo Obrony.

Jeden z przyjaciół zaalarmował Floria o 2.30 nad ranem, a on natychmiast zadzwonił do swojego dowódcy i zgłosił się na ochotnika do prowadzenia poszukiwań. Argumentował, że jest jedynym oficerem, który posiada zarówno doświadczenie morskie, jak i aktualną wiedzę o zaginięciach łodzi,



i prośba została rozpatrzona pozytywnie. Teraz jednak, po czterdziestu ośmiu godzinach bezowocnych poszukiwań, miał już tylko ochotę przebrać się i zasnąć.

Kapitan New Hope, młody porucznik imieniem Mould, wszedł na mostek i stanął obok Florio, wdychając głęboko chłodne, poranne powietrze.

— Wyglądasz okropnie — stwierdził Florio.

— Ten przeklęty facet od dźwięku znowu to zrobił. Rany boskie, w porcie! I jeszcze w to wlaź.

Sieć telewizyjna poruszyła wszystkie struny i w końcu otrzymała pozwolenie na wysłanie swojej ekipy celem sfilmowania poszukiwań zaginionego idola. Korespondent, Dave Kempe, był schludnym nowojorczykiem w sportowym ubraniu. Trzej pozostali członkowie ekipy, na skutek jakichś tajemniczych ustaleń związku zawodowego, rekrutowali się z Atlanty. Żaden z nich nie był na morzu. Ulubionym zajęciem kamerzysty było chodzenie po górach, operator światła hodował pszczoły, a powołaniem dźwiękowca była hipochondria.

Był on niskim, pulchnym i mocno wyłysiałym mężczyzną pod sześćdziesiątkę. Według jego własnych wyliczeń trapiły go żylaki, ischias, wzdęcia, angina pectoris, nagminne zapalenia zatok i, jak sam to nazwał, nerwy. Trudno było powiedzieć, które z tych dolegliwości były urojone, ale od wypłynięcia z Florydy do tej listy dołączył jeszcze chorobę morską. I jak gdyby chcąc zmusić pozostałych do dzielenia z nim niedoli, odmawiał wychodzenia na zewnątrz, nawet gdy wymiotował.

— Nie weźmie tabletki — ciągnął Mould — bo mówi, że to mogłoby kolidować z innymi jego lekarami.

— Dlaczego nie odeślesz go z powrotem? Facet, który przywozi wodę, mógłby go zabrać samolotem.

— Mówi, że nie pojedzie. Nie chce stracić nadgodzin.

— Przeklęty gnojek, jeszcze coś spaprze. — Florio pokręcił głową.

Z przodu, na dziobie, dwóch marynarzy polewało wodą pokład, rozpoczynając poranny klar na łodzi. Trzeci zdjął płócienny pokrowiec z pistoletu maszynowego kaliber 50 ustawionego przed mostkiem i czyścił go naoliwioną szmatą.

— Kiedy to ostatni raz strzelało? — Florio popatrzył na działo.

Mould wahał się chwilę z odpowiedzią.

— Nie pod moim dowództwem.

— Chrzanisz, poruczniku — uśmiechnął się Florio. — Latające ryby są zbyt kuszącym celem, by mijać je obojętnie.

Marynarz czyszczący karabin wyszczerzył zęby.

— Cóż... — Mould zaczerwienił się.

Na nabrzeżu zatrzymała się cieknąca, rozklekotana cysterna. Kierowca wysiadł i podał gumowy wąż stojącemu obok marynarzowi.

Z drugiej strony ciężarówki wynurzył się policjant z papierami w ręku. Był zaspany, zmięty i silił się na urzędowość. Zajrzał w papiery, odchrząknął i zawołał w stronę mostka:

— Cel wizyty?

— Woda — odpowiedział Mould. — Słyszałeś coś o...

— Broń?

— Co?

— Macie broń?

Mould wymienił spojrzenia z marynarzem, który kontynuował oliwienie karabinu. — Hmm, widzisz, przyjacielu...

— Cała broń musi być złożona w składzie celnym w obecności policjanta.

— Będziemy tu jeszcze tylko przez dziesięć minut.

— Mogę nakazać przeszukanie statku.

— Naprawdę?

— Macie broń?

Mould spojrział na Floria.

— Nie.

— Świetnie. Narkotyki, leki na recepty?

— Dużo jeszcze masz pytań?

— W sumie dwadzieścia. Mogę nakazać konfiskatę statku.

Mould wyszeptał do Floria:

— Zaraz mu powiem, żeby się odpieprzył.

— Nie radzę — skwitował Florio. — Pewnego dnia, Bóg jeden wie jak, dotrze to do Waszyngtonu i jakiś wróg, o którym nawet nie wiesz, że go masz, znajdzie sposób, żeby cię z pomocą tego wykopać. — Rozległ się dźwięk brzęczyka. — Gadaj z nim. Ja od biorę.

Florio przeszedł na przednią część mostka, przycisnął guzik interkomu i powiedział:

— Mostek.

— Dostałem bombową wiadomość z Miami — odezwał się głos radiooperatora. — Trask właśnie przyplłynął do Annapolis.

— Annapolis?

— Prądnica mu wysiadła. Na Bahamach powiedzieli mu, że naprawa potrwa miesiąc. Wykalkulował sobie, że prędzej będzie w domu.

— W porządku. Dzięki — roześmiał się Florio.

Kiedy załadowano wodę, zapłacono i statek był gotowy do dalszej drogi, Florio zapytał policjanta:

— Widziałeś może gdzieś tutaj Amerykanina, chudego faceta z dzieckiem.

— Ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają. Był na łodzi?

— Nie. Przyleciał samolotem, a samolot się rozbił.

— To musiało być dawno temu.

Mould popatrzył na mapę wysp Turks i Caicos.

— Naprawdę muszę płynąć najpierw na południe, zanim będę mógł zawrócić na północ? — zapytał policjanta.

— Jakie masz zanurzenie?

— Trzy metry.

— Człowieku, jeśli będziesz chciał z takim zanurzeniem przepłynąć przez te płycizny, utkniesz tam na zawsze. Tam jest najwyżej dwa metry i to podczas przypląwu, i nie znajdziesz nikogo, kto by cię stamtąd ściągnął. — Policjant zachichotał.

New Hope opuścił port i skierował się na południe, wzdłuż granicy Caicos Banks.

— Kiedy będę na emeryturze — postanowił Florio — to wezmę łódź, przypląnę tutaj i spędzę lato na poszukiwaniu wraków. Te płycizny muszą być załadowane Hiszpanami.

— Czy to właśnie robił ten facet? — zapytał Mould.

— Jaki facet?

— No ten, o którego pytałeś, z dzieckiem.

— Nie, on tu przyjechał, żeby napisać artykuł dla Today i... puff! Zniknął.

— Today! Całe szczęście. To jeden z tych drani, który wpakował nas w tę pieprzoną przejażdżkę.

Maynard leżał na wpeł zagrzebany w kurzu i zaroślach na szczycie wzgórza, z którego mógł obserwować zatoczkę. Zakradł się tam w ciemności i schował w krzakach, gdy tylko słońce zaczęło wschodzić nad horyzontem. Było to może ryzykowne z jego strony, ukrywanie się tak blisko prześladowców, ale doszedł do wniosku, że ukrywać się z dala od nich byłoby samobójstwem. Nie wiedziałby wtedy jak, kiedy i gdzie zamierzają go szukać; schwytanie go byłoby

nieuniknione. Nie mógł więc czekać. Musiał mieć oczy i uszy otwarte, poznać ich plany, żeby ukrywać się do czasu, gdy będzie mógł zdecydować, jak złapać i zniewolić Justina, jak wykraść łódź (tym razem bez pomocy Manuela), jak uciec z taką przewagą, żeby nie mogli go złapać, jak... Pytania ciągnęły się w nieskończoność, odpowiedzi brakło, ale ufał, że mając dość czasu, mógłby wymyślić jakiś plan.

Na razie jego największą nadzieją było to, że uznają go za martwego.

Nie było wiatru. Robactwo było dokuczliwe od samego świtu, a wraz z narastającym upałem stawało się coraz bardziej okrutne. Maynard zerwał trochę jagód w zaroślach nad swoją głową i zgniół je na papkę, którą posmarował sobie twarz. Nie wiedział, co takiego było w tych jagodach, poza cukrem, oczywiście, ale pasta skutecznie chroniła skórę przed maleńkimi komarami. Obserwował zatoczkę i nasłuchiwał.

Nau, Windsor i chłopcy czekali w zatoczce na pinasę, którą Jack-Bat i Rollo podpływali właśnie do brzegu. Na pokładzie mieli maszt i żagiel z pinasy porzuconej przez Maynarda.

— Uciekłby — powiedział Jack-Bat, kiedy dobili do plaży — udałoby mu się, gdyby łódź nie zatonała.

— Gdzie jest? — zapytał Nau.

— Nie widziałem go. Myślę, że wyskoczył za burtę i poszedł na dno.

— W ogóle go nie widzieliście? — zapytał Windsor.

— Nie. Ciemno było jak w świńskiej dupie. Ale szukaliśmy go, kiedy się rozjaśniło. Przepadł jak kamień w wodę.

— To znaczy, że już po nim. — Nau był zadowolony.

— Nie! — krzyknął Windsor. — Jest tutaj!

Maynard zobaczył, jak Windsor puknął palcem w ziemię, a potem machnął ręką w kierunku wzgórza. Odruchowo schował głowę, jakby unikając superczułego detektora w dłoni Windsora.

Nie wierz w to, pomyślał Maynard. Dlaczego miałbym tu wracać?

— Po co miałby tu wracać? — zapytał Nau. — Nie był szaleńcem; nie szukał bólu.

— Masz jego dziecko — przypomniał mu Windsor.

Nau rozmyślał przez chwilę. Położył rękę na ramieniu Justina.

— To nie jest już jego dziecko; on wiedział o tym. To jest Tue-Barbe.

Justin uśmiechnął się i powtórzył:

— Tue-Barbe.

— Nas jest wielu — mówił dalej Nau — a on jest jeden, słaby i...

— I wróg. Musisz go znaleźć i zabić.

— Ty jesteś zwolniony — powiedział Nau do Justina.

— Nie — odpowiedział Justin — mogę go ścigać.

Maynard słyszał, co mówił Justin, i przez sekundę żałował, że wrócił na wyspę tylko po to, żeby być ściganym i zabitym przez własne dziecko. Po chwili jednak odpędził złość; dopóki żyje, nigdy

nie pogodzi się z utratą syna.

— W porządku, Doktorze — zdecydował Nau. — Zbierzemy całą kompanię i przetrząśniemy wyspę. Zaczniemy od skał za wzgórzem — wskazał prosto na Maynarda — i przeczeszemy wszystko. Jeśli rzeczywiście tu jest, znajdziemy go, nawet gdyby z pomocą magicznych sztuczek zmniejszył się do rozmiarów nowo narodzonego prosięcia.

Nau rozkazał Rollowi zostać przy łodziach i razem z Windsorem i chłopcami odszedł w głąb wyspy.

Po chwili Maynard usłyszał głuchy dźwięk rogu, zwołujący wszystkich. Jego plan, jakikolwiek będzie, musi poczekać: teraz trzeba uciekać, ukryć się, nie dać się złapać. Nie mogą przecież przeszukać całej wyspy. Musi być gdzieś jakaś nora, rów albo wierzchołek drzewa, który przeoczą.

Słyszał kroki i głosy zmierzające w kierunku północnego krańca wyspy, gdzie wyszedł na brzeg. Czekał, aż głosy ucichną, potem wygrzebał się i otrzepał z piasku. Poczołgał się w dół po zboczu, potem wstał i pobiegł na południe. Ciągle jeszcze miał przy sobie nóż Jack-Bata i biegnąc ścisnął go w rękę.

Poszukujący go ludzie byli wprawni i skrupulatni. Przeczesywali wyspę bardzo dokładnie, niczego nie pomijając. Szli w szeregu, jeden obok drugiego, rozciągnięci na całej szerokości wyspy. Swoje tempo dostosowywali do najwolniejszego: jeśli któryś z nich musiał stanąć, by potrząsnąć drzewem, podnieść skałę albo rozchylić kępę krzewów, pozostali czekali. Nic nie mogłoby przedostać się przez takie sito.

Płoszyli ptaki, szczury i jaszczurki, pędząc wszystko przed sobą.

Maynard zatrzymał się przed nimi, w takiej odległości, że nie mogli go widzieć ani słyszeć. Nie chciał gnać ślepo na południowy kraniec wyspy, gdzie mógłby znaleźć się w pułapce, z której jedyną drogą ucieczki byłoby brodzenie albo płynięcie przez płycizny, gdzie byłby dobrze widocznym celem. Starał się badać dokładnie każdy krzak, szłaś czy dziurę w ziemi.

Ścigający nie wysilali się, by być cicho. Tupali nogami, hałasowali przetrząsając zarośla i nawoływali się wzajemnie. Byli całkowicie pewni sukcesu.

Maynard cofnął się na polanę, gdzie pracowali rusznikarze. W niewielkiej szopie stały beczki z prochem. Uszkodzone muszkiety i pistolety stały rzędem w warsztacie, przygotowane do naprawy. Maynard szybko rozważył i odrzucił wszystkie możliwe kryjówki na polanie, a potem ruszył naprzód.

Skradając się ścieżką, usłyszał dochodzący z tyłu rozkazujący głos Nau:

— Najpierw patrzcie na świeże ślady kopania. Oglądajcie każdy kopiec i rozsypaną ziemię, i wbijajcie w nią kordy. Zrozumiano?

— Nic tu nie ma. — Głos Justina.

— Dobrze. Teraz odwróćcie do góry dnem każdą beczkę, podnieście stół i przebijcie mieczem każdy krzak.

Umysł Maynarda chłonał każdą usłyszaną informację, wszystko mogło okazać się pomocne. Kiedy znalazł się na następnej polanie, uświadomił sobie, że to, co przed chwilą usłyszał, da mu kilka dodatkowych minut życia. Była to polana, na której kompania ucztowała ubiegłej nocy; zar tlił się jeszcze pod garnkiem z rumem, a w najdalszym końcu widać było dwa świeże groby: Basca i młodego pederasty. Piasek i ziemia były skopane, rozsypane i tworzyły kopce wszędzie dookoła. Mogłaby go skusić myśl, żeby dołożyć jeszcze jedną kupkę do ogólnego rozgardiaszu. Niespodzianka byłaby równie przykra, jak bolesne byłoby pchnięcie miecza, gdyby dusząc się, tkwił skulony w ciemnościach kopca.

Pobiegł dalej mijając polanę pederastów, potem polanę prostytutek, latrynę i polanę, na której stał szłaś Beth. Dalej było już tylko morze.

Głosy, stając się bliższe i wyraźniejsze, również się skupiały, ponieważ wyspa zwięzła się gwałtownie ku końcowi i pościg zaciskał pętlę.

Maynard podjął decyzję. Ściał pustą łodygę trzciny. Wejdzie do morza, położy się na plecach pod wodą i będzie oddychał przez trzcinę, starając się odpłynąć jak najdalej. Oni prawdopodobnie go zobaczą i będą ścigać, a jeśli będą ścigać, to go złapią, a jak go... do diabła z tym! Zrobił krok w kierunku otwartej plaży.

Nagle usłyszał dźwięk rogu, dwa sygnały, nagle, jak ostrzeżenie. I jeszcze dwa. Pauza. Następne dwa.

Najpierw pomyślał, że go zobaczyli i przygotowywał się na ucieczkę do wody. Ale głosy nagle oddaliły się z powrotem na północ.

Ostrożnie, trzymając się z dala od ścieżek i rozglądając się bacznie, ruszył za nimi.

— Statek.

— Gdzie?

— Z południowego zachodu. Płynie na północ.

— Co za jeden?

— Duży.

Głos Nau:

— Do łodzi!

Głos Windsora:

— Nie możesz tego tak zostawić!

Nau gniewnie:

— Powstrzymaj swój język albo ci go utnę!

Maynard nic nie widział, ale słyszał krzyki ludzi biegnących do zatoczki. Wrócił na polanę Beth, podczołgał się na skraj plaży i wyrzwał zza krzaków.

Łódź była jakieś dwie lub trzy mile od brzegu, ale fala dziobowa, która toczyła się i połyskiwała w słońcu, powiedziała mu, że łódź jest duża i szybka; za duża na jacht sportowy i za szybka na łódź rybacką. Kolor kadłuba, który stopniowo nabierał kształtu na tle niebieskozielonej wody, zrodził iskrę nadziei w piersi Maynarda: biel Straży Wybrzeża. I czerwone paski na dziobie. Łódź zmierzała na północ, trzymając się z dala od płyczn, a sądząc po prędkości, z jaką płynęła, nie był to rejs turystyczny.

Pierwszym odruchem Maynarda było wybiec na plażę i machać, ale po chwili porzucił ten pomysł. Płynąc tym kursem statek minąłby wyspę w odległości przynajmniej pół mili od brzegu. Obserwator na mostku z pewnością bardziej uważałby na rafy niż na łąd. Istniała nadzieja, że Maynard mógłby czymś machać lub błyskać albo spowodować zamieszanie, które ściągnęłoby uwagę obserwatora, ale jego szanse były zbyt nikłe, a cena porażki zbyt wysoka: minąwszy wyspę, statek byłby stracony. Musiał nadać taki sygnał, którego nie mogliby zignorować.

Pobiegł z powrotem krętymi ścieżkami, robiąc wiele hałasu, beztrósco wierząc, że wszyscy mieszkańcy wyspy są teraz na plaży. Kiedy znalazł się bliżej zatoczki, zwolnił i podkradł się do otaczających ją zarośli.

Zatrzymał się i wsłuchał w odgłosy dobiegające z plaży. Przygotowywano pinasy do wypłynięcia na morze. Już miał zamiar zrobić krok naprzód, by zobaczyć plażę, gdy usłyszał głos Nau:

— Będzie naszym łupem!

Maynard zamarł. Głos dochodził z odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów, z drugiej strony gęstego krzewu. Przykucnął, usiłując coś dojrzeć przez liście. Nau i Windsor siedzieli na stoku, obserwując statek przez mosiężny teleskop. Gdyby Maynard zrobił swój zamierzony krok,

wpadłby prosto na nich.

Windsor odłożył teleskop na bok.

— To prawdziwy okręt wojenny!

— Taak. Krzepka sztuka. Ciekawe, jaki wiezie ładunek?

— Żadnego.

— A uzbrojenie?

— Nie warte ryzyka.

— Ale sam statek tak. Czyż nie byłby z niego piękny okręt flagowy?

— Nie żartuj.

— Ja nie żartuję — powiedział Nau.

— W takim razie mówisz jak głupiec.

— Jak kto, Doktorze?

Windsor wycofał się.

— Jesteś przecież dzielny i rozważny człowiekiem. Rozważny wódz nie naraża swoich ludzi na pewną śmierć.

— Zaskoczenie zmniejsza tę pewność. — Nau podniósł do oczu teleskop. — Wspaniały okręt flagowy.

— Nie chcesz chyba wojny z rządem Stanów Zjednoczonych.

— Nie będą wojować ze zwidami.

Windsor chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Nau nie dał mu dojść do głosu.

— Nie masz się o co martwić. Płynie pełną parą. Zanim wypłyniemy, nie będzie go już widać.

— Chyba że się zatrzyma — powiedział Windsor.

— A po cóż miałby się zatrzymywać? Myślisz, że chce sobie pobaraszkować na plaży?

Maynard usiłował dojrzeć statek; zarośla całkowicie zasłaniały mu widoczność, słyszał tylko warkot potężnych silników diesla. Domyślał się, że statek znajduje się w tej chwili jakąś milę od brzegu, płynąc z prędkością około dwudziestu węzłów. Miał trzy minuty.

Wycofał się z zarośli, zawrócił i patrząc pod nogi, by nie nadepnąć na jakąś suchą gałąź, ruszył w głąb łądu.

Sygnal dźwiękowy odpadał; hałas silników z pewnością zagłuszyłby dźwięki cichsze od eksplozji. To musi być coś widzialnego. Ogień. Wielkie ognisko, najlepiej z dużą ilością dymu. No tak, ale nie miał zapalek.

Dotarł na polanę, zaśmieconą pozostałościami po wczorajszej libacji. Wszędzie walały się strzępy ubrań, skrzynki po alkoholu, na wpół opróżnione butelki. Nad garnkiem z rumem wiała się smużka dymu; zgliszcza pod garnkiem tliły się jeszcze, ale nie widział niczego, co można by szybko i efektownie podpalić. Nie potrzebował obozowego ogniska; potrzebny był mu prawdziwy pożar, na miarę Newark płonącego w czasie zamieszek.

Zamieszki.

Znalazł rozwiązanie i teraz jego ręce pracowały sprawnie. Chwycił prawie pełną butelkę rumu i kawałek szmaty. Nasączył szmatę alkoholem i wepchnął w szyjkę butelki. Klęcząc wygarniał popiół spod garnka, aż dotarł do rozżarzonych węgli. Koniec szmaty zapalił się natychmiast. Skoczył na nogi i zaczął biec.

Hałas silników był coraz głośniejszy; statek musiał już być na wysokości wyspy.

Wbiegł na polanę rusznikarzy. Była tam jakaś kobieta, która krzyknęła na jego widok, ale nie zwrócił na nią uwagi. Popędził prosto do szopy, w której stały beczki z prochem, zamachnął się i wrzucił do niej płonąca butelkę, potem upadł twarzą na ziemię i zakrył rękami głowę.

Usłyszał dźwięk tłuczonego szkła, a potem przez śmiertelnie długą sekundę nic się nie działo. Jego umysł krzyczał: no zapal się wreszcie, ścierwo! Przez krótką chwilę słychać było syk, a potem ogłuszający, bolesny, wstrząsający wybuch. Skórę miał poparzoną, huczały dzwony.

Podniósł się i chwiejnym krokiem wszedł w zarośla, kierując się w stronę plaży.

— Nie chcesz wziąć ze sobą strzelca? — zapytał Florio.

— Po co? Mam to. — Mould wskazał pistolet automatyczny kaliber 45, wystający z kabury przymocowanej do pasa. Stał na dziobie szalupy, wiszącej na wyciągu ponad burtą New Hope. Jeden z marynarzy stał na rufie, za kołem sterowym, drugi na śródkręciu odpychał szalupę od burty statku. Cała reszta powierzchni łodzi, mogąca pomieścić dwadzieścia pięć osób, zakryta była płóciennymi pokrowcami, sięgającymi od burty do burty. — Poza tym, jeśli ktokolwiek przeżył tę eksplozję, to chyba nie będzie w nastroju do kłótni.

— Jak uważasz. — Florio wzruszył ramionami.

Mould dał sygnał do opuszczenia łodzi. Kil uderzył w wodę, odłączono liny od stalowych uchwytów na dziobie i rufie. Dave Kempe, korespondent telewizji, zawołał do Moulda:

— Pośpieszcie się, dobrze? Spóźnimy się na samolot.

Mould zignorował Kempego i powiedział do Floria:

— Mógłbyś sprawdzić naszą apteczkę. Nie wiem, co mamy przeciw oparzeniom.

Florio pomachał mu i zaczął schodzić z mostka po drabinie.

Mould siadł na dziobie i pilotował sternika przez rafy. Wejście do zatoczki od strony morza było niewidoczne i już dwa razy przepłynęli obok niego. Za trzecim razem Mould dostrzegł wąski kanał błękitnej wody między skalnymi ścianami. Sternik zwolnił do minimum i łódź skierowała się do zatoczki.

— Ktoś tam jest — powiedział Mould, wskazując pinasy.

— Co to za łódki? — zapytał marynarz Pinkus.

— Podpłyn do brzegu, Gantz — powiedział Mould do sternika. — Ty zostaniesz na łodzi, a my z Pinkusem rozejrzemy się po okolicy.

Gantz wyłączył silnik i wciął się dziobem łodzi w piasek.

— Nie wygląda, żeby ktoś tu był — powiedział Pinkus. — Człowieku, tu jest taka cisza, że aż dzwoni w uszach.

— Nie wiem, co to było, ale pewnie rozerwało ich na strzępy — odparł Gantz.

Jakiś dźwięk kazał im odwrócić głowy w stronę niewielkiego wzgórza nad zatoczką.

Zobaczyli stojącego, na wpół ukrytego w krzakach mężczyznę, desperacko machającego rękoma, próbującego do nich wołać. Po chwili mężczyzna jęknął, pochylił się i z rozłożonymi ramionami, łabędzim lotem zaczął spadać. Uderzył o zbocze wzgórza, przekoziółkował i sturlał się w dół na piasek po przeciwnej stronie zatoczki.

Mould i Pinkus obiegli półkolistą plażę. Mężczyzna leżał na plecach z nogami w wodzie. Miał na sobie zniszczone spodnie do kolan i nic poza tym. Jego ciało było posiniaczone i podrapane.

— Żyje? — zapytał Pinkus.

— Coś w tym rodzaju. Zobacz, ma opalone włosy, musiał być blisko wybuchu.

— Z pewnością nie jada zbyt wiele. Nie waży więcej niż 75 kilo.

Pinkus pochylił się, by podnieść mężczyznę, ale Mould go powstrzymał.

— Zostaw, lepiej go na razie nie ruszać. Na pokładzie są nosze, pójdziemy po nie.

Mould wrócił do łodzi.



— Lepiej chodź z nami, Gantz — powiedział. — Jeśli jest jeden, to może być więcej, przynajmniej do pogrzebania.

— Tam jest ścieżka — zauważył Pinkus.

Gęsiego ruszyli w głąb łądu.

Ścieżka, którą podążali, wiła się wśród zarośli, wydawało się, że wiedzie donikąd. Jedynymi dźwiękami były odgłosy ich kroków i brzęczenie owadów.

Usłyszeli brzęk szkła i miękki kobiecy głos, śpiewający piosenkę.

Ścieżka wychodziła na polanę. Kobieta zbierała butelki do płóciennej torby. Była brudna i rozczochrana. Miała na sobie bezkształtną, szarą suknię.

— Dzień dobry — powiedział Mould.

Kobieta obejrzała się. Nie wyglądała na zdziwioną, przygnębioną ani szczęśliwą; jej twarz była bez wyrazu.

— Ilu jest rannych?

Kobieta nie odpowiedziała. Zarośla dookoła polany nagle ożyły. Pinkus rozejrzał się i zawołał:

— Niech to szlag, poruczniku!

Polana otoczona była przez uzbrojonych mężczyzn. Dłoń Moulda przesunęła się do pasa, gdzie w kaburze tkwił pistolet.

— Dotknij go tylko — powiedział Nau postępując naprzód z pistoletem w dłoni — a będzie po tobie.

— Kim jesteś?

— Ty jesteś moim więźniem. Nie musisz wiedzieć więcej.

— Ale co, do diabła...?

— Zamknij się!

— L'Ollonois, błagam cię, nie rób tego! — krzyknął Windsor.

— Ty też się zamknij, Doktorze. Stanowczo za dużo gadasz! — Nau zwrócił się do chłopców: — Zdejmijcie z nich ubrania — wskazał na Moulda i Pinkusa — i zwiążcie ich dobrze. Tego trzeciego zostawcie. Pójdzie z nami.

— Słuchaj... — zaczął Mould, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, czubek noża na brodzie gwałtownie odchylił mu głowę do tyłu.

Nau odezwał się do pozostałych:

— Potrzebuję wszystkich. Część załaduje się do ich łodzi jak kłody drewna. To będzie lis. Pozostali będą biednymi rybakami i popłyną w pinasach.

Podczas gdy rozbierano Pinkusa i Moulda, Nau rozkazał kobiecie przynieść i rozdać wszystkim alkohol. Rzeczy Moulda wybrał dla siebie, a Jack-Batowi kazał się ubrać w rzeczy Pinkusa.

Moulda i Pinkusa związano plecami do siebie, a koniec liny okręcono dookoła ich gardeł i ciasno ściągnięto.

Mężczyźni pili, naśmiewali się z wyglądu Jack-Bata i drwili z jego pogrózek o straszliwej zemście.

— Jesteśmy gotowi — powiedział Nau. — Jest nas niewielu, ale mamy wielkie serca i im mniej nas będzie, tym więcej łupów przypadnie każdemu. Hizzoner...?

Hizzoner wyrecytował rytualną modlitwę i Nau zakończył uroczystość słowami:

— Rozgrzejcie się, chłopcy, rozpalcie do czerwoności, bo będzie to dzień jak za dawnych lat.

Maynard przewrócił się na brzuch, w ustach poczuł piasek i smak słonej wody. W uszach ciągle jeszcze dzwoniło, ale teraz z dzwonieniem mieszały się inne dźwięki. Instykt samozachowawczy kazał mu podczołga się w stronę zarośli. Zaledwie zdążył się ukryć, na plażę wpadli pierwsi mężczyźni i zaczęli ładować się na łódź.

Pamiętał tę łódź. Było na niej dwóch lub trzech ludzi, a on starał się ich ostrzec. Powiedział im coś, zanim stracił przytomność. Czyżby odeszli bez niego? Dlaczego mężczyźni w mundurach współpracują z ludźmi Nau?! Nagle spostrzegł, że jednym z umundurowanych mężczyzn był właśnie Nau.

Mężczyźni wchodzili na pokład, układali się jeden na drugim, a kiedy któraś część łodzi była już pełna, z powrotem naciągano i przywiązywano nad nią płócienny pokrowiec.

— Ostatni raz, l'Ollonois — odezwał się Windsor — mówię ci, nie rób tego!

— I po raz ostatni, Doktorze, mówię ci, powstrzymaj swój język!

— Zdrowe zwierzę nie szuka śmierci!

— Zgadza się — powiedział Nau i ruchem tak szybkim, że przypominał impuls elektryczny, wyciągnął zza pasa nóż i przejechał nim w poprzek gardła Windsora.

Nóż wrócił na swoje poprzednie miejsce, zanim Windsor zdołał uzmysłowić sobie, co się z nim stało. Wąski pasek czerwieni pojawił się na jego szyi, pociemniał i zmienił się w ciekącą strużkę. Podniósł rękę do gardła, otworzył usta i zaraz je zamknął, a potem usiadł na piasku.

— Siedź sobie tutaj i umieraj, Doktorze — powiedział Nau i odszedł.

— Boże drogi! — szepnął Gantz.

Jack-Bat popychał go w stronę łodzi.

Kompania ładowała się na łódź, a Justin stał jak sparalizowany. Nie mógł oderwać wzroku od Windsora, który kołysał się w przód i w tył.

Obserwujący wszystko ze swojego ukrycia Maynard stwierdził, że Justin jest głęboko wstrząśnięty. Nie całkiem rozumiał dlaczego; chłopiec widział już tyle śmierci, że jedna więcej nie powinna wyrzeć na nim wrażenia. Być może, pomyślał Maynard, chodzi o to, że po raz pierwszy zobaczył umierającego kogoś, kogo znał wcześniej, w swoim normalnym życiu, i po raz pierwszy śmierć jako taka stała się dla niego czymś realnym.

Justin spojrzał na Nau. Powiedział tylko:

— Ale...

Nau wziął Justina za ramię.

— Chodź, Tue-Barbe. Co się stało, to się nie odstanie. Domagał się zabiegu i wykonałem go.

Maynard zobaczył, że Justin opiera się Nau. Trwało to jedną sekundę, ale opór był wyraźny.

Znowu poczuł przypływ nadziei.

Windsor przewrócił się na bok, sapnął i wyzionął ducha.

Hizzoner wszedł do szalupy jako ostatni. Przeciągnął kawałki nasmołowanego sznurka przez splecione włosy, uniósł brzeg swojej szaty i z gracją panienki przestępującej przez kałużę wspiał się na pokład i położył na dnie. Pokrowiec nad nim został zaciągnięty.

— Jack-Bat, idź na dziób — komenderował Nau — ja będę na śródkrećciu, a ty — wskazał na Gantza — za sterem. Jeśli kiwniesz choćby palcem albo drgnie ci język, obsłużę cię tak jak Doktora. Zrozumiałeś?

— Ty tu jesteś szefem — odparł Gantz.

Włączył silnik i wycofał szalupę.

Czterech mężczyzn zostało. Wsiedli do jednej z otaklowanych pinas i popłynęli za łodzią.

Maynard czekał w ukryciu do czasu, gdy upewnił się, że jest sam w zatoczce. Potem przebiegł

przez plażę, wrzucił wiosło do jednej z piróg, zepchnął ją na wodę i wskoczył do środka.

Za plecami usłyszał jakiś szmer, szelest ubrania i kroki stóp na mokrym piasku. Odwrócił się gwałtownie z wiosłem uniesionym w górę.

Na plaży stała Beth.

— Do widzenia — powiedziała.

Maynard zrobił unik, spodziewając się, że zaraz zobaczy wycelowany w siebie pistolet. Jednak ręce Beth były puste.

— Sądzę, że już cię nigdy więcej nie zobaczę.

— W każdym razie nie żywego. — Maynard opuścił wiosło i uśmiechnął się blado.

— Więc powodzenia.

— Nawzajem. — Maynard zanurzył w wodzie wiosło i ruszył w stronę wyjścia z zatoczki.

\*

— Co tam widać? — zapytał Dave Kempe.

— Jest mocno zanurzona w wodzie — ocenił Florio — czymś załadowana. — Poprawił lornetkę.

— Wygląda na to, że na pokładzie jest dwoje dzieciaków.

— Czy dzisiaj mamy Dzień Dobroci Dla Krajowców?

— Panie Kempe — powiedział Florio tak cierpliwie, jak tylko potrafił — to jest łódź rządowa.

Ciąży na nas odpowiedzialność.

— Ale chyba nie za tych ludzi.

Florio jeszcze raz spojrział przez lornetkę.

— To naprawdę dzieciaki. Dlaczego nie filmujecie? Byłby niezły materiał na reportaż.

— Co... Tomek Sawyer na bezludnej wyspie? — Kempe zamyślił się. — A, co mi szkodzi. Może da się coś z tego uratować? — Zbiegł po drabinie wołając: — Schussman! Bierz kamerę!

Florio wychylił się z mostka i powiedział do marynarza:

— Lepiej zawczasu opuść wyciąg.

Szalupa była już przy burcie statku, kołysząc się na własnej fali. Florio spojrział w dół i zobaczył kredowobiałą twarz sternika Gantza.

— Co się stało? — zapytał, ale Gantz nie odpowiedział.

Pozostali mężczyźni trzymali się plecami do statku mocując liny wyciągu.

Jęknął dźwig, szalupa się uniosła.

Obaj chłopcy wyglądali na spiętych i zmartwionych, stali z założonymi na piersi rękami. Spod jednego z pokrowców wystawała ręka z bransoletą na przegubie.

— Czy pod tym są... ciała? — zapytał Florio.

Ekipa telewizyjna, tocząc przed sobą kamerę, torowała sobie drogę do relingu, podczas gdy szalupa osiadła na pokładzie.

— Co u diabła... — Florio zaczął schodzić z mostka.

Płócienne pokrowce sfrunęły na bok.

Coś uderzyło Floria; robiąc salto, runął z drabiny. W zapadaniu się w ciemność towarzyszyła mu szokująca wizja mężczyzny z głową w aureoli płomieni.

\*

Odgłosy strzałów niosły się na wodzie i boleśnie odbijały się w uszach Maynarda. Słyszał też

krzyki, ale z tej odległości brzmiały słabo i nieszkodliwie.

Szalupa i pinasa znajdowały się od zawietrznej strony statku. Maynard wiosłował tak, by podpłynąć od strony nawietrznej i cały czas być poza zasięgiem ich wzroku.

Nie miał żadnego konkretnego planu. Gdyby Nau i jego ludzie zostali pokonani, byłby uratowany. A gdyby zwyciężył Nau, cóż... w końcu na statku nie może go spotkać nic gorszego, niż gdyby pozostał na wyspie. Nie przyjdzie im do głowy, żeby szukać go na statku. A jeśli zatopią statek z nim na pokładzie... nie potrafił wybiec myślami tak daleko.

Strzały ustały. W sumie oddano ich nie więcej niż tuzin.

Maynard złapał łańcuch kotwiczny. Przywiązał pinasę do jednego z ogniów, żeby nie odpłynęła na zawietrzną, gdzie zostałaby natychmiast zauważona. Wciągnął się na górę i wyrzwał ostrożnie. Przedni pokład był pusty. Ześliznął się na dół, podpełzł do grodzi i zatrzymał się.

Pod stopami usłyszał kroki i odgłosy szurania, jak gdyby jakieś rzeczy były wleczone po metalowym pokładzie. Potem śmiechy i Maynard wiedział już, jak skończyła się bitwa.

Na potwierdzenie tych przypuszczeń dobiegł go głos Hizzonera, przemawiającego na rufie:

— Zbrodnie, które popełniliście, znane są zarówno wam, jak i Bogu...

Czepiając się palcami rąk i nóg, Maynard wspiał się na pochyłą powierzchnię pomostu sternika, prześliznął nad szczytem mostka i bezgłośnie opadł na jego pokład.

— ...przypuszczam więc, że nie muszę wam mówić — kontynuował Hizzoner — że jedyna droga do uzyskania przebaczenia i odpuszczenia grzechów od Boga wiedzie poprzez szczerą, niekłamana skrucę oraz wiarę w Chrystusa...

Na mostku znajdowały się luki odpływowe, przez które Maynard mógł obserwować tylny pokład statku.

W rogu leżały dwa ciała. Jedno należało do pulchnego, łysego mężczyzny w ciemnym garniturze, drugie do młodszego, przystojnego, w sportowym ubraniu.

Nau i obaj chłopcy stali na rufie. Rollo, Jack-Bat i pozostali ładowali żywność, broń i amunicję do szalupy i pinasy.

Mowa Hizzonera skierowana była do sześciu mężczyzn stojących przy prawym relingu. Dwóch było w cywilu, czterech w mundurach Straży Wybrzeża. Siódmy mężczyzna, oficer, leżał na pokładzie z tyłu za stojącymi. Żył, ale został postrzelony w biodro i przykładał teraz do rany chustkę, żeby zatamować krew. Maynard przyglądał mu się uważnie. Był pewien, że skądś go zna.

— Jeśli szczerze zwrócić swe serca do Chrystusa, to nigdy nie będzie dla was za późno, bo nawet gdy przyjdziecie o jedenastej godzinie, Ewangelia według Św. Mateusza 20;6—9, On was przyjmie.

Zaraz skończy, pomyślał Maynard. Rozejrzał się po mostku. Mają tu jakąś broń? Nie wiedział nic na temat okrętów wojennych. Z boku mostka stało, przykryte płótnem, jakieś urządzenie.

— I tylko z całego serca pragnę, przez litość dla waszych dusz, żeby to, co wam tutaj powiedziałem, przy tej uroczystej, a zarazem smutnej okazji...

Karabin maszynowy.

Maynard podpełzł w najdalszy róg mostka i spuścił się z jego brzegu. Posuwał się po gzymsie wzdłuż mostka, aż znalazł oparcie dla stóp na wąskim występie poniżej karabinu.

Pinasa była teraz dokładnie na wprost niego. Ładujący ją mężczyźni byli odwróceny plecami, ale gdyby któryś obejrzał się za siebie, musiałby zauważyć Maynarda.

Odpiął pokrowiec od grodzi, ściągnął go i położył na dachu sterówki.

Karabin był olbrzymi. Widział zdjęcia tych dużych pięćdziesiątek, ale nigdy nie stanął z taką twarzą w twarz; to jakby celować z działa.

Do boku karabinu przymocowany był pojemnik z nabojami. Modlił się w duchu, żeby był pełny, bo nie miał odwagi go otworzyć.

Jedną ręką sięgnął do dźwigni napinającej, drugą złapał za cyngiel. Wstrzymał oddech, odciągnął suwadło i stało się.

Strzały następowały po sobie tak szybko, że zlewały się w jedno. W ciągu niespełna pięciu sekund mężczyźni w pinasie, jak też wszyscy ładujący, byli martwi albo dogorywali na pokładzie. Nie zdejmując palca ze spustu Maynard przekreślił działo w prawo. Rollo zginął w przelocie, Jack-Bat zrobił krok do tyłu i dwoma strzałami w klatkę piersiową został wyrzucony za burtę. Hizzoner zamienił się w miazgę, okrytą zakrwawioną szatą.

Nau cofnął się w róg, przytrzymując przed sobą chłopców. Sięgnął ręką pod ramię Justina, wyciągnął waltera i przystawił chłopcu do skroni.

Maynard wycelował w głowę Nau i powiedział:

— Odłóż to.

— Może innym razem. — Nau uśmiechnął się.

— Zabiję cię.

— Mnie tak. Jego — kiwnął głową na Manuela — też. Ale jego nie — przycisnął waltera mocniej do skroni Justina. — Tego nie zrobisz. Ja mógłbym, ale ty nie. A jeśli ja zginę, to on razem ze mną.

Maynard spojrział na Justina i zobaczył małego, wystraszonego chłopca. Przekonany był, że potrafi posłać kulę między oczy Nau, zanim ten zdąży nacisnąć spust i zabić Justina. To było prawie pewne. Prawie.

— Masz rację. Nie zrobię tego — powiedział Maynard. — I co teraz?

— Ja zabiorę chłopców na brzeg. Ty zaczekasz tutaj przez noc. W nocy zbiorę moich ludzi i odpłyniemy z wyspy. Jutro przy płyniesz na brzeg i weźmiesz swoich. Nie zrobię im nic złego. Masz na to moje słowo.

— Twoje słowo jest gównem warte.

— Prawda — roześmiał się Nau — ale nie masz wyboru.

— Chłopca też zostawisz na wyspie.

— Chciałbym, ale wiesz, że nie mogę. Teraz potrzebuję go bardziej niż przedtem.

Rozszerzone oczy Justina patrzyły błagalnie na Maynarda.

— Równie dobrze mógłbym sam go zastrzelić — powiedział Maynard.

— Raczej nie. Lepiej wiedzieć, że jest cały, zdrowy i szczęśliwy.

Maynard wahał się przycisnąć do muru.

— Zgoda.

— Nie! — krzyknął Justin. — Tato!

— Nie martw się, koleś — powiedział Maynard.

— Nie! — Justin próbował się wywinąć, ale Nau objął ramieniem szyję chłopca i przycisnął go do relingu.

— Weź ster — rozkazał Manuelowi.

Manuel spojrział na Maynarda z wyrzutem w oczach.

Szalupa była dokładnie pod występem mostka, na którym stał Maynard, a lufy karabinu nie można było skierować prosto w dół.

Nau zorientował się, że ze strony Maynarda nic mu już nie grozi, więc popychając przed sobą Justina, ruszył do szalupy.

Maynard nie zastanawiał się nad tym, co robi, nie rozważał ryzyka. Skoczył i w locie wyjął zza

pasa nóż Jack-Bata.

Nau usłyszał coś lub wyczuł upadające ciało, bo odwrócił się gwałtownie i próbował wycelować pistolet.

Maynard wylądował mu na ramionach i dźgał nożem dziko, wściekle i na oślep, podczas gdy Nau, charcząc i miotając przekleństwa, próbował go z siebie zrzucić. Wypuścił z ręki pistolet.

Nau potknął się i razem z Maynardem upadł między dwie przednie ławki. Maynard pchnął jeszcze raz i tym razem nóż utkwiał na dobre między żebrami Nau.

Nau przekręcił się na plecy, wydzierając nóż z ręki Maynarda i unieruchamiając go pod sobą.

Z wysiłkiem podniósł się na nogi i stanął nad Maynardem. Całą szyję i klatkę piersiową pokrywały sine, klute rany; tryskały z nich strużki krwi i ściekały na pokład. Nóż wbił się aż po rękojęść między dwa dolne żebra w prawym boku. Nau chwycił go mocno obiema rękami i wyszarpnął. Spojrzał z ukosa na Maynarda i powiedział:

— Jeszcze nie, skrybo. — Na jego ustach pojawiła się krwawa piana. — Jestem wolnym księciem. Sam powiem, kiedy. — Podniósł nóż.

Maynard próbował się cofnąć, ale był w pułapce między dwiema ławkami.

Oczy Nau napuchły, z płuc wydobywało się rżęzenie. Trzymając nóż ponad głową, niczym kapłan Inków przed ołtarzem ofiarnym, krzyknął:

— Teraz!

Ostrze noża błysnęło w słońcu.

Nau wbił sobie nóż w podbrzusze i szarpnął do góry. Przez rozdarcie w koszuli wypłynęły wnętrzności.

Runął na prawo. Ramieniem uderzył w ławkę i opadł na plecy. Nić wiążąca go z życiem pękła; źrenice rozszerzyły się i, jak balonik uwolniony nagle przez dziecko, jego pierś wycisnęła z siebie ostatnie, piskliwe tchnienie.

Maynard odnalazł wzrokiem Justina, stojącego sztywno na rufie szalupy. Zapytał słabym głosem:

— I co teraz, kolego?

Oczy Justina napełniły się łzami. Podeszedł na rufę, uklęknął, i wziął ojca za rękę.